

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/198

1964



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

N. ARŻAK : **ODKUPIENIE**

A. TAKUBAR : **CHIŃSKIE WĘDRÓWKI**

J. MIEROSZEWSKI :
POLSKA – NIEMCY – AMERYKA
OBCHODY, POCHODY, ZACHODY

SPIS RZECZY

Zbigniew Brzeziński i Samuel P. Huntington:	<i>Cincinnatus i aparatczik (dok.)</i> ..	3
Adam Takubar:	<i>Chińskie wędrówki</i>	20
Nikołaj Arzak:	<i>Odkupienie</i>	29
Adam Czerniawski:	<i>Dzień w życiu bywalca</i>	76
Jan Leszcza:	<i>Wiersze</i>	83

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Polska — Niemcy — Ameryka</i> ..	85
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	95

SĄSIEDZI

Berlińczyk:	<i>Sprawa Roberta Havemanna</i>	102
-------------	---------------------------------------	-----

KRAJ

—	<i>Obchody, pochody, zachody</i>	106
---	--	-----

SPRAWY GOSPODARCZE

W.A. Zbyszewski:	<i>Wspólny Rynek: efemeryda czy punkt zwrotny</i>	111
------------------	---	-----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Kazimierz Bagiński:	<i>Aleksander Bogusławski</i>	134
---------------------	-------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

(m. l. d.):	<i>W oczach Londynu</i>	138
Zygmunt Turkiewicz:	<i>Wystawy w Londynie</i>	149
—	<i>Komunikaty:</i>	
	1) <i>Konkurs Literacki im. Czesława Straszewicza</i>	135
	2) <i>III Konkurs Norwidowski Koła Artystów Plastyków w Argentynie</i>	156
	3) <i>Stypendium „Polonica Technica”</i>	157
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	158

A.S. Orłowski, A. W. Rudziński, W. Wróblewska:	<i>Listy do Redakcji</i>	159
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1964

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ KULTURY

Bezimiennie, Buenos Aires	94,50 F.
A Wawer-Warzyńczyk, Thurso, P.Q., (Kanada)	13,50 „
Bezimiennie (Wielka Brytania)	136,50 „
Tadeusz Leser, Bel Air, Md. (USA) zamiast kwiatów na trumnę zmarłego w dn. 28 lutego 1964 r. w Baltimore, Md. przyja- ciela, mjr. Tadeusza Pietruszewskiego, legionisty, oficera służby czynnej, uchodźcy i bojownika o sprawę Niepodległości Polski, ojca pisarki i socjologa, Danuty Mostwin	121,50 „
S. Brog, Kurralta Park, S.A. (Australia)	22,00 „
Prof. Zbigniew Brzeziński, New York — po raz drugi	196,00 „
Józefa Turska, St. Anne de Bellevue, P.Q. (Kanada) po raz piąty	45,00 „

DZIĘKUJEMY

W MAJOWYM NUMERZE „KULTURY” ROZPO-
CZYNAMY DRUK CYKLU ARTYKUŁÓW CZESŁAWA
DOBKA O MAJĄTKU SPOŁECZNYM EMIGRACJI
LONDYŃSKIEJ



P. 9786 Chr. Arch.

Cincinnatus i aparaczik (dok.)

Politycy i przywódcy

Odmienność cech zasadniczych zawodowego polityka w ZSSR i w Stanach Zjednoczonych idzie w parze z różnicą ich ról w systemie politycznego przywództwa. Większość politycznych przywódców w ZSSR stanowią aparacziki. Natomiast w Stanach Zjednoczonych tylko nieznaczna liczba przywódców politycznych rekrutuje się z polityków zawodowych. W ZSSR aparacziki dostarczają głównego wodza systemu, stanowią większość w Prezydium i w K.C. partii, często zajmują najwyższe stanowiska w biurokracji państwowej oraz monopolizują Sekretariat K.C. i aparat partyjny. W Stanach Zjednoczonych polityk wyborczy dzieli kierownictwo polityczne z wielu innymi typami polityków. Polityk zawodowy zajmuje wiele stanowisk w lokalnych stowarzyszeniach administracyjnych, zazwyczaj przeważa w parlamentach na wszystkich stopniach państwowych i może dotrzeć do fotela Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jednakże, z tym ostatnim wyjątkiem, rzadko można go spotkać gdziekolwiek w machinie administracyjnej, lub w innych rządowych czy prywatnych biurokracjach amerykańskiego *Establishment*. Rządowe i prywatne biurokracje są kierowane zazwyczaj przez własnych wychowanków. Naturalnie, nawet zawodowy polityk przeważnie robi jednocześnie jakąś publiczną lub prywatną karierę. Krótko mówiąc, wzorowym przywódcą politycznym w ZSSR — jest aparaczik, który poświęcił całe swoje życie partii, natomiast w Stanach Zjednoczonych jest nim wybitny obywatel, który za wzorem Cincinnatusa odsunął na bok inne odpowiedzialne zajęcia, by poświęcić się czasowo służbie publicznej. Naczelné stanowiska polityczne na stopniu ogólnopolskim są zajęte w ZSSR przez polityków zawodowych, bez wyjątku, a w Stanach Zjednoczonych zazwyczaj. Lenin był zawodowym rewolucjonistą, Stalin i Chruszczow byli aparaczikami. Spośród czterech ich ry-

wali w walce o władzę, Trocki był zawodowym rewolucjonistą, a trzech pozostali — Kirow, Malenkov i Mołotow — aparatchikami. Z ośmiu prezydentów Stanów Zjednoczonych od roku 1917 pięciu zajmowało się wyłącznie karierą polityczną, jeden przeszedł do polityki ze sfery oświaty, jeden z businessu, a jeden spędził większą część swego życia w wojsku.

Na następnym, nieco niższym szczeblu, różnica ról zawodowych polityków występuje wyraźniej. W latach 1919-1961 przez Politbiuro, czyli Prezydium, przesunęło się ogółem 45 członków, w tym 44 mężczyźni i jedna kobieta. Przed tą nominacją pięciu z nich spędziło większą część życia w konspiracji rewolucyjnej, siedmiu łączyło rewolucyjną działalność z pracą w aparacie partyjnym, pięciu — z pracą w biurokracji państwowej, jeden — z pracą w wojsku; 19-tu pracowało początkowo w aparacie partyjnym, sześciu — w biurokracji państwowej, jeden był ekonomistą i jeden — oficerem. Podobnie z 175 członków K.C. wybranych w roku 1961, 66 spędziło niemal całość swej kariery w pracy partyjnej, 42 łączyło ją z pracą rządową, 33 siedziało w przemyśle lub handlu i 33 zajmowało specjalne stanowiska w innych gałęziach pracy administracyjnej lub technicznej.

Na nieszczęście dla socjologów, w Stanach Zjednoczonych nie ma Komitetu Centralnego. Pewien socjolog usiłował jednak rozpoznać w Stanach Zjednoczonych coś analogicznego. Zwrócił się więc do dobrze poinformowanych osób, z prośbą o wymienienie naczelników kierowników życia publicznego w dziedzinach istotnych dla narodu (5). Słuszność takiej metody jest wątpliwa. Daje ona w wyniku dowolną próbkę ogólnonarodowych przywódców. Jest to prawdopodobnie równie wiarogodna próbka, jak każda za pomocą innej metody skonstruowana. W r. 1958 ustalono stu takich szefów rozlokowanych po naczelnym stanowiskach w polityce, rządzie, businessie i innych zawodach. Z nich było trzech ex-prezydentów Stanów Zjednoczonych, a 43 członków rządu federalnego. Jedyny gubernator stanowy (Harriman) zajmował uprzednio ważne stanowiska w rządzie federalnym. 36 było w businessie, 26 w przemyśle. W liczbie pozostałych było 5 wydawców i redaktorów, 2 prawników, 4 oświatowców, 3 przywódców robotniczych i 1 kardynał. Poniższa tabela I porównuje główne zawody 175 członków sowieckiego K.C. w 1961 r. z owymi 100 amerykańskimi przywódcami w r. 1958.

Te dwa zestawienia jaskrawo wykazują jakie kwalifikacje są potrzebne dla rządzenia społeczeństwem współczesnym. Te same umiejętności i ta sama praktyka — z małymi odchyleniami — występują w każdej elicie (6).

(5) Floyd Hunter. *Top Leadership USA*. (Chapel Hill, N.C. 1959) 195.

(6) W K.C. nie ma ani jednego dostojnika kościelnego. Zestawienie powyższe nie zawiera też żadnego zawodowego dyplomaty. Jest to dość znamienne, choć to opuszczenie może być skutkiem położenia nacisku przez autora na sferę polityki wewnętrznej. Dwaj robotnicy fabryczni i dwaj kołchoźnicy w K.C. są prawdopodobnie bardziej „honorowymi” niż rzeczyw-

Tabela I
GŁÓWNY ZAWÓD
NACZELNYCH PRZYWÓDCÓW POLITYCZNYCH
(w procentach)

	ZSSR	St. Zjedn.
	1961	1958
Ogółem polityka i administracja	61,7	37,0
Polityka (biurokracja partyjna w ZSSR, polityka wyborcza w St. Zj.)		
Kariera prywatna i polityka	—	(8,0)
Polityka i urzędy państwowe	(24,0)	(1,0)
Kariera prywatna i urzędy państwowe	—	(9,0)
Ogółem handel i przemysł	18,8	40,0
Ogółem inne zawody:	19,5	23,0
Wojsko (łącznie z wojsk. biznesem w St. Zjedn.)	(8,2)	(7,0)
Dziennikarstwo, massmedia, piśmien.	(3,4)	(4,0)
Oświata i nauka	(1,7)	(4,0)
Organizacje pracownicze	(1,7)	(3,0)
Prawo	(0,6)	(3,0)
Dyplomacja	(1,7)	—
Religia	—	(1,0)
Rolnictwo	(1,1)	(1,0)
Praca fabryczna	(1,1)	—
RAZEM	100,0	100,0

W przybliżeniu 1/5 obu elit składa z osób, których głównym zajęciem była nie polityka, lecz cywilna administracja, handel i przemysł. Przedstawicielstwo niektórych tych zawodów w elicie rządzącej jest uderzająco podobne pod względem liczebnym. Na przykład, procent zawodowych wojskowych wynosi w każdej elicie 7-8, przedstawicieli związków zawodowych jest w każdej po 3-ch, po jednym (ZSSR) i po paru (USA) prawników czynnych wyłącznie w zawodach prawniczych (7).

stymi członkami. Mniej czynny i bardziej „honorowy” „Najwyższy Sowiet” (Wierchownyj Sowiet) zawiera znacznie większą liczbę zwykłych robotników.

(7) Ogólnie uważa się, że prawnicy odegrywają w polityce amerykańskiej główną rolę, to też niewielka liczba w elicie osób czynnych głównie w zawodach prawniczych wymaga komentarza. 22 członków elity amerykańskiej ma dyplom prawniczy, lub było członkami palestry. Jednakże głównym zajęciem połowy z nich była kariera polityczna: przedsiębiorców było 3, dwaj łączyli działalność prawniczą z polityką, dwaj inni — prawo ze służbą państwową, a tylko 3 poświęcało się całkowicie prawu. Widocznie dlatego tak mało członków elity pracowało przez czas dłuższy w zawodzie prawniczym, że prawo jest bardzo dobrą odskocznią do stanowisk kierowniczych. Najczęstszym przygotowaniem zawodowym członków sowieckiego K.C. jest technika.

Największą różnicę w składzie tej próbki elit wykazuje zestawienie w sferze polityki i administracji oraz przemysłu i handlu. 38 procent sowieckich przywódców było politykami partyjnymi, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych tylko 19 procent — i to przeważnie w polityce wyborczej. Dodatkowo, 8 proc. Amerykanów łączyło politykę wyborczą z biznesem (4 proc.), oświatą (2 proc.) i z prawem (2 proc.). 24 proc. sowieckich przywódców łączyło działalność partyjną z rządową, podczas gdy tylko 10 proc. politycznych przywódców amerykańskich zajmowało wysokie stanowiska rządowe, lub zajmowało się biznesem (7 proc.), zawodem prawniczym (2 proc.) i polityką wyborczą (1 proc.). Tak więc, prawie 2/3 sowieckich przywódców przeszło karierę głównie polityczną i rządową, a amerykańskich tylko nieco ponad 1/3 (37 proc.). Tylko 1/5 (20 proc.) amerykańskich przywódców poświęciło się wyłącznie polityce i administracji cywilnej. Z tych 20-tu osób było w roku 1958 w Kongresie 15, na urzędach państwowych — 3-ch, i w Sądzie Najwyższym — 1. Jeden (Harry Truman) był seniorem politycznym. 40 proc. amerykańskich przywódców tkwiło głównie w przemyśle i handlu, a 11 proc. łączyło biznes z karierą polityczną lub rządową. W Sowietach tylko 19 proc. przywódców miało za sobą główną działalność w przemyśle.

Do tych liczb trzeba poczynić dwa zastrzeżenia. Po pierwsze, wielu sowieckich partyjnych i rządowych biurokratów znaczną część swego czynnego życia poświęciło zagadnieniom przemysłowym. Jednakże, jeżeli partyjni urzędnik zajmuje się przemysłem, czyni to zazwyczaj pod kątem interesów miasta, rejonu lub republiki związkowej, za które jest jako sekretarz partyjny całkowicie odpowiedzialny. Zagadnienia przemysłowe zajmują im dużo czasu, a ich odpowiedzialność jest wszystko obejmująca, polityczna. Ci którzy łączyli pracę partyjną z administracyjną, mogą mieć większą znajomość spraw przemysłowych, ale ich odpowiedzialność obejmowała również szereg zagadnień z przemysłem niczym nie związanych. Tylko 19 proc. sowieckich przywódców w powyższym zestawieniu poświęcało się całkowicie kierownictwu w przemyśle. Po drugie, w odniesieniu do strony amerykańskiej można dowodzić, że wielu zajmujących się głównie biznesem i przemysłem, również od czasu do czasu zajmowało ważne stanowiska rządowe, jednakże we wszystkich tych wypadkach, albo przez krótki czas (3-4 lata na poziomie poniżej członka rządu wobec 35-40 w biznesie), albo tylko jako dodatek do ich businessowych zajęć (tzn. udział w komisjach prezydenckich). Te marginesowe zajęcia urzędowe są z nadwyżką wyrównane przez to, że 17 proc. z 37 proc. amerykańskich przywódców, których zaliczyliśmy do głównie zajętych na urzędach lub w polityce, poświęciło około połowy swej kariery życiowej zawodom prywatnym. Tak więc, ogólna tendencja wynikająca z zestawienia, jest uzasadniona (8). Jedna piąta po każdej stronie zestawienia

(8) Jak będzie dalej zaznaczone, z początku główni członkowie admi-

składa się z przedstawicieli bardziej specjalnych grup elitarnych we współczesnym państwie. W ZSSR inni przywódcy polityczni składają się przeważnie z zawodowych polityków partyjnych lub urzędników państwowych. W Stanach Zjednoczonych połowa tych pozostałych 4/5 składa się z kierowników przedsiębiorstw prywatnych, a reszta — jest podzielona pomiędzy politykami wyborczymi i ludźmi z karierą na wpół rządową i na wpół prywatną.

Im ważniejszy jest urząd w sowieckim systemie, tym pewniejsze jest że zajmuje go aparatczik. Na przykład, na 22-im kongresie partii 26 proc. ogólnej liczby delegatów stanowili aparatcziki, ale w wybranym przez ten kongres K.C. było już ich 49 proc., a na samym szczycie, w Prezydium i Sekretariacie partii nawet 81 proc. W systemie amerykańskim stosunek ten jest, z wyjątkiem urzędu prezydenta, odwrotny. Im ważniejsze jest stanowisko, tym mniej jest prawdopodobne aby zajmował je polityk wyborczy. Spośród 100 najważniejszych przywódców wyliczonych przez Huntera, polityków wyborczych było tylko 19, a z nich 14 członków kongresu i tylko trzech na stanowiskach w administracji. Na poziomie stanów i poniżej liczba kluczowych stanowisk — wybieralnych i obsadzanych przez nominację — zajmowanych przez polityków wyborczych jest znacznie wyższa. Na przykład, spośród gubernatorów, wybranych pomiędzy 1870 a 1950, mniej niż 10 proc. nie zajmowało przed wyborem żadnego publicznego urzędu, a przeszło 50 proc. było członkami parlamentów stanowych. Ponad 30 proc. z nich służyło w wybieralnych i innych urzędach prawno-wykonawczych, 20 proc. w lokalnych, a 19 proc. — w stanowych i 14 proc. w federalnych urzędach wybieralnych (9).

W wielu okręgach czy miejscowościach, wskutek wycofania się z życia publicznego miejscowych grubych ryb finansowych, kluczowe pozycje w lokalnej administracji przeszły do rąk polityków zawodowych, reprezentujących nowe grupy etniczne i często wychodzących z klasy drobno-mieszczańskiej, lub z zupełnie dołów społecznych (10). Z drugiej strony, właściciel przedsiębiorstwa dziedzicznego unikający, w przeciwieństwie do swego dziadka, zaangażowania się w politykę lokalną, może wyskoczyć na Podsekretarza Stanu w Waszyngtonie. Przyczyną i jednocześnie

nistracji Kennedy'ego mieli więcej doświadczenia w polityce (choć nie w sprawach wyborczych) niż ich poprzednicy w administracji Trumana lub Eisenhowera. Ta niewielka różnica nie zmienia jednak stosunku pomiędzy ludźmi interesu a politykami w ogólnopństwowym przywództwie jako całości.

(9) Joseph A. Schlesinger, *How They Became Governor: a Study of Comparative State Politics, 1870-1950* (East Lansing, Mich., 1957), II.

(10) Patrz Robert O. Schultze, „Economic Dominants in the Community Power Structure”, *American Sociological Review*, XXIII (February 1958), 3-9; Robert O. Schultze and Leonard Blumberg, „The Determination of Local Power Elites”, *American Journal of Sociology*, LXIII (November 1957), 290-96; Dahl, *Who Governs?* Book I.

skutkiem wybitnej roli polityka wyborczego w administracji stanowej i lokalnej jest niski ich status w porównaniu ze statusem administracji federalnej.

W ciągu 45 lat, poczynając od roku 1917, rola aparaczków w sowieckim systemie politycznym stale nabierała wagi. Liczebny wzrost aparatu partyjnego dotrzymywał kroku wzrostowi samej partii. W roku 1922 partia miała 15.325 odpowiedzialnych urzędników, co wynosiło mniej więcej 4 proc. ogólnej liczby członków (11). W roku 1962 liczba zawodowych płatnych urzędników partii dosięgła 150-200 tysięcy (12), czyli mniej niż 4 proc. ogólnej liczby członków. Jednakże ogólna liczba aparaczków była znacznie wyższa, ponieważ wielu wykonywało tymczasowe misje w rządowych i specjalnych urzędach. Bardziej wymowny od liczebnego wzrostu aparaczków jest fakt zajmowania przez nich coraz większej ilości naczelnich stanowisk kierowniczych w sowieckim systemie politycznym. W czasie walki Stalina o władzę w latach 1920-30, ideowi rewolucjoniści i intelektualiści zostali stopniowo usunięci z naczelnych ciał partyjnych i zastąpieni przez stronników Stalina spośród aparaczków. Pomiedzy 1925 a 1940 spośród 14 nowych członków Politbiura 12 było wypróbowanych aparaczków, a dwaj (Woroszyłow i Kalinin) łączyli partyjną karierę z państwową. W następnych latach znaczenie aparaczków podupadło jedynie w ostatnich latach rządów Stalina i w pierwszych latach walki o następstwo, gdy cały aparat partyjny stracił na znaczeniu. W latach 1947-1953 weszło do Politbiura, czyli do Prezydium, pięciu nowych członków, z których żaden nie był poprzednio pracownikiem partyjnym, mianowicie: Woznienski — ekonomista; Bułganin — przemysłowiec, a potem wojskowy administrator; Kosygin, Saburow i Pierwuchin — menadżerzy przemysłowi. Zwycięstwo Chruszczowa w walce o władzę, tak samo jak zwycięstwo Stalina, pociągnęło za sobą nowy napływ aparaczków do Prezydium.

Podczas gdy znaczenie aparaczków w sowieckim systemie politycznym wzrastało, rola polityków wyborczych w systemie amerykańskim malała. W roku 1888 Bryce mógł dowodzić, że znaną cechą amerykańskiej polityki jest liczna klasa polityków zawodowych, stanowiących rzeczywistą klasę rządzącą w kraju (13). Ale jego opinia miała zastosowanie głównie do poziomu lokalnego i stanowego. Pojawieniu się polityków zawodowych towarzyszyło obniżenie się politycznego doświadczenia u przywódców na poziomie ogólnopaństwowym. Przed Wojną Domową naczelnymi przedstawicielami władzy państwowej (prezydent, wiceprezydent, członkowie gabinetu, speaker Kongresu, sędzio-

wie Sądu Najwyższego) poświęcali polityce większą część swojej kariery, niż innym zajęciom. Pokolenie z lat 1801-1825 dosięgło maksimum pod tym względem poświęcając polityce 65 proc. swego czynnego życia. Natomiast po Wojnie Domowej ciż sami naczelnicy przedstawiciele władzy państwowej spędzali większą część swego czynnego życia w pracy niepolitycznej. Pomiedzy 1901 a 1921 rokiem tylko 28 proc. ogólnej ich liczby poświęcało się polityce. Podobny spadek w tym czasie daje się zauważyć również w proporcji tych naczelnich przywódców państwowych, którzy posunęli się w górę głównie lub częściowo poprzez urzędy wybieralne, jak również tych którzy zajmowali lokalne lub stanowe urzędy, wreszcie tych którzy byli członkami parlamentów stanowych (14). Podczas gdy aparaczkowie w sowieckim systemie politycznym posuwają się w górę i dominują, polityk wyborczy na scenie amerykańskiej powoli zanika.

Te same czynniki, które wywoływały wzrost znaczenia aparaczków, stanowiły przyczynę upadku znaczenia tradycyjnego amerykańskiego polityka wyborczego. Zasadniczym powodem tego była biurokratyzacja współczesnego społeczeństwa. Polityk wyborczy czuje się u siebie w stanowym parlamencie lub w kongresie, lecz zupełnie nie na właściwym miejscu w biurokracji administracyjnej, przemysłowej lub wojskowej. Umiejętności biurokraty zupełnie nie pokrywają się z umiejętnościami polityka wyborczego. Ostatnio w polityce amerykańskiej niewielu ludzi potrafiło działać z powodzeniem w obu tych sferach. Na przykład, Averell Harriman wykazał długotrwałe zdolności na różnych stanowiskach rządowych: administratora NRA, doradcy prezydenta, ambasadora, członka gabinetu, dyrektora akcji pomocy zagranicznej, zastępcy sekretarza stanu. Ale wyraźnie nie zdołał osiągnąć tego samego powodzenia jako gubernator New Yorku. Wybierający karierę wyborczą muszą się związać, zrosnąć, z pewnym określonym kręgiem lub stanem. Tym którzy zrosli się z ogólnopaństwowymi instytucjami trudno zapuścić lokalne korzenie niezbędne dla kariery wyborczej — przy tym często nie uważają tego za bardzo potrzebne. W swojej książce Hunter pisze o ludziach interesu (*businessmen*), wśród swoich 100 naczelnich przywódców państwowych: „Chociaż są oni kierownikami polityki, nie chcą — z małymi wyjątkami — kandydować na wybieralne stanowiska i uważają siebie za wyższych od tych którzy to czynią (15). Chylenie się do upadku polityka wyborczego jest więc bezpośrednim i pośrednim skutkiem rozrastania się wielkich biurokracji publicznych. Kierownicy tych biurokracji są z natury rzeczy kierownikami całego narodu, ale

(11) Merle Fainsod. *How Russia Is Ruled*. (rev. edn., Cambridge, Mass., 1963), 181.

(12) Ibid. 206-7. Cf. Leonard Schapiro, *The Communist Party of the Soviet Union* (New York 1960), 57-73.

(13) James Bryce, *The American Commonwealth* (London and New York, 1891), II.

(14) Liczby te są wzięte z książki Millsa: *Power Elite*, 228-231.

(15) Hunter: *Top Leadership*, 208. O dalszej dyskusji w sprawie luki pomiedzy kongresowymi i wyborczymi politykami a innymi elementami elity państwowej, patrz: Andrew Hacker, „The Elected and the Anointed”, *American Political Science Review*, LV (September 1961), — 49. James N. Rosenau, *National Leadership and Foreign Policy* (Princeton 1963), 345-60.

polityk wyborczy jest wyłączony z tych nowych ośrodków władzy. Przy tym, kierownicy nowych machin biurokratycznych, wchodząc do wykonawczych organów państwowych, rugują polityków wyborczych z dotychczas zajmowanych pozycji. Odsunięty do kongresu oraz urzędów lokalnych i stanowych polityk wyborczy działa głównie w średnim zasięgu władzy. Dla amerykańskiego systemu rządowego ten rozwój był naturalnym, choć nie jest bynajmniej koniecznym rysem demokratycznego rządu XX wieku. Na przykład, w Wielkiej Brytanii polityk parlamentarny zachowuje swoją wyższość w gabinecie i w ministerstwach. Droga do naczelných stanowisk w brytyjskim systemie prowadzi zawsze przez karierę zawodowego polityka.

W większości systemów politycznych dochodzi się do naczelných urzędów za pomocą uzyskania poparcia kluczowych figur politycznych, z którymi przypadnie później pracować. Na to by wygrać walkę o następstwo, Stalin czy Chruszczow zdobywa większość w Prezydium i K.C., złożonych z ludzi, którzy będą następnie jego głównymi towarzyszami lub podwładnymi w sprawowaniu władzy. Podobnie, w Wielkiej Brytanii, członek Izby Gmin zostaje normalnie premierem, będąc poprzednio wybranym szefem partii przez swoich kolegów partyjnych w parlamencie. Główne figury partyjne w Izbie Gmin i poza nią, których poparcie jest dla niego niezbędne, aby się stać szefem partii, zostają członkami jego gabinetu, gdy powołany zostanie na stanowisko premiera. Natomiast w Stanach Zjednoczonych luka pomiędzy polityką wyborczą a rządową wytwarza lukę pomiędzy osobnikami, od których zależy wybór danego kandydata na prezydenta, a tymi od których prezydent zależy w wykonywaniu swojej władzy. Grupa polityków wyborczych składa się z politycznych kierowników i bossów w kluczowych stanach i miastach — gubernatorów, merów, prezesów stanów i okręgów stanowych (county), oraz senatorów. Są to zawodowi politycy, których ogólnopolskie funkcje ograniczone są do nominacji kandydata na prezydenta (w pełnej glorii występują oni na konwencjach partyjnych), oraz do wyboru tego kandydata na urząd prezydenta. Są to miejscowe satrapy, wpływające co 4 lata na powierzchnię na kilka miesięcy, by kształtować losy narodu. Z chwilą jednak kiedy kandydat jest wybrany, nie są oni dla niego ani poważniejszą pomocą, ani przeszkodą w sprawowaniu urzędu. By zostać prezydentem trzeba dysponować tylko tymi środkami, które dają się przekształcić w głosy. Natomiast dla rządu potrzeba o wiele więcej. Powodzenie prezydenta zależy częściowo od przywódców kongresu, którzy (z małymi wyjątkami jak Harry Byrd) tkwiąc przeważnie w kongresie, nie są z tego właśnie powodu dominującymi postaciami partyjnymi w swoich okręgach. Następnie, powodzenie prezydenta zależy także od współdziałania z nim kierowników całego ustanowionego układu rzeczy (Establishment) i od jego zdolności zmobilizowania politycznych i technicznych umiejętności i doświadczenia na bardzo różnych polach polityki. Ta potrzeba prowadzi go do

takich sektorów życia amerykańskiego, z którymi mógłby się nigdy nie spotkać w swojej karierze wyborczej. Nawet człowiek tak szeroko ustosunkowany jak John F. Kennedy, nagle uświadamiał sobie — jak to było przez wiarogodne źródło relacjonowane — że nie zna właściwych ludzi. W ciągu swojej kampanii wyborczej spotkał on faktycznie każdego polityka w Stanach Zjednoczonych. Ale do ułożenia gabinetu rządowego jego szeroki zasięg znajomości wydał się niewystarczającym. Trafność tej obserwacji zrobionej ściśle rzeczowo, bez elementu ubolewania, została następnie potwierdzona gdy Kennedy mianował na kilka kluczowych stanowisk w swej administracji ludzi przedtem mu nieznanych (16). „Dziwięciu obcych ludzi i jeden brat” — to zdanie nie określa dokładnie gabinetu Kennedy'ego, ale wskazuje dobitnie na problem stający przed obejmującym urząd prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Sowieckie Politbiuro, mimo dręczących go sporów wewnętrznych, jest w znaczeniu zbiorowej odpowiedzialności i doświadczenia, prawdziwym zespołem. Chociaż liczy przeciętnie od 10 do 15 członków tylko 45 osób ogółem było jego członkami w ciągu 42 lat, od 1919 do 1961, przy tym przeciętny okres członkostwa wynosił 10 lat. Sytuacja gabinetu brytyjskiego jest nieco podobna. Po dojściu pewnego stronnictwa do władzy, jego przywódcy nie mają wielkiego wyboru przy formowaniu gabinetu. Wszyscy jego członkowie, z małymi wyjątkami, siedzą w Izbie Gmin, przeważnie co najmniej 10 lat, przy tym większość pracowała już zespołowo przedtem jako „gabinet cieni”. Premier brytyjski może przesuwac ich z jednego fotela na inny, zależnie od tego komu należy dać ważniejsze, a komu podrzędniejsze miejsce w gabinecie, ale oblicze ogólne jego rządu jest znane ogółowi wyborców jeszcze przed objęciem władzy. W przeciwieństwie do sowieckiego Politbiura i brytyjskiego gabinetu, administracja Stanów Zjednoczonych jest ciałem całkowicie ad hoc sformowanym. Jako zespół, członkowie jego nie posiadają wspólnego poprzedniego doświadczenia. Prezydent musi honorować swoje długie polityczne i balansować różne interesy w swojej administracji, lecz w tych granicach może powołać do gabinetu każdego kogo potrafi namówić do przyjęcia urzędu. Sowieccy przywódcy polityczni posuwają się w górę po wspólnej drabinie partyjnego aparatu. Jak to wskazują liczby w tablicy III, główni podwładni prezydenta przychodzą z najróżnorodniejszych środowisk. Amerykańscy szefowie wykonawczego aparatu państwowego są rekrutowani ze wszystkich 4-ch kątów narodu. Żaden inny kraj nie czerpie swoich politycznych kierowników z tak rozmaitych źródeł (17).

(16) Douglas Cater: „A New Style, A New Tempo”, *The Reporter*, XXIV (March 16, 1961), 28.

(17) Rozmaitość wywołuje problemy, ale ma też i dodatnie strony, jak to niektórzy brytyjscy obserwatorzy zauważyli. Vide komentarz do brytyjskiego i amerykańskiego systemu politycznej rekrutacji. Max Beloff, „The Planner's Place in Foreign Policy”, *The Times* (London), January 18, 1963, 9.

W żadnym też kraju nie przechodzą ludzie tak często od naczelnich stanowisk w administracji do analogicznych stanowisk w wielkich instytucjach społecznych i vice-versa. W społeczeństwach XVIII wieku, społeczno-gospodarczy przywódca, arystokratyczny właściciel ziemski, mógł również jednocześnie dowodzić pułkiem w armii i mieć miejsce w rządzie. W końcu XIX w. Amerykanie niechętnie wyrzekli się zaufania do amatorów w swojej armii, a w polityce zachowują to zaufania nawet w II połowie XX wieku.

W przeciwieństwie do różnorodności amerykańskiego przywództwa, jednorodność sowieckich przywódców jest zilustrowana przez ich instytucjonalne pochodzenia, jak to pokazuje tabela II.

T a b e l a I I

GŁÓWNE ZWIĄZKI INSTYTUCJONALNE
NACZELNYCH PRZYWÓDCÓW SOWIECKICH
Prezydium Partii (Politbiuro) i Sekretariat łącznie

	Za Stalina 1949 (15 czł.)	Za Ma- lenkova 1953 (18 czł.)	Za Bułganina- Chruszczowa 1956 (21 czł.)	Za Chru- szczowa 1962 (21 czł.)
Zawodowy aparatczik (Ideologia)	54% 7%	61% 11%	67% 14%	81% 20%
Biurokracja państwowa (Przemysł)	33% 20%	28% 17%	23% 14%	19% 5%
Policja i wojsko	13%	11%	9%	—
RAZEM	100%	100%	100%	100%

Wyszktałenie

	Za Stalina 1949 (15 czł.)	Za Ma- lenkova 1953 (18 czł.)	Za Bułganina- Chruszczowa 1956 (21 czł.)	Za Chru- szczowa 1962 (21 czł.)
Wyższe (Techniczne, instytuty naukowe)	40% (33%)	56% (45%)	71% (53%)	76% (52%)
(Ekonomika, marksizm- lenizm i humanistyka)	(6%)	(11%)	(18%)	(24%)

Nieukończone wyższe i średnie (Gimnazjum)	34% (13%)	21% (5%)	14% (5%)	19% (5%)
(Szkoły techniczne)	(13%)	(11%)	(5%)	(10%)
Powszechnie	13%	11%	5%	5%
Żadne	13%	11%	9%	—
RAZEM	100%	100%	100%	100%

Te dane wymagają pewnych zastrzeżeń i kilku uwag. Przede wszystkim trzeba podkreślić, że przydział naczelnich szefów do partii lub do biurokracji państwowej jest zupełnie dowolny. Większość tych, którzy są zapisani jako związani głównie z biurokracją byli lub wciąż jeszcze są wysokimi dygnitarzami partyjnymi, np. Beria lub Mikojan. Jednakże byli oni przydzieleni do kategorii urzędowej wtedy, gdy zajmowali się głównie pewnymi specjalnymi działami w maszynie państwowej i nie byli wciągani w sprawę partyjne.

Tabela II pokazuje graficznie stały wzrost przewagi aparatczików. Trzeba zaznaczyć jednak, że ten wzrost nastąpił wskutek rozszerzenia Prezydium i Sekretariatu, oraz wskutek zniknięcia ze sceny „reprezentacji” wojska i policji. (W roku 1949 i 1953 było ich po jednym; w 1956 było dwóch wojskowych, chociaż można uważać, że związki Woroszyłowa z wojskiem były znikome; w 1962 nie było żadnego, chociaż Szelepin, aparatczik, i przez pewien czas szef tajnej policji, mógł być upoważniony do nadzorowania spraw bezpieczeństwa). Liczba członków Politbiura i Sekretariatu, związanych z biurokracją państwową, pozostawała zawsze jednakowa, co nasuwa przypuszczenie, że uważana była za funkcjonalnie pożądaną.

Godnym uwagi jest również stały wzrost liczby zawodowych ideologów na szczycie partii, co jest pośrednim refleksem nowego nacisku na doktrynalne szkolenie i być może niepokoju z powodu ostatnich sporów ideologicznych. Ponadto, ostatnia faza stalinizmu odznaczała się brakiem socjalno-ekonomicznych innowacji, a statyczna ortodoksja wymaga mniejszej liczby interpretatorów niż okres nacechowany przez znaczne eksperymentowanie. Określenie celów i wybór nowych środków są również problemami ideologicznymi. W r. 1949 na najwyższym szczeblu był tylko jeden zawodowy ideolog, w r. 1953 byli dwaj, w r. 1956 — trzech, z których jeden jest teraz w Prezydium, w r. 1962 — czterech, z nich dwaj w Prezydium. Ich urzędowy rodowód i wykształcenie może przyczynić się do wyrównania przesadnej tendencji do czysto „pragmatycznej” lub technicznej orientacji w Prezydium. Wzrost liczby ideologów kontrastuje ze stopniowym znikaniem biurokratów przemysłowych, chociaż znaczenia tego zanikania nie należy przeceniać. Wielu najwyższych aparatczików miało staż przemysłowy, mniej niż połowa ich przeszła szkolenie

techniczno-naukowe, a niektórzy sprawowali pewne związane z przemysłem misje, (np. Breżniew nadzorował w r. 1957-58 reorganizację biurokracji przemysłowej). Ważniejszym jest, że niektórzy z nich mogli popierać pewne interesy przemysłowe — bądź dla względów ideologicznych, bądź dlatego, że widzieli w rozwoju przemysłu podstawę do zachowania supremacji partii.

Tabela II potwierdza pogląd, że na sowieckim szczycie istnieje tendencja do większej przewagi zawodowych aparatczików, wspomaganych z jednej strony przez zawodowych ideologów, a z drugiej — przez ekspertów. Dla skonstruowania analogii amerykańskiej trzeba by wyobrazić sobie administrację, w której dominuje spółka staroświeckich politycznych *financerów* wielkomijskich i wyższych urzędników państwowych z senatorem Mc Carthy lub generałem Walkerem jako ideologami z jednej strony i grupą przemysłowych menadżerów, jako doradców technicznych — z drugiej. Dane w Tabeli II dotyczące wykształcenia (w kilku wypadkach klasyfikacja była dowolna z powodu nieściśłości posiadanych informacji), również potwierdzają pogląd, że skład przywódczego szczytu sowieckiego różniczkuję się coraz mniej. W Politbiuro Stalina z r. 1949 siedzieli ludzie o różnej przeszłości publicznej i urzędowej i o różnym poziomie wykształcenia, przy tym 1/4 członków Politbiura nie miała żadnego formalnego wykształcenia. Prezydium Chruszczowa z roku 1962 zawierało 4/5 aparatczików i prawie 4/5 ludzi z wyższym wykształceniem. Ten ostatni skład Politbiura odpowiada zasadniczej tendencji współczesnej zawodowej biurokracji.

Wprawdzie Prezydium i Sekretariat ZSSR nie starają się „reprezentować” poszczególnych odcinków urzędowej maszyny sowieckiej, ani też interesów narodowych społeczeństwa sowieckiego, a niektóre z nich (np. wojskowe) nie są obecnie w ogóle reprezentowane, jednakże członkowie tego ciała z konieczności specjalizują się w poszczególnych dziedzinach i w tym sensie można o nich mówić jako o pośrednich przedstawicielach pewnych poszczególnych interesów. Ponadto, czynione są zwykłe starania o wprowadzenie do najwyższych organów partyjnych dwóch lub trzech nie-Rosjan. Trzeba jednak mieć stale na oku, że tradycja organizacyjna i dyscyplina partyjna zapobiega wytworzeniu się w Prezydium i w Sekretariacie ciasnego partykularnego poglądu na sprawy. Podobnie jak kardynałowie Kurii Watykańskiej, są oni przeważnie zawodowymi politykami, mającymi wspólny pogląd na świat, wspólne interesy i coraz bardziej wspólną przeszłość.

W Stanach Zjednoczonych, przeciwnie, źródła z których prezydenci czerpią swoją administrację, są bardzo różne. Interesy reprezentowane w kongresie są określone przez geografę, natomiast wielkie, zasadnicze interesy całego kraju są bezpośrednio reprezentowane w Administracji. Właśnie ta cecha Administracji tłumaczy wzrost znaczenia władzy wykonawczej kosztem organów ustawodawczych. Niestety, nie przeprowadzono studiów nad przedstawicielskimi funkcjami Administracji, jednakże na-

wet częściowe dane Tabeli III wskazują, że każda Administracja mieści w sobie nieco inne kombinacje interesów. Prawie połowa ludzi zajmujących naczelne stanowiska w Administracji Trumana miała za sobą karierę w cywilnej lub wojskowej administracji federalnej, czyli dwa razy więcej niż w Administracji Eisenhowera lub Kennedy'ego. Będąc następcą prezydenta, który sprawował swój urząd przez 12 lat, Truman dobierał swoich głównych podwładnych spośród biurokratów w średnim wieku, którzy jako obiecujący młodzi ludzie dopiero co wychodzący z uniwersytetów lub szkół prawniczych, napłynęli tłumnie do Waszyngtonu w roku 1933. Jak zauważył John Fischer „najwydatniejszą różnicę pomiędzy obecną Administracją a New Deal'em stanowi 80 funtów tłuszczu otaczających brzuch biurokraty” (18). Administracja Trumana mogła również ściągnąć do siebie znaczną liczbę starszych oficerów, którzy w ciągu II wojny światowej wykazali swe zdolności i mogli teraz zapełnić szybko rozrastające się z powodu Zimnej Wojny urzędy polityczne, gdy, jednocześnie, ochotnicy w służbie państwowej z okresu wojny wracali do życia prywatnego. W ten sposób Administracja Trumana stanowiła wyraz rozległego doświadczenia w rządzeniu, ale nie w wyborach. Według terminologii europejskiej był to „rząd fachowców”.

T a b e l a I I I

POPRZEDNIE ZAWODY KIEROWNIKÓW ADMINISTRACJI*)

	Truman 1949 65 osób	Eisenhower 1953 68 osób	Kennedy 1961 75 osób
Polityka wyborcza	5%	6%	14%
Urzędy państwowe	48%	23%	21%
Cywilne	(35%)	(10%)	(12%)
Wojskowe	(13%)	(13%)	(9%)
Prywatne	39%	53%	41%
Interesy gospodarcze	(15%)	(28%)	(11%)
Prawo	(14%)	(13%)	(11%)
Oświata	(3%)	(6%)	(16%)
Inne	(6%)	(6%)	(4%)
Mieszane	8%	17%	23%
Prywatne — wyborcze	(5%)	(7%)	(10%)
Prywatne — urzędowe	(3%)	(10%)	(13%)
	100%	100%	100%

Jednakże była to zarazem wskazówka jej politycznej słabości. Nie zdołała ona zwerbować znaczniejszej liczby ludzi, którzy

(18 „Truman and Co”. Harpers, Vol. 199 (July 1949), 19.

*) W latach 1949, 1953 i 1961 kierownicze stanowiska w Administracji

porobili kariery w interesach, prawie, oświacie i innych zawodach prywatnych. W Administracji Trumana zaledwie 27% naczelników kierowników miało za sobą prywatne kariery, całkowicie lub częściowo, podczas gdy w Administracji Eisenhowera było takich ludzi 70%, a u Kennedy'ego — 64%. Administracja Trumana była w praktyce odgradzona od głównych pozarządowych źródeł siły i wpływu, nie mogła wciągnąć do współpracy ani świata bankowego, ani wielkiego przemysłu, ani sfer nauki i oświaty. W ten sposób autorytet każdej Administracji stoi w stosunku odwrotnym do proporcji zawodowych urzędników w wyższych instancjach.

Administracja Eisenhowera, przeciwnie, niewiele pokładała na zawodowych urzędnikach państwowych. Ponad 50% jej naczelników kierowników w r. 1953 miało za sobą kariery w interesach (business). Proporcja zawodowych ludzi interesu w Administracji Eisenhowera w roku 1953 była dwukrotnie większa, niż w Administracji Trumana w r. 1949 i 2 i pół razy większa niż u Kennedy'ego w 1961. Miał rację Sekretarz Spraw Wewnętrznych Eisenhowera gdy powiedział: „Jako Administracja reprezentująca business i przemysł, siedzimy tu mocno w siodle”.

W swoim pierwszym roku Administracja Kennedy'ego przyjęła jeszcze inny wzór. W odróżnieniu od poprzednich Administracji żadna z dotychczasowych wyłęgarni przywódców tam nie przeważała. Jednakże trzy kategorie kierowników były w niej reprezentowane w stopniu znacznie większym niż w Administracji Trumana i Eisenhowera. Wielu członków Administracji Kennedy'ego łączyło prywatne kariery z rządowymi. Wskazywało to, w jakich rozmiarach Kennedy mógł korzystać z doświadczenia demokratycznej Administracji sprzed 8 lat. 29 spośród naczelników osobistości w niej służyło już za Trumana. Po wtóre, Administracja Kennedy'ego była w pewnym sensie bardziej polityczną niż jej poprzedniczki. Polityków wyborczych było w niej 14%, ponad 2 razy więcej niż w Administracji Trumana i Eisenhowera. Ale tylko 13 ludzi spośród 75 zajmowało poprzednio wybieralne stanowiska na szczeblu federalnym, stanowym lub lokalnym, podczas gdy w Administracji Trumana było ich 10 na 65 i w Administracji Eisenhowera 13 na 68. Wyższa proporcja specjalistów wyborczych w Administracji Kennedy'ego była wyrazem nie tyle powrotu do staroświeckiej polityki wyborczej, ile wejścia do Administracji pomocników w kampanii wyborczej i nowego typu menadżerów politycznych, których pierwowzorem był brat prezydenta. Trzecią cechą wyróżniającą Administrację Kennedy'ego była duża liczba profesorów i oświatow-

byli podzielone w następujący sposób: Urząd prezydenta, włączając prezydenta i wiceprezydenta według tej samej kolejności lat — 14, 14, 14; szefowie ministerstw — 9, 10, 10; wyżsi urzędnicy Departamentu Stanu — 4, 6, 9; szefowie Obrony Narodowej, łącznie z JCS — 11, 11, 12; wyżsi urzędnicy w innych resortach — 8, 9, 10; szefowie pozarządowych urzędów i instytucji — 19, 18, 20:

ców. Podczas gdy za Eisenhowera businessman'ów było dwa i pół razy więcej niż za Kennedy'ego, stosunek oświatowców był odwrotny: dwa i pół razy więcej za Kennedy'ego niż za Eisenhowera i nawet 5 razy więcej niż za Trumana. „Mafia irlandzka” i „Harvard” — te potoczne określenia były odbiciem tego stanu rzeczy.

III Czy nowy profesjonalizm?

Brak korpusu zawodowych biurokratycznych polityków jest główną cechą odróżniającą polityczne przywództwo w Stanach Zjednoczonych od tegoż w ZSSR. Szczytowy przywódca polityczny w ZSSR jest politykiem i zarazem biurokratą, a w Stanach Zjednoczonych — albo politykiem albo biurokratą. John Kennedy tkwił 14 lat w polityce i ani jednego roku w biurokracji. Dwight D. Eisenhower — 35 lat w biurokracji i ani jednego w polityce wewnętrznej. Chruszczow łączy w pewnym sensie umiejętności obu. W tym mieści się kapitalny problem politycznego przywództwa w Stanach Zjednoczonych. Współczesne społeczeństwo jest zbiurokratyzowanym społeczeństwem, które wymaga by nim zarządzili biurokratyczni politycy. W Stanach Zjednoczonych polityk zawodowy tradycyjnego typu wycofuje się do ciał ustawodawczych. W jakich rozmiarach jest możliwe wytworzyć w Stanach Zjednoczonych pewien typ zawodowego biurokratycznego polityka, który by zastąpił zanikający typ polityka wyborczego? Czy może nie-polityczny przywódca w ramach ustalonego porządku (*Establishment*) stać się z powodzeniem politykiem biurokratycznym, a zarazem kierowniczym w rządzie? Ma on prawdopodobnie więcej szans niż polityk wyborczy by mieć powodzenie na stanowiskach administracyjnych z wyjątkiem prezydentury (19). Ale czy uda mu się wnieść do rządzenia potrzebne tam główne umiejętności i doświadczenie — jeżeli pracował głównie lub wyłącznie w przemyśle, bankowości, oświacie, prawie lub w wojsku? Wszystkie biurokracje, oczywiście, do pewnego stopnia są do siebie podobne i umiejętności wymagane do kierowania są te same. Zasłużony dowódca wojskowy może przekształcić się — nie całkiem bezboleśnie — w dobrego wykonawczego urzędnika jakiegoś ciała społecznego czy samorządowego. Ale dopasowanie się do przesunięcia z jednej specjalnej biurokracji do drugiej może być łatwiejsze niż ze specjalnej biurokracji do kierowniczego stanowiska w Administracji. W specjalnej biurokracji awans jest zazwyczaj skutkiem z jednej strony protekcji, wpływów i kontaktów, a z drugiej zdolności wykazanych obiektywnie w dziedzinie wiedzy i wyników pracy.

(19) „Na ogół członkowie gabinetu Kennedy'ego, którzy zajmowali wybieralny urząd, zdawali się mieć większe trudności z dopasowaniem się do swej roli w gabinecie, niż ci którzy poprzednio byli związani z wielkimi interesami, ze światem pracy lub z wielkimi fundacjami”. E. W. Kenworthy, *New York Times*, July 16, 1962, 16.

W politycznej biurokracji tego rodzaju co Partia Komunistyczna ZSSR, lub poszczególna Administracja amerykańska, te dwie przyczyny awansu są bardziej ogólne i trudniejsze do odróżnienia. Przystępność i kontakty są w pewnym sensie kryterium przy ocenie polityków. Wyniki pracy są oceniane w pojęciach społecznych, politycznych i ideologicznych wartości, które w przeciwieństwie do norm obowiązujących w specjalnej biurokracji, są rozbieżne, subiektywne i sporne. Członek gabinetu mający powodzenie u konserwatysty może zupełnie nie mieć go u liberała. Dlatego te czynniki, które mają doprowadzić człowieka do szczytu biurokracji specjalnej, niekoniecznie są dla niego dobrym przygotowaniem do otwartego ubiegania się w politycznej biurokracji. Nie mając za sobą doświadczenia w walce o urząd i władzę, może mieć trudności z dopasowaniem się do takiej walki. Na ogół, im bardziej techniczną i specjalną jest jego praktyka w życiu prywatnym, tym więcej trudności nastręczy mu praca rządowa. Stąd pochodzi znana ogólnie uwaga, że bankierzy z Wall Street lepiej radzą sobie w Waszyngtonie niż przemysłowcy z „Midwest”. W amerykańskiej amatorskiej tradycji tkwi założenie, że ludzie będący przywódcami na pewnym terenie mogą być nimi na każdym innym terenie, oraz że zdolność przewodzenia składa się z pewnych rysów, które niektórzy ludzie mogą rozwinąć w sobie, a inni nie. Jednakże zdolności do przewodzenia nie są uniwersalne lecz zależne od poszczególnych sytuacji i przywódca w jednym środowisku może okazać się najbardziej nieodpowiednim w innym.

W ten sposób największe szanse powodzenia mają ludzie z doświadczeniem w politycznej biurokracji. Stany Zjednoczone powoli kształtują — w pewnym stopniu — taką grupę biurokratycznych polityków. Ogromny rozrost biurokracji federalnej rozmnożył ilość „urzędów politycznych” na jej szczycie. Nie jest wyłączone, że powstaje już nowy typ amerykańskiego biurokratycznego polityka — człowieka, który startując w jednej z prywatnych instytucji ustalonego porządku (*Establishment*), przesuwając się w stosunkowo młodym wieku na niższe stanowisko rządowe i stamtąd podciąga się stopniowo w górę aż do naczelnego stanowiska w Administracji. Niezależnie od normalnego ryzyka w polityce, kluczowym problemem w takiej karierze jest to, że żadna Administracja nie trwa dłużej niż 8 lat. Dlatego kariera politycznego urzędnika wyższej rangi w Administracji nie daje szans spędzenia w niej całego życia. Otwierają się tu trzy drogi do wyboru. Po pierwsze, jeżeli następują po sobie dwie administracje tej samej partii, niechybnie wielu polityków biurokratycznych pozostanie na swoich stanowiskach. Po drugie, jeżeli nawet inna partia przychodzi do władzy, pewna liczba ludzi będzie mogła kontynuować swoją urzędową karierę. (Są to, według określenia Galbraitha, „ludzie ustalonego porządku”, republikańskie w Administracji demokratycznej, lub demokraci — w republikańskiej). Po trzecie, w razie przejścia do władzy drugiej partii, wielu politycznych urzędników poprzedniej Administracji

prawdopodobnie wróci do prywatnej działalności, lecz przyjdzie ponownie do rządowej roboty, gdy nastąpi nowa zmiana partii u władzy. Wytwarzanie się w Stanach Zjednoczonych tego rodzaju warstwy „kandydatów na ministrów” sugeruje fakt, że 13% naczelników kierowników Administracji Kennedy’ego miało za sobą mieszaną, rządowo-prywatną karierę, podczas gdy w Administracji Eisenhowera było ich 10%, a w Administracji Trumana tylko 3%. To, że prawie 40% naczelników kierowników Administracji Kennedy’ego zajmowało jakieś stanowiska w Administracji Trumana, nasuwa również myśl, że w przyszłości elita jednej Administracji będzie często rekrutowana spośród pod-elity poprzedniej Administracji tejże partii. Wzorem dla nowego amerykańskiego aparatchika może być rozległa służba w urzędach rządowych przeplatana z pewną praktyką prywatną.

Jednakże jest mało prawdopodobne, aby nowy profesjonalizm amerykańskiego politycznego przywództwa mógł się wyrazić w formie podobnej do sowieckiej. Znacznie bardziej ideologicznie nastawiony system sowiecki wymaga daleko większej selektywności w doborze ludzi i o wiele większego nacisku na osobisty związek z określoną jawną orientacją, niż by to było uzasadnione przez czysto funkcjonalne wymogi politycznego systemu w wysoce uprzemysłowanym społeczeństwie. Skoro jednak ta selektywność i związanie się są konieczne dla utrzymania się elity przy władzy, będzie prawdopodobnie ta elita kłaść na to nacisk używając legitymacji partyjnej jako środka do wciągnięcia w sieć pracy partyjnej politycznie zorientowanych i ambitnych elementów społeczeństwa. Wejście do przywództwa politycznego przez boczne drzwi z nie-politycznych, lecz wysoce odpowiedzialnych stanowisk będzie nadal uważane za niebezpieczne dla jednolitości tego przywództwa, a przez to i dla jego władzy. Rzeczywiście, gdyby na wierzchołku politycznym w ZSSR pojawiła się znaczniejsza liczba ludzi mających za sobą kariery w biurokratycznym niepolitycznym zawodzie, byłby to ważny klucz do zmian w Związku Sowieckim. Jednakże, nim to nastąpi, sprawowanie władzy i polityki pozostanie tam, w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, sprawą biurokratycznego profesjonalizmu i ideologicznej jednolitości. Sowieckie przywództwo wciąż kieruje się zaleceniem Machiavelli’ego (w którym słowo „wojna” jest zastąpione przez „polityka”); „Książę nie powinien... mieć innych celów i myśli, ani też podejmować studium innych problemów, jak tylko politykę, jej organizację i dyscyplinę, bowiem jest to jedyna sztuka potrzebna dla tego kto rządzi... Główną przyczyną upadku państw jest lekceważenie tej sztuki...”.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

i

Samuel P. HUNTINGTON

(Autoryzowany przekład Kazimierza OKULICZA z „World Politics”, Tom XVI, nr 1, październik 1963).

Chińskie wędrówki

Babilon Wschodu

Szanghaj. Nankin-Hotel i armia szarych gmachów, milionami kańciastych oczodołów patrzących na statki zakotwiczone lub zacumowane przy betonowych brzegach rzeki Jang-cy-kiang. Ten z żółtymi nadbudówkami przypłynął z dalekiej Polski i cała załoga opuszcza go czym prędzej, a nowicjusze są najbardziej niecierpliwi. Jalu pokazuje przy trapię przepustkę, mija siedem jednakowych magazynów portowych rozstawionych w jednakowych odstępach, znów pokazuje przepustkę strażnikowi przy bramie i skręca na ulicę w ruchliwy, nieregularny pół-tłum. Dużo narodu chodzi tu w białych maskach z gazy, chroniących od kataru. Ta dziewczyna na rowerze też ma białą maskę. Robotnik z młotem, narzucony na mur kolorowym wapnem, patrzy na przeciwną stronę ulicy. Na półpiętra, na oszklone werandy, w których znajdują się czarnookie i prostowłose kobiety. Tylko, że teraz nie noszą one kimon i nie śpiewają tak jak tamte śpiewały. Jalu minął most, potem bulwar. To tu ten marynarz z filmu zobaczył białą lady, a tu usłyszał jej przeraźliwe: *help! help!* Dzisiaj nie tu nie ma ci ciszy, rozległej i brudno-szarej jak Jang-cy-kiang.

Jalu skręcił w jedną z ulic, potem w drugą i w trzecią — wciąż te same do siebie podobne domy, grzbiety murów wykonanych z tłuczonym szkłem i wystawy nieistniejących sklepów. — Przepraszam, gdzie tu jest centrum? — zapytał pierwszą spotkaną Chinke. Kobieta w fufajce i watowanych spodniach przyśpieszyła kroku. Zaczął iść za nią, spychając ją na skraj chodnika. Obok jakiegoś słupa podszedł tuż, tuż i powtórzył pytanie. Obeszła słup, pozostawiając go przed sobą. — Hallo, lejtnant! — zwrócił się do wojskowego — gdzie tu... — Tam — pokazał umun-

durowany — dalej i w prawo. Jalu poszedł we wskazanym kierunku i znów znalazł się na bulwarze za mostem. Dalej był już tylko neon z kotwicą i mewą. To chyba będzie mój Szanghaj — pomyślał. W hallu wysokim i przestrzennym marynarze spod różnych bander tworzyli beładne grupki, między którymi snuli się Chińczycy w różnych kierunkach. Jalu wszedł w pierwsze drzwi — do czyteln i przeczytał na ścianie hasło: *Long live Republic of China!* Zanurzeni w fotelach marynarze siedzieli, jakby czekając na dentystę. Można tu dostać „Trybunę Ludu” i świeże wiadomości — zauważył. Teraz jednak nie potrafiłbym się skupić — pomyślał — przecież muszę najpierw zobaczyć mój Szanghaj. Poszedł w ślad za marynarzem, który wszedł w następne drzwi.

Tam zgubił się wśród mnogości chińskich abażurów, masek, płaskorzeźb z korka i dziwnych instrumentów o dwu strunach. — Proszę o tę figurkę. Co to jest? — zapytał. — Bożek sytości. Dwa i pół juana. Pozwoli pan numer książeczki żeglarskiej — my dostarczymy go na pański statek przed wyjściem w morze. I znów ten hall, ci marynarze i Chińczycy. Teraz dopiero Jalu zdał sobie sprawę z tego, że przecież zupełnie przyjemnie może spędzić czas w barze. Z tym nawet marynarzowi (młodemu marynarzowi) bardzo do twarzy. Wtopił się w szum, gwar rozmów, w rozmaitość dźwięków. Za najdłuższym bufetem globu uwijał się barman, ziemista i pomarszczony jak u Melville’a, drogo sprzedając marynarzom za ich własne pieniądze delirium i śmierć. Rzędy wąskoskrzydłych wentylatorów uwieszone u sufitu kołowały jednostajnie jak olbrzymie muchy lub ćmy. Przy jednym z kwadratowych stolików trzech marynarze śpiewali: „Czy widział pan miasteczko Chattanooga-Chu-Chu”, a ich czwarty towarzysz, który drzemał, przy silniejszych akordach podrywał się z krzesła wydawał jakiś dźwięk i zapadał znowu w półsen, aż zwałił się pod stół. Po trzeciej kolejce odór ryżowej wódki przestał wykręcać twarz i Jalu doznał błęgiego uczucia rozleniwienia połączonego z jakąś nieokreśloną satysfakcją. Nie zauważył nawet jak został otoczony czeredą kolegów ze swego statku. Stawiał. I jemu stawiano. Chiński gin rozpuszczał się momentalnie po całym organizmie, wyzwalając równocześnie przeraźliwą jasność umysłu. Nie chcąc kompanom psuć humoru swym trzeźwym obliczem, Jalu nadrabiał zaległości. Paweł nachylił się mu do ucha i wyszeptał: — Po raz drugi zostałem ojcem — żona pisała. Jacuś mu będzie. Wypij ze mną zdrowie Jacusia!

Niektórzy zaczęli całować się i ścisnąć. Dołączyła się załoga z rosyjskiego statku. Odśpiewano czastuszki i *Twist apiat'*, *naczynajem snowa, o-o-o twist apiat' budiem tancowat'*. Dwóch chętnych do tańca rozłożyło się na parkiecie. Od dłuższego już czasu chiński kelner tłumaczył jakimś natrętowi, który z tępym uporem wkładał mu pieniądze do kieszeni, że w tym kraju nie wolno brać napiwków od gości. Ryżówka, brząk, gwar, śpiewy, ryżówka. Na godzinę przed północą kilku Chińczyków wmięsało się między marynarzy tłumacząc, że czas już opuszczać bar, aby zdążyć na statki. Pomagano marynarzom wsiadać do

riksz. Przed samym statkiem, jeszcze w rikszy, Jalu zauważył u swego pijanego kolegi brak książeczki żeglarskiej. Jednakże strażnicy przy bramie i przy trapie nie sprawdzali mu zbyt dokładnie dokumentów, biorąc widocznie pod uwagę jego żałosny stan. Dopiero oficer służbowy na statku zjeżył się, że chińskie władze powiadomiły go o zgubieniu książeczki. Jalu tą samą rikszą wrócił do klubu, aby odnaleźć dokument kolegi. W hallu na czarnej tablicy ktoś wypisywał kredą program imprez na dzień następny: „Bezpłatna wycieczka do cyrku, film wojenno-morski, ping-pong”, a z baru Chińczycy wyprowadzali ostatnich maruderów. Do nich zwrócił się Jalu, wyjaśniając jaka przykrość spotkała jego kolegę. — Czy tego wysokiego z brodą? — tu usłudźni Chińczycy zaprowadzili go do czarnej Wołgi, która już miała odjechać. — Ten dżentelmen — pokazali człowieka w płaszczu włożonym pod szewką na wierzch — schował do kieszeni dokument pańskiego kolegi.

Odzyskawszy cenną książeczkę żeglarską, Jalu wracał na statek piechotą. Świat kiwał mu się leciutko z jednej burty na drugą i Jalu był bardzo szczęśliwy. Rozmyślał półgłosem i cieszył się, że jest już w starym Szanghaju. Potem odbił z właściwej drogi. Znalazł się na takiej ulicy, gdzie nie było już szyn tramwajowych, ani żarówek na słupach. Wreszcie przystanął przed małą furtką. Nawet tę furtkę znalazłem — dziwował się sam sobie i przypomniał mu się „Świerszczyk” z dziecięcych lat.

*„W dalekim Szanghaju
Słoneczko już wzeszło
Skrzypnęła furteczka
Dzieciątko z niej wyszło
I bieгло przed siebie w podskokach.
'Niech żyją nam Chiny i Mao'
Tak chińskie maleństwo śpiewało”.*

Tak, to ta sama furteczka, nie widziałem tu innej. Poczekam tu do wschodu słońca — postanowił. Muszę zobaczyć ją na własne oczy — całym ciałem zawisł na szerniałych sztachetach. To dziecko musi być bardzo małe. Chyba nie większe od zająca lub królika — wyszeptał już całkiem sennie.

Nie zauważył, że podeszli do niego dwaj Chińczycy, nie pamiętał jak zarzucili go sobie na plecy i jak odpoczywali po drodze niosąc go do portu.

Cinhuangtao — Stolica

Czy byłeś kiedy w wielkiej sali? W wielkiej i tak jasnej, że człowiek wstydzi się tam poruszać samotnie? Czy widziałeś miedzianego ptaka strzegącego wejścia do pałacu imperatora? A betonowe drzwi grobowca zatrzasknięte przez Chińczyka, który skończył z głodu u trumny swego władcy? Więc gdy będziesz kiedy w

Pekinie nie zapomnij o tym, proszę — już poza miastem Jalu przypomniał sobie słowa starego profesora historii, który kiedyś wykladał w Chinach, w polskim gimnazjum. Autobus zatrzymał się w miejscu, gdzie zaczynała się „droga duchów” — dwanaście figur wyobrażających ludzi i dwa razy tyle stojących naprzeciw siebie dziwacznych zwierząt, wykutych z tego samego białego kamienia. Jalu patrząc na twarz chińskiego wodza odniósł wrażenie, jakby ten przed chwilą wydał rozkaz: „zabić człowieka!”. Odwrócił się — za siebie — ta sama twarz, ten sam grymas i półuśmiech. Znowu szybko odwrócił głowę, bo myśl o tamtym nie dawała mu spokoju, i zauważył, że się boi i że zbyt często nie chciałby tu powracać. „Droga duchów” prowadziła do trzynastu grobowców cesarzy dynastii Ming, którzy spoczywali tam ze swym sprzętem wojennym i końmi. W jednym grobowcu leżało również ciało nałożnicy cesarza. Drzwi prowadzące do grobowców zamykały się podobno od wewnątrz w jakiś tajemniczy, Chińczykom tylko znany sposób, ale ustne podanie głosi, że robił to wierny sługa imperatora. Zachowały się także cesarskie monety, klejnoty, i oryginalne korony cesarskie — prawdziwe pomniki wschodniego bogactwa i przepychu. Po zwiedzeniu grobowców i obiedzie w hotelu, przewodnicy proponowali bilety do chińskiej opery, lub na nieschodzący w Pekinie ze sceny azejbardzański wodewil „Arszyn miał ałan”, czy też na składankę zespołu amatorskiego.

— Poprzednio w Pekinie tylko ja sam z całej załogi wytrzymałem na tej operze. Pięć pełnych godzin, panie — odezwał się cieśla okrętowy.

— A ja trzy razy z tej opery uciekałem i trzy razy dostawili mnie z powrotem na salę — dodał ktoś inny.

Zdecydowano się więc na występ amatorski: wyjątek opery, deklamacje, pantomima i współczesne sceny chińskie.

W wyjątku ze starochińskiej opery przedstawiono dzieje dwojga małżonków i ich poważnionych rodziców. Nieznajomość języka i liche tłumacze utrudniały zrozumienie, ale pozostawało duże wrażenie wizualne — bogate stroje, maski, interesująca symbolika. W ciekawy sposób wygłaszano deklamacje — stojący w rogu sceny artysta w długich szatach deklamując pomagał sobie drewnianym instrumentem, który wprowadzony w ruch przegubem ręki wydawał dźwięk podobny do klaskania. W pantomimie w sposób artystyczny pokazano perypetie żołnierza ludowej armii chińskiej, który wziął do niewoli dwóch żołnierzy Czang-Kai-szeka, zaś w obrazkach współczesnych — miłość dwojga brygadzystów z dwu sąsiadujących komun ludowych. Poruszono także problem konfliktu pokoleń — rodzice uprawiający własną działkę contra córka pracująca w komunie. Pod nieobecność córki matka wypuściła z kurnika kury, wpędzając je w spółdzielcze proso i krytykując — jak twierdził tłumacz — odporne egzemplarze. Później ojciec, który pracował na swej działce, widząc jakieś kury dzielące również jego ziarno (a sądząc, że są to kury spółdzielcze, bo własne zawsze były zamykane) zabija jedną z nich. Nad trupem kury, w obecności córki i obojga rodziców, cała sytuacja nabrała

dramatycznego spięcia, ale zażegnał to przybyły na ten czas narzeczony córki, wypowiadając równocześnie morał spektaklu.

Program następnego dnia przewidywał zwiedzenie tzw. fabryki sztuki i kilku charakterystycznych obiektów stolicy, oraz zabawę pożegnalną. Wycieczką opiekowało się, tak samo jak poprzedniego dnia, dwóch przewodników i jeszcze jakiś trzeci, który przez cały czas prawie nic nie mówił. Wspomniana wyżej „fabryka sztuki” była po prostu pracownią zatrudniającą większą ilość artystów. Wszyscy chińscy artyści są obecnie zrzeszeni, a tego rodzaju „fabryk” jak pekińska na terenie kraju jest bardzo wiele. Tam powstają charakterystyczne chińskie stroje, rzeźby, maski, hafty, sztuczne kwiaty i ptaki. W salach ogrzewanych żelaznymi piecykami, przy długich drewnianych stołach, artyści oraz różni powielacze sztuki z chińską pracowitością wykonują niekiedy rzeczy niezwykle oryginalne i misterne. Patrząc na pisaniki z nieprawdopodobną ilością wzorów, czy na pagodę w ziarnku ryżu, wierzyć się nie chce, że zrobiła to ludzka ręka.

Jalu na długo zapamiętał białe, prawie przezroczyste palce jednej mistrzyni, formujące ze specjalnego rodzaju ciasta małych jak kruszynki kulisów.

Dłużej zatrzymano się także przy „Domu Wszechchińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych”. — To chluba naszej stolicy — powiedział przewodnik — a zwłaszcza ta sala obrad — tu przemawia towarzysz Mao. Zwróćcie uwagę na brak jakiegokolwiek kolumny i na olbrzymią gwiazdę powieszoną u sufitu. Zbudowaliśmy ten gmach jednym wielkim skokiem — w dziesięć miesięcy — wszyscy pracowali tu ochotniczo.

— U was wiele rzeczy robi się wielkimi skokami — zauważył ktoś z obecnych.

— A tak — Chińczyk uśmiechnął się — tu jest tajemnica naszej siły. Wielkiej siły naszego narodu. Na razie jest nam jeszcze ciężko, ale stale budujemy fabryki i wkrótce przegonimy USA a nawet Związek Radziecki, a liczbą komunistów już przewyższamy wszystkie inne kraje — zaznaczył.

Później, po obejrzeniu zawrotnie bogatych w złoto pałaców: zimowego i letniego, placu defilad, polskiego klubu z basenem (w Chinach cudzoziemcom nie wolno się kąpać w wodach naturalnych, aby nie zbadać rodzaju dna) oraz po ogólnym rzucie oka na miasto, odbył się chiński obiad, połączony z rodzajem krótkiej zabawy tanecznej. Chińska kuchnia, znana z tego, że potrafi jadłodanie przyrządzić wszystko co się rusza, zaprezentowała zupę z liści kapusty, szaszłyk z nieznanego zwierzęcia, trapangi, jaja na czarno po chińsku i ryż z wszelkimi odmianami sosu curry. Dziewczeta ze szkoły dramatycznej okazały się bardzo miłe i chociaż biały dzień nie stwarzał odpowiedniego nastroju, zabawa przy adapterze była egzotyczna właśnie ze względu na trudności w porozumiewaniu się (dziewczeta mówiły tylko po chińsku), tym bardziej, że nie wskazane było bawić się dłużej z tą samą tancerką, i cały zasób znaków porozumiewawczych przepadał za każdym razem. W czasie jednej z przerw, podczas zmieniania

płyty, zaczęto liczyć Chinki i stwierdzono brak jednej z nich. Zaraz jednak Chińczycy znaleźli ją rozmawiającą z marynarzem przy oknie hotelowego korytarza. Zmieszana, szybko przeszła z angielskiego na chiński, tłumacząc coś temu milczącemu osobnikowi, który jeździł razem z wycieczką. Konsternacja została jednak zażegnana w sposób naturalny, bo wkrótce odchodził popołudniowy pociąg z Pekinu. Załogę umieszczono w dwóch przedziałach pierwszej klasy, w których było luźno i dość ciepło. Ponadto dziewczęta w białych fartuchach roznosiły zieloną chińską herbatę, nie słodką, ale bardzo gorącą. Z okien widać było skopaną ziemię, bezlistne drzewka, wyginane zimnym monsunem z kontynentu, jakieś place budowy i obiekty fabryczne skoncentrowane przy wysokich kominach. Od czasu do czasu dały się zauważyć stare groby — nieregularne kopce z ziemi różnej wielkości, oraz gipsowe rzeźby — smoki i lwy, albo starochińskie bramy porozrzucane w różnych miejscach, wprost w szczerym polu. Pociąg zatrzymywał się tylko na kilku stacjach i o zmroku dotarł do portu Cinhuangtao.

Rio Grande de Whampoa

Mijały tygodnie, miesiące i rejsy, a Jalu wciąż pływał na linii chińskiej. W małych, podobnych do siebie portach, do których zawijał, znajdowały się przeważnie dwa, trzy nabrzeża, *Supply Department Store* oraz Dom Marynarza. Zimą mało kto wychodził ze statku — najcieplej ubranego marynarza delegowano po wódeczność do Domu Marynarza i dawano mu listy do wysyłania. Na statku jednak trudno było usiedzieć wśród ciągle tych samych twarzy. Jalu próbował różnych sposobów aby pokonać beznadziejność — starał się czytać książki, zajmował się znaczkami i fotografią, a gdy i to zarzucił ze względu na ograniczające przepisy chińskie (wolno fotografować tylko ze statku, a filmy wywołują Chińczycy), zaczął zbijać budki dla ptaków z odpadków drewna sztauerskiego.

Z czasem stracił poczucie sensu tego co robił i doszedł do wniosku, że nie robił tego dla przyjemności a dla zabicia czasu. Później przesunięto jego statek na Chiny południowe. Mekką marynarzy na linii południowo-chińskiej stało się Whampoa, a niektórzy romantycy dodawali do tej nazwy Rio Grande i nie uważali za prawdziwego marynarza nikogo, kto nie znał Rio Grande de Whampoa. Potem pozostała im tylko ta satysfakcja. Niektórzy zamierzali zapisać się do partii i przenieść się na krótszy zasięg, ale i oni przyzwyczaili się, nieco otepiali, i też musiało im być dobrze. Nie organizowano tu corocznych wycieczek do Pekinu, ani na mur chiński, ale można było zawsze przyjemnie spędzić czas z butelką ryżówki przy dźwiękach akordeonu. „Festiwałe” odbywały się co dzień i od pewnego czasu Jalu był ich stałym uczestnikiem. Nawet nie miał z tego powodu wyrzutu sumienia — traktował je jako normalną rzecz i czasem na-

wet uzasadniał to dialektycznie. Wprawdzie następnego dnia trudno było stać, siedzieć i leżeć, zaś do wieczora coś regularnie stukotało w głowie, ale po kilku kolejkach każdy od nowa był szczęśliwy i nikt nie wierzył, że krasnoludki są na świecie i że nazajutrz znowu będą stukać.

Od pewnego czasu w Chinach zaczęło się dziać lepiej. Chińczycy stali się rozmowniejsi i bardziej przystępni, ale marynarze początkowo tego nie zauważyli. Dziś w porcie stoją trzy statki: Niemiec z kompanii Rickmana i dwa chińsko-polskiej spółki handlowej, pod polską banderą. Na każdym z nich stuka podstępny dwustu „daymanów” i do wszystkich otwartych ładowni robotnicy ładują herbatę i kukurydzę. Dzień ten jest tzw. dniem przydziałowym — w przerwie obiadowej ciężarówka przystaje przed każdym statkiem wyładowując na pokład stertę trampek, zwoje materiału i kartonowe puszki. Brygadzysta z dwoma pomocnikami rozdaje najpierw przydziały tygodniowe, ryż, rybę, dwie rzepy i po siedem kostek cukru na twarz, później przydziały miesięczne — po cztery łąty z drelichu, a na końcu, po totalnym zaopatrzeniu, brygadzysta pozwolił przymierzać i dobierać trampki. Wieczorem wszystkie trzy załogi (z wyjątkiem koniecznych wacht pozostających na statku) nadciągały w kierunku charakterystycznego budynku o zielonym dachu z rogami po chińsku zadartymi do góry. Jalu po dłuższym pobycie na morzu spotkał tam swoich dawnych kompanów (załogi tasowano wewnątrz tej samej linii) i znów poczuł się silniejszy w gromadzie, odzyskał energię i rzeźkość.

— Wracacie z Szanghaju — są jakieś nowiny? — zapytał. — A tak — odparł niejaki Słonka — przykra rzecz przydarzyła się jednemu Jugosłowianinowi. Poderwał gdzieś Chinę i dwa razy się z nią umówił. Gdy wypłynęli w morze, ona przyznała się do wszystkiego swej matce, która od razu zawiadomiła policję. Rzecz jasna, puścili się w pogoń za statkiem, zdjęli biedaka, oskarżyli i w... czapę.

— Co ty powiesz — nie tłumaczył się?

— Tłumaczył się, ona też, że to niby stało się za obopólną zgodą, ale w sądzie powiedzieli: „Gwałt jest pewny. Chińska kobieta nie może przecież pokochać białego człowieka”. A w jednej z demonstracji ulicznych Chińczycy pobili trzech towarzyszy, rozlegały się również szemrania żeby zdemolować w porcie polskie statki.

— W jakiej demonstracji? Za co pobili Rosjan?

— To ty nic nie wiesz? Radia nie słuchasz? Nic nie słyszałeś o otwartej „dyskusji” Chin z Sojuzem? Teraz wszyscy tylko o tym mówią.

— Byłem długi czas na morzu. A w Chinach nigdy nie interesowałem się polityką bo to było niebezpieczne.

— Teraz to jest zupełnie inaczej. Spróbuj tu w czytelni poprosić Chińczyka o odpowiedź partii chińskiej na list KC KPZR, to na głowie stanie, a przyniesie ci wszystko co chcesz, a nawet jeszcze więcej. Wszystkie zakątki Chin są teraz zawałone broszu-

rami atakującymi Sowiety i wszystkie bratnie partie. Cały naród włączył się do akcji. Dawniej szkolenia ideologiczne w Chinach były tylko trzy razy w tygodniu, plus mowy zagrzewające przed rozpoczęciem każdej pracy. Teraz zaczęły się takie szkolenia, jakich nawet w Chinach nie notowano. Po każdej oracji prelegent pyta imiennie każdego z obecnych: — „Powiedz Wan, jak rozumiałeś dzisiejszą prelekcję”, albo — „A ty, Li, co sądzisz o słowach Mao?”. Tam nie ma mowy żeby ktoś czytał gazetę lub zdrzemnął się za plecami sąsiada. Niektórzy Chińczycy umieją na pamięć całe przemówienia Mao-Tse-tunga, a także... — Zaczekajcie — przerwał podnosząc się Słonka — przyprowadzę tu tego porucznika co wczoraj. Jalu, ty go jeszcze nie znasz.

Postać w mundurze podała wszystkim rękę. — No, powiedz — zagadnął go Słonka — polscy ludzie są *good* czy *no good*?

Chińczyk zakłopotany zatrzepotał powiekami i zaczął: — Związek Sowiecki zdradził sprawę komunizmu — tu Słonka objaśnił, że porucznik każdą dyskusję zaczyna od tego zdania, bo inaczej mogłoby mu się coś pomylić — ...zdradził sprawę komunizmu — ciągnął Chińczyk — potępił Stalina, którego błędy wobec zasług były tylko drugorzędne. My czcimy Stalina, bo dla nas zrobił wiele, a w ZSRR się go potępia, choć również dla swego kraju on wiele zdziałał.

Kiedy Związek Sowiecki pod naciskiem USA zabrał rakiety z Kuby, my sprzeciwiliśmy się temu i to my właściwie ocaliliśmy Kubę. Ja wam powiem prawdę — tu wziął głębszy oddech — my chcemy rewolucji!

— Jakiej rewolucji? U was już była rewolucja — wtrącił Jalu.

— My chcemy rewolucji na całym świecie. Należy zniszczyć kapitalizm, a na jego gruzach wybudować nową, wspaniałą cywilizację.

— Czy wy moglibyście to zrobić?

— Gdyby tak było trzeba dla sprawy komunizmu, to my na pewno zrobilibyśmy to. U nas dlatego już panuje komunizm, bo niszczyliśmy wszystko co nam stoi na przeszkodzie w drodze do niego. W Szanghaju zaraz po wywołaniu rozstrzelaliśmy sześć milionów prostytutek. Teraz ani jednej nie zostało. Tak samo gdy była plaga wróbli, które zjadały nam dużo ziarna — zorganizowaliśmy akcję, w której wziął udział cały naród, i wytepił te szkodniki. Dlatego my możemy tak wiele zrobić i teraz nasz głos będzie miał w świecie wielkie znaczenie. Porwiemy za sobą wszystkie narody — tu pomógł sobie kartką. Ludzie radzieccy — napisz z lewej — *good*, leaderzy radzieccy — z prawej — *no good*. Ludzie polscy — *good*, leaderzy — *no good*.

Jeszcze dokładniej wycenił USA. 90% ludzi — *good*, 10% kapitaliści — *no good*. A w tych 90% są jeszcze Murzyni — *very good*. Murzyni w USA, ja wiem — powiedział — mają trudne życie, nie chodzą do szkół, nie wolno zawierać małżeństw z białymi.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał ktoś z obecnych.

— Ja studiuję różne książki — odparł porucznik — i dlatego znam prawdę.

— A czy ja mógłbym poślubić u was Chinkę? — zapytał Jalu. — Jestem waszym przyjacielem. Polscy ludzie *good*.

To pytanie nie było chyba przewidziane w dyskusji, bo Chińczyk znów załopotał rzęsami.

— Chinka powinna wychodzić za mąż za Chińczyka — powiedział nieśmiało.

— Ja byłem w USA — powiedział jeden z marynarzy — i widziałem małżeństwa Murzynów z białymi, choć jest to kraj kapitalistyczny.

— Ty byłeś w USA? — zapytał porucznik. — To ty chyba lubisz ustrój kapitalistyczny.

— A czy w ogóle są u was jakieś mieszane małżeństwa? — wtrącił się znowu Jalu.

Małe oczy Chińczyka rozbiegły się w różnych kierunkach.

— Wam wszystkim podoba się ustrój kapitalistyczny — krzyknął — wy jesteście kapitalistami! — odwrócił się jeszcze i wyszedł.

Wiele takich dyskusji przeprowadzono w Chinach. Powszechna nuda ustąpiła miejsca żywemu zainteresowaniu problemami politycznymi. Jeżeli obie strony w dyskusji dochodziły do porozumienia — Chińczycy zapisywali sobie pozytywne nazwiska, publikując je później w dzienniku „Honqui” jako znak, że jednak ktoś popiera ich poglądy.

Przy pożegnaniach Chińczycy byli jak najbardziej czarujący i kurtuazyjni — zwracali się przez *my friend*. A gdybyś jeszcze miał jakieś wątpliwości — mówili każdemu na pożegnanie — i gdybyś chciał poznać prawdę, napisz do „Foreign Language Press” w Pekinie. My publikujemy tylko fakty.

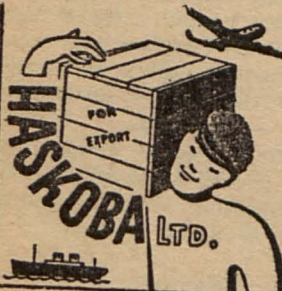
Adam TAKUBAR

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

**CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD**

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Odkupienie

*Wciąż obserwuję was, niechocący,
i widzę, jak was chwyta trwoga,
kiedy gadacie o służących,
o meblach, wannach, lub o Bogu.*

*O, mili, toż w rzeczywistości,
jak wy, tak samo jestem sprytny,
lecz nagle — przejdzie mróz po kościach
na cześć ptaszników nieuchwytnych*

*Wtedy was sprzedam, wtedy zdradzę!
A czemu? Bo o zmierzchu mglistym
nagle przypomniał mi przypadek
nienawiść tłumy do artysty.*

Ilja Czur — „Do towarzyszy inteligentów”.

Nastała moda na złodziejskie pieśni. Stopniowo i powoli pieśni te przenikały z Dalekiego Wschodu i z Dalekiej Północy, nagle wybuchając w restauracjach węzłowych stacji. Dekret o amnestii przyspieszywał je przez zęby. Niby patrol armii w ofensywie, poszczególne piosenki błąkały się w pobliżu wielkich miast, ich takt wystukiwały zelektryfikowane kolejki podmiejskie, aż wreszcie barki 58-go artykułu amnestii wniosły te pieśni do miast. Zaczęła je śpiewać inteligencja; było w tym coś wyjątkowo pikantnego, gdy w zaciszną rozmowę o „Comédie Française”, albo w rozważania dziarskich chłopców z wydziału filologii o alliteracjach i asonansach „czarnej” literatury, wdzierano się nagle melancholijne przekleństwo zdychającego łagienika. Zarumienione od mrożonej wódki panie wymawiały wtedy ze smakiem:

*Naczelniczku mój, naczelniczku,
puść mnie do domu...*

A jeśli któraś z nich nagle dostawała dreszczu i próbowała przełknąć ostre słowo, dotychczas bezużytecznie zawarte w jej słowniku, zawsze trafiał się znawca, który mówił:

— Duszko, przecież to li-te-ra-tu-u-u-ra!

Więc wszystko stało się oczywiste. Tak, oszalałe wilcze wycie, zawsze koszule, wrzody rozjątrzone przez sztywne portyki, „pajok”, który zlatywał do zropaczonych kiszek grudą gliny — wszystko to zamieniło się w literaturę...

Ale zdarzało się i tak, że któryś z tych czystych, wymytych, sytych ludzi nagle odczuwał jakiś niepokój, coś jakby zabobonny strach: „Boże, co ja właściwie robię?! Dlaczego śpiewam te pieśni? Dlaczego wywołuję wilka z lasu? Przecież to właśnie *tamto*, zjawiające się w najbardziej oddalonym kącie pokoju, pozbawione już, jak nieistotnego szczegółu, tradycyjnego nocnego dzwonka, zimną, osłizgłą mgłą oddzielające mnie od towarzyszy zebrania, wlokące „przez tundrę, po szerokiej drodze”, przy wrzaskach konwojentów i naszczekiwaniu psów... Czemu, dlaczego uśmiecham się, że te słowa są takie naiwne? Przecież to na serio, przecież to naprawdę! Ach, żegnaj, Moskwo, żegnajcie wszyscy! Wezmą do rąk karabinki, wycelują stalowe lufy i na pewno zabiją mnie... Ech, diabli nadali, co też na mnie naszło!”

Więc potrzasałem głową (bo piszę sam o sobie), wypijałem kolejny kieliszek i macałem kolano cudzej żony, siedzącej obok.

Ale pieśń rozbrzmiewała nadal, pasowała do uśmiechu, a złowrogie cienie wypelzały z pokoju, przez przedpokój, na schody.

I już tam zostawały.

I

W bufecie nie sprzedawano piwa, gdyż w foyer odbywał się wykład o elektrycznych przewodnikach. Tak z szacunku dla nauki zarządził dyrektor kina. Bufetowa, cała w wypiekach z oburzenia (to podrywało wykonanie planu) szmyrgnęła na tacę kanapkę z wyschniętą siemgą. Zułem tę siemgę i rozglądałem się po foyer. Kino było trzeciorzędne i nowe prądy go nie dotknęły: na ścianach w dalszym ciągu wisiły portrety przodowników produkcji. Starszawy wykładowca coś tam mamrotał znudzonym i niewyraźnym głosem do kilkunastu bodaj słuchaczy, od czasu do czasu pokazując jakieś przedmioty, wyrobione, tak na oko, z plastyku.

Irina miała po pracy jakieś zebranie związku zawodowego widocznie, przedwyborcze, więc mogliśmy się spotkać dopiero o ósmej. Ano cóż, do początku seansu pół godziny, film potrwa półtorej, na piechotę do Kurskiego dworca — dwadzieścia minut,

można było wypełnić cały czas. Byle by tylko nie wpaść na znajomych. Chociaż co prawda, ta trzecia, zbędna osoba niezawsze bywa niepotrzebna. Jej obecność umożliwia mówienie z niewinną miną takich rzeczy, że wargi Iriny zaczynają drgać; można dowiecipkować, balansować na cienkiej linii konwersacji, zaś we dwoje cała ta gra nie ma żadnego sensu. W ogóle Irina stała się ostatnio niełatwa. Ostatecznego zbliżenia, które zainicjowałoby nowy stosunek, jeszcze nie było, a cała reszta dawno już obgadana: dzieciństwo, wojna, ewakuacja, wspólni znajomi. Luki w rozmowie najlepiej zatykać pocałunkami, ale dokąd ukryć się przed ludźmi? W zimie chłód, a obecnie ściemnia się tak późno, że mimowoli trzeba zachowywać się przyzwoicie.

Siedziałem roztargniony i przyglądałem się publiczności. A swoją drogą, jaki nieładny chód ma większość kobiet! Za dużo pracują, czy jak? A ot cyganki, wszystkie, jedna w drugą, idą jakby płynęły, tylko spodnice falują...

*Ciągle dzwonią, dźwięczą, nęca i skłębiają się
słowa mroczne, jak porwane wzwyż obłoki,
idą, płyną cyganichy i huśtają się
na obcasach wykrzywionych i wysokich.*

To Miszka Łurje tak śpiewa przy wtórze gitary. Ależ śpiewa! Szkoda, że ja tak nie potrafię. I co to za kretyn wpadł na pomysł, że gitara to burżuazyjny instrument?

Leniwie i obojętnie przyglądałem się twarzom. Jedne różniły się kolorem, inne były jednostajne, jak brukowe kostki. Nagle spojrzenie zatrzymało się na twarzy jednego z obecnych. Coś w niej zwróciło moją uwagę, nie to nawet, że mężczyzna patrzył mi prosto w oczy, ale jakiś wysilony, bolesny grymas. Wydało mi się czemuś, że poznaję tę twarz — wąskie, szeroko rozstawione oczy, nerwowe uduchowienie, skóra o niezdrowym, żółtawym odcieniu. Któż to może być? Zawsze chwalebę się zdolnością do zapamiętywania twarzy. A tu w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć. Jedno jest niewątpliwe — chodzi o jakąś dawną znajomość. Ano, zaraz się przekonamy. Wstałem, strzepnąłem okrucy z marynarki. Również wstał wpatrujący się we mnie człowiek. Z uśmiechem poszedłem mu na spotkanie. Ale nieznajomy podał ramię siedzącej obok kobiecie i oboje ruszyli w kierunku palarni. Już w drzwiach odwrócił głowę i znowu uporczywie, jakby chciał mnie powstrzymać spojrzeniem, popatrzył prosto w oczy, wyrażnie mówiąc: „Tak, to nie przypadek, umyślnie odchodzę, żeby uniknąć spotkania i rozmowy. Tak, znamy się, poznałem ciebie, ale lepiej nie zbliżaj się do mnie”. Mężczyzna odwrócił się, puścił przodem towarzyszkę i wyszedł.

Stałem prawie na samym środku foyer, prawem inercji zachowując uśmiech. Potem wzruszyłem ramionami i wróciłem na dawne miejsce. Diabli nadali! Wrażenie było takie, jakby mnie ktoś bez najmniejszego powodu zwymyślał. Ten człowiek zachowywał się tak, jak gdybym był jego wrogiem. A przecież nigdy nie miałem wrogów. Nigdy nikomu nie wyrządziłem nic złego. Nawet kobiety, z którymi rozstawałem się, nigdy o nic mnie nie oskarżały, chociaż martwiły się. A ten... No, dobrze, pal go diabli! A może w ogóle wszystko mi się przywidziało?

Po skończonym seansie znowu zobaczyłem tych dwoje w tłumie, schodzącym po schodach. Kobieta — bardzo piękna, z wyniosłą twarzą i długim, wbrew panującej modzie, warkoczem — mówiła bez cienia uśmiechu:

— Film jest tak nędzny, że aż staje się doskonały. Jakaś zupełnie prymitywna bzdura, idiotyzm bez najmniejszej skazy, bez żadnego odstępstwa — doskonałość w swoim rodzaju... Doprawdy, już dawno nie wychodziłam z kina z taką satysfakcją...

Jej towarzysz wymruczał coś niezrozumiałego, zatrzymał się, zapalił papierosa; tłum popchnął mnie w ich pobliże, znowu popatrzyliśmy na siebie i moje spojrzenie, zapewne zdumione i pytające, zderzyło się ze zmrużonymi, odpychającymi oczami nieznanego. Czy też właśnie znajomego? A niechże go wszyscy diabli!...

...Ucichł grzmot elektrycznej kolejki. Szliśmy ze splecionymi palcami, mocno do siebie przytuleni. Chociaż mogłem oglądać tylko jej nos, część policzka i brzegi na wpół otwartych ust, widziałem ją całą — o długich nogach, szybką i strzelistą, jak oszczep, wysoko wzbijający się po wyrzucie.

— Puść — powiedziała. — Przecież tak nie można. Dokoła ludzie.

— To ci się przywiduje — odpowiedziałem. — Tu nikogo nie ma.

— Jakto nikogo? A ten grubas, także mi się przywidział?

— Zaraz sprawdzimy. Przepraszam, obywatelu, czy jesteście fikcją?

— Ze co? — zapytał grubas.

— Witek, tyś zwariował!

— Przepraszam, pomyliłem się, myślałem, że znajomy.

Jakaś rampa, piwiarnia, piekarnia. Jedna willa, druga, sklep, znowu willa, fryzjerna, willa. Przelatują z boku. Pod stopami piasek — twardy, ubity, przemieszany ze żwirem i żużlem. Jak sprawnie idą nogi, z jaką lekkością niosą nasze ciała, jaka bliskość naszych policzków, Jakież splot siły i tliwości, jakie rude sosny słońce pozatykało w ziemię, jak sucho i świetliście w lesie! Niechże wypełnią się dłonie! Stwórcu, ty istniejesz, przecież takie

szczęście nie może przyjść z nicości! Przecież bez istnienia czegoś, co jest dobrem, wolą i rozumem, nie powstałyby te ramiona, kolana, piersi, porywające mnie wirem uniesienia!

— Nie, bardzo cię proszę — powiedziała Irina.

II

Poranne morze było jak niedokładnie wyprane i niewyprasowane prześcieradło. Motorówka szła w kierunku wschodnim, ku słońcu, które jeszcze nie wstało. Motor huczał, pasażerowie krzyczeli, jakieś dzieci klaskaly w dłonie, ale wszystko odbywało się bezdźwięcznie. Krzyknąłem, bo chciałem usłyszeć własny głos. Nikt nie odwrócił się, a i ja nie usłyszałem sam siebie. Zacząłem zaglądać w twarze towarzyszących podróżnych, ale ci nie dostrzegali moich spojrzeń, ani tego, że nie słyszę głosów. „Dokądże zapłyniemy — pomyślałem — jeżeli nie usłyszymy jeden drugiego? Trzeba porozumiewać się gestami. Potrzebne jest abecadło głuchoniemych”. Zacząłem przytykać palce do nosa i podbródka, mrużyć oczy i poruszać dolną wargą, ale nikt mnie nie rozumiał, chociaż chodziło o najzwyczajniejsze zdanie: „Towarzysze, dlaczego nic nie słyszą?”. Zrozpaczony, machnąłem ręką i zacząłem patrzeć na łagodną i potężną muskulaturę wody za rufą. Motorówka pędziła coraz szybciej, ludzie mówili coraz namiętniej i głośniejsze — to było widać po ich twarzach — fale przestały być podobne do zapaśników i zamieniły się w bokserów, skrawek słońca ukazał się nad horyzontem. „Zaraz rozbijemy się — pomyślałem — rozbijemy się, jeżeli nie usłyszymy siebie nawzajem”. „Rozbijemy się!” — krzyknąłem, przecząc się, przecząc się, przecząc się. Błona w uszach rozerwała się dźwięcznie, usłyszałem swój krzyk i wszyscy usłyszeli, ale było już za późno: bokser zwał się z motorówką, uderzył ją w splot słoneczny, zgięła się wpół, potem dwa sierpy z prawej i z lewej, wszystko rozsypało się i, idąc pod wodę, zobaczyłem purpurową kulę słońca, staczającą się ku falom.

Jakież to szczęście budzić się po strasznym śnie, po śmierci i zgubie! Powolne zmartwychwstanie, rozplywająca się mgła niebytu, życie, które znów napłynęło ku ciału. Zaledwie przed sekundą czułeś, że zamieniasz się w nicość, ogarnęła cię ostatnia, najgorsza męczarnia — prerażenie śmierci nieprzygotowanego do niej, wiedziałeś, żeś umarł, ale oto jesteś uratowany. Zatrzymujemy przy sobie szczęście przebudzenia i z pośpiechem zapominamy o śmiertelnej udręce, zapominamy, że nas ostrzeżono...

Wziąłem papierosa, spojrzałem na zegarek. Ocho, to już ósma wieczorem! Podczas dzisiejszej pracy byłem ciągle zaspany,

a po powrocie do domu położyłem się na chwilę — i spałem dwie godziny. Nic dziwnego, przecież wróciłem o świtanu.

Zeskoczyłem z tapczanu, włączyłem elektryczną maszynkę do golenia. Zwykłem golić się wieczorem. Nigdy zawczasu nie przewidzisz, jak potoczą się sprawy. Zdarzyło się kiedyś, że byłem w pewnym towarzystwie nieogolony, a tam była taka jedna Tonieczka, odprowadziłem ją, wstąpiłem i już u niej zostałem, i cały czas czułem się nieogolonym i to bardzo mi przeszkadzało. Co prawda, Tonieczka mówiła, że ją dziwnie pociąga, jeśli mężczyzna ma zarost, ale i tak było mi nieswojo. A poza tym nie wszystkie kobiety rozumują tak jak Tonieczka...

Spotkałem się z Miską Łurje przy stacji metra „Pałac Związku Sowieckiego”. To była godzina schadzek i parki kręciły się jak zazwyczaj przy płocie otaczającym pusty plac. Ciekawe, czy kiedykolwiek zabudują go, czy też te dziury i pagóry zostaną na zawsze pomnikiem wysadzonej w powietrze świątyni Chrystusa Zbawiciela? Ileż to już lat sterczy tu płot, oklejony plakatami?

— Miszka, kiedy zburzono cerkiew?

— Jaką cerkiew?

Miszka opowiadał ostatnie plotki z filmowego festiwalu — o tym, w jaki sposób, ku wielkiemu zmieszaniu i konfuzji, przyznano pierwszą nagrodę Felliniemu. „Osiem i pół” — Miszka powtarzał, jakby bił w bęben. — Popłoch, skandal! Nikt niczego nie rozumie”. Miszka był wyraźnie niezadowolony, że mu przerwałem.

— No, jakże zburzyli cerkiew w 1934-ym. Posłuchaj co było później...

Przed dwudziestoma dziewięcioma laty wysadzili świątynię dynamitem. Wbrew porzekadłu, święte miejsce opustoszało. Naturalnie, nie ma dwóch zdań, z cerkwi tyle pożytku, co kot na płasku, po prostu zabytki architektury, nic więcej, ale jednak... Wysadzili w powietrze Boga, a fala eksplozji raniła, kontuzjowała człowieka. Głuchota, niemota... Spod bandażu, spod artykułów o humanizmie płynie ropa. Co prawda, lekarze powiadają: „Jeśli ropa płynie, to znaczy że rana oczyszcza się”. Ano, zobaczymy. A zresztą po co mi zaprzętać głowę takimi myślami? Więcej niż mają inni — nie potrzebuję. W stosunku do ludzi jestem w porządku. Mam pracę, nie nadzwyczajną, ale całkiem znośną, mam mieszkanie, zdrowie, pieniądze... No, z pieniędzmi to raczej kiepskawo. Kręcisz się na wszystkie strony i w żaden sposób pensja nie wystarcza. Zwłaszcza w ciągu ostatnich dwóch lat...

— Stop, jesteśmy na miejscu!

Podeszliśmy do nowego domu. Obok stały zabawne chałupki z drewnianymi kolumnami, parterowe wille o rzeźbionych okien-

nicach, świeżo pomalowane płoty, nawet był jakiś opasły słupek z lanego żelaza.

— Miszka, a co to za słupek?

— Ten? W dawnych czasach konie przy nim uwiązywali.

Wszystko ten drań wie. Zresztą, któżby miał wiedzieć jeśli nie on — od tego przecież historyk sztuki. Poklepałem dłonią po rozgrzanym metalu i poszedłem za Miską.

W domu u Riażencewych byłem nie po raz pierwszy, dobrze znałem gospodynię i wielu z zaproszonych. Rzadko kiedy zbierano się tu wyłącznie dla popicia i pogadania; prawie zawsze był jakiś „bohater wieczoru”. Mnie także wypadło kiedyś — po powrocie z podróży do Polski — przyjąć na siebie taką rolę. Wtedy „zapraszano na mnie”. A dziś proszono na Bryńskiego. Miał czytać wiersze. Ciekawe, co to za wiersze. To, że go nie drukują, jeszcze, rzecz prosta, nie decyduje. Mimo wszystko, wiersze mogą okazać się bezwartościowe.

Jednak były interesujące. A i sam Brynskij zachowywał się bardzo dobrze, nie szukał pochwał i nie zadzierał nosa. Chętnie przerwał recytację, gdy Miszka Łurje chwycił za kolejny kieliszek i zawołał:

— Chłopcy! Dość już pięknej literatury. Może byśmy tak zaśpiewali?

I wziął gitarę do rąk.

— Miszka! „Cyganki”!

— Miszerfka, „Matrioszkę”!

— Miszka, „Butelkę w morzu”!

— Zaśpiewam o cygankach — powiedział Miszka, podkreślając kołki gitary.

*Myśli z domem, z dawnym życiem już rozstają się,
biedne serce chce uciekać stąd bez zwłoki,
gdy cyganki przed oczami rozbuchają się
na obcasach wykrzywionych i wysokich.*

Miszka śpiewał, patrząc z przekonaniem w kąt pokoju i wszystkim wydało się, że rzeczywiście stamtąd wyszły cyganki i płyną po wyfroterowanej podłodze, zaczepiając szelestem krochmalonych falban o półki z książkami.

*Skądże ptaki, smagłe ptaki, nadleciałyście,
z jakiej dali, jaki wiatr was do nas przywiał?
Od jak dawna w swoich wozach przyjechałyście,
by nad wami bruk moskiewski się wydziwiał?*

Ten i ów usiłował przyłączyć się do pieśni, ale Miszka nie-

cierpliwie zakiwał głową — „że, niby, proszę nie przeszkadzać!”.

*Cyganichy w barwnych kieckach powiadają mi:
— Ku wolności wędrujemy w świat ogromny.
Jeśli pragniesz, bądź nam bratem, wędruj z nami,
lecz o całej swej przeszłości masz zapomnieć!*

Ach, zapomnieć o przeszłości, o wszystkim, co było i nie było, uciec pójść śladem wędrownego wozu, za dziećmi natury, przy wtórze muzyki Czajkowskiego, rytmów Puszkina, szlochającego głosu Leszczenki! Ach, marzenie, sercu jakże miłe! Jakże chętnie urwałby się stąd rosyjski inteligent i poszedłby drogą, wzniesając kurz butkami z lakieru, układającymi się w harmonijkę! Ach, Stiosze, Grusze i Parasze! Pamiętaj, że masz wpłacić prenumeratę za Erenburga, a za trzy dni trzeba wykupić lodówkę — znowu poszukiwanie pożyczki... Ech, rznijcie struny, rozpalcie serce!

*Odpowiadam cyganichom: „Jakże pragnąłbym
ku wolności waszej szczerym rwać się sercem.
Lecz nie zdołam, nie podołam, choć tak chciałbym —
skrepowali, widać, mocno — nie rozerwę”.*

Miszka niemal płakał do wtóru gitary. Wszyscy uśmiechali się jakoś niepewnie i wstydliwie. Rzeczywiście, dobrze by to było — ale jak? Dokoła te proforgi, partorgi, Mostorgi — ech, dola!

*Ciągle dzwonią, dźwięczą, nęca i skłębiają się
słowa mroczne, jak porwane wzwyż obłoki,
idą, płyną cyganichy i bustają się
na obcasach wykrzywionych i wysokich.*

Miszka urwał na ostatnim akordzie, jakby zdmuchnął świecę.
— Doskonałe! — powiedział Brynskij. — To wszystko naszego układu, i muzyka i tekst?

— Własnego — odburknął niezadowolony Miszka; nie wiadomo dlaczego, wstydział się swego autorstwa i śpiewał tylko wtedy, gdy już był podпиты.

— Bardzo prosimy o jeszcze — zaszczebiotały kobiety. — Misza, prosimy o „Matrioszkę”!

Była piosenka o Matrioszce. Siedem rosyjskich piękności z drzewa, powkładane jedne w drugie. Każda była innego koloru, każda wabiła i uśmiechała się ponętnie: „A widzisz, a nie rozumiesz mnie! Spróbuj-no zajrzeć do duszy!”.

*Jestem tu i tam, jestem tu i tam,
no, to kochaj mnie i uściskaj!
Lecz pokochaj tę, co tkwi wewnątrz,
popatrz we mnie, przyjrzyj się z bliska!*

Miszka nie zdążył zacząć drugiej zwrotki, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Przybyli nowi goście, troje ich było, a gdy weszli do pokoju, poznałem wśród nich parę, spotkaną wczoraj w kinie.

— Proszę — zapoznajcie się ze sobą — powiedziała gospodyni — nasi przyjaciele, Asia i Feliks Czernowie, bardzo przyjemne osoby...

Feliks Czernow! Natychmiast w pamięci stanęło jezioro Seliger, namioty na brzegu, plusk wody pod wiosłami, wesoły zgiełk z rana i żołnierskie pieśni z frontu nad wieczorem — wówczas jeszcze chętnie te pieśni śpiewano. Przypomniałem sobie również Feliksa Czernowa, wesołego studenta zoologii, o wąskich oczach, gorszącego głupiotkę dziewczętą z pierwszego roku opowiadania mi o poligamii wśród zwierząt. Dowcipniś, aktor, improwizator — szalenie mi się wtedy spodobał. I nie tylko mnie — w ciągu tych dwóch tygodni spędzonych na Seligerze był głównym bohaterem dla wszystkich. Później, już w Moskwie, kilkakrotnie spotykaliśmy się w tym samym towarzystwie. A jeszcze później wyjechałem służbowo, kilka lat spędziłem poza Moskwą i pozapomniałem nazwiska i adresy ówczesnych przyjaciół...

Trzeciego gościa, który przyszedł razem z Czernowymi, dobrze znałem, to był Włodzimierz Siemionowicz Igołnikow, pisarz, prozaik. Trudno powiedzieć żebyśmy byli w przyjaźni, ale istniała między nami wzajemna sympatia; miałem nawet tom jego opowiadań z dedykacją.

Cała trójka zatrzymała się na chwilę przy drzwiach; potem Czernow zrobił ruch, jakby chciał podejść do każdego i podać rękę, i właśnie wtedy zobaczył mnie. Złożył ogólny ukłon i usiadł na wolnym krześle. Również usiadła żona Feliksa i Igołnikow.

— Zdaje się, że przerwaliśmy wam śpiewy — powiedział Igołnikow. — Misza, proszę się nie gniewać i kontynuować.

— Ja i tak zgubiłem melodię — powiedział Miszka niezbyt grzecznym tonem. — Lepiej zrobmy przerwę i rąbnijmy po kielichu z nowymi gośćmi.

Wszyscy zgodnie wypili; Igołnikow powiedział ze smutkiem: — Taki już mój gorzki los. Wystarczy, żebym zjawił się gdziekolwiek, a natychmiast urywają się intelektualne rozmowy, zaś wszystko, co potrąca o sztukę i naukę, rozbiega się jak tłum karaluchów...

— A przecież to zdrowo! — powiedziałem. — Włodziu,

szczęśliwy z was człowiek. I zebrani też są zadowoleni! Czy to łatwo prowadzić intelektualną rozmowę?

— Witek, wy jesteście artystą, zaś artyście intelekt nie jest potrzebny, ba, nawet szkodzi. Ale ja jestem inżynierem ludzkich dusz, mam z urzędu te dusze łowić, badać i następnie, korzystając z nagromadzonego materiału, przepalać serca żarem słów. A jakże mam tę duszę złapać, jeżeli dokoła tylko słyszysz: „Ano, rąbniemy po kielichu!”, „A teraz pod drugą nóżkę!”, „No to cyk, powtórzymy!”.

— Włodzimierzu Siemionowiczu, przecież taką duszę, co już rąbnęła parę kielichów, łatwiej złowić!

— Owszem, ale samemu trzeba być trzeźwym, a przecież ja... No, co tam gadać — wszystko jasne.

— Za dużo macie przyjaciół.

— Przyjaciele — cała Moskwa. Rozmiary tej klęski okaza się po mojej śmierci. „Gazetka Literacka” zamieści zawiadomienie o śmierci członka Litfondu, W.S. Igołnikowa, i zdarzy się dokładnie to samo, co na pogrzebie wielkiego wodza i nauczyciela. Przy czym trątować się nawzajem będą dobrzy znajomi. Ach, jaka szkoda, że tego nie zobaczę!

— Nie przesadzajcie, Włodzimierzu Siemionowiczu!

— A cóż wy, Misza, tak mnie ojcowskim imieniem tytułujecie? Nie zwracajcie uwagi na moją tuszę — jestem jeszcze młody. Wiecie, jak kogo tytułują ojcowskim imieniem, to już z tego wynikają odpowiednie obowiązki. A mieć obowiązki to znowu w naszych czasach rzecz frasująca, a nawet dość niebezpieczna. Wszyscy to może nawet nie tyle rozumieją, co czują przez skórę. Dlatego też coraz mniej u nas używa się ojcowskiego imienia. Zajrzyjcie chociażby do Turgieniewa, albo do Dostojewskiego: byle szczeniak wczorajszy sztubak, już nazywa się Arkadiusz Makarowicz, zaś siedemnastoletnia panienka — Zinaida Borysowna, czy Piotrówna, a według wszelkich przepisów należałoby na nią wołać — Zinoczka. My tu wszyscy już mamy koło czterdziestki, i tylko mnie jednego nazywacie Siemionowiczem. Widocznie, z powodu grubego kałduna...

Igołnikow długo jeszcze gawędził w takim samym sensie. Ale że wszystko się kończy, wreszcie wygramoliliśmy się zza stołu i rozbiliśmy się na małe grupki po kątach, na tapczanach, po innych pokojach.

Wybrałem chwilę, gdy Czernow był sam, i podeszedłem do niego.

— Wiecie, w żaden sposób nie mogę zorientować się, czyście mnie poznali, czy nie. Przecież poznaliśmy się ze sobą bodaj że... jeśli pamięć nie zawodzi...

— Jakże bym miał was nie poznać! — uśmiechnął się Czer-

now. — Mieliliśmy ze sobą do czynienia w 1951-ym roku, od sierpnia do października.

— I tak od razu przypomnieliście sobie daty?

— Nie potrzeba było przypominać. Zawsze pamiętam. W październiku 1951 zostałem aresztowany.

— To taka sprawa! A ja nawet nie wiedziałem.

— A tak? — powiedział Czernow. — Przecież mieliśmy licznych wspólnych znajomych...

— Rzecz w tym, że właśnie wtedy przeniesiono mnie służbowo i wyjechałem z Moskwy do Woroneża. Wykładałem tam w szkole sztuk pięknych...

— Widzę, że już zdążyliście się zaprzyjaźnić — Nina, gospodyni domu, podeszła do nas.

— O, to jesteśmy starymi przyjaciółmi — znowu uśmiechnął się Feliks.

— No, to świetnie, no, doskonale! Ale uwaga, nie wolno tak odseparowywać się. Chodźmy, chodźmy, Misza znowu będzie śpiewać.

Ale w sąsiednim pokoju nie było śpiewów. Tam wodził rej Igołnikow. Stał jak posąg, z rozstawionymi nogami i rękami w kieszeniach, i rozwałął autorytety. Boże, kto tylko tam nie dostał za swoje! Niszczył uczonych za to, że pchają się do polityki, pisarzy za to, że się do polityki nie pchają, niszczył dygnitarzy państwowych, filmowców, cybernetyków, rzeźbiarzy...

— Jak ślepcy! — hałasował Igołnikow. — Jak ślepcy, walą dokądś na stronę. Czyż warto pisać o tym, co ludzie robią, czy warto na ten temat rysować albo rzeźbić?! Nie, o tym trzeba mówić co ludzie robić powinni. O tym, co mogli zrobić, a czego nie zrobili! O poczuciu winy za bezczynność. Utrzymuję — powiedział powoli z naciskiem — utrzymuję, że nie ma obecnie żadnego inteligenta, w którym by nie tkwiło to uczucie — świadomość winy. Winy z powodu tego, czego nie uczyniono!

— Nie rozumiem — powiedziałem do Igołnikowa. — A jeżeli ktoś — no, powiedzmy, ja sam — nie ponosi żadnej winy? Dlaczego mam się dreczyć?

— Witeczku, doprawdy nic nie rozumiecie. Po pierwsze, kategorycznie oświadczam, że każdy człowiek co najmniej raz w życiu wyrządził komuś krzywdę: i wy, i on, i ja — wszyscy! Po drugie — i to jest najważniejsze — zawiniłście tym, czegoście nie zrobili. Czyżby nigdy was nie prześladowały widma rzeczy niezrealizowanych? Czy nie przywidują się wam po nocach embriony czynów, ofiary poronień, inicjatywy, na których dokonaliście sztucznego spędzenia płodu?

— A fe! — powiedziała Nina.

— Ninoczka, proszę nie fukać! Nie zamierzam mówić o tym,

co mógłbym dokonać, coś naprawę ważnego, bardzo ważnego dla wielu osób. Zresztą, nie warto — to by brzmiało zbyt patetycznie. Ale weźmy różne na pozór drobiazgi: nie mogę sobie wybaczyć, że swego czasu nie napisałem, albo nie poszedłem do takich ludzi, jak Pasternak, czy Zoszczenko. Tak, tak, jesteście snoby, więc was szokuje to zestawienie. Rzecz nie w tym. Już nigdy, rozumiecie, już nigdy nie będę mógł im powiedzieć, jak bardzo jestem im wdzięczny, jak bardzo szczęśliwy, że żyłem współcześnie, obok nich. Albo inna sprawa: kiedy aresztowano rodziców mego przyjaciela, nie zdobyłem się na napisanie do niego ani jednego listu. Nie z tchórzostwa, nie! Po prostu nie lubię pisać listów, nie lubię epistolarnego rodzaju. Zachowałem się jak bydlę, nie zrobiłem wyjątku dla mego przyjaciela. A przecież wtedy mój list miałby większe znaczenie, niż całe nasze późniejsze współżycie... Ach, czyż mało było takich spraw?

— Włodzimierz Siemionowicz, a jakże to, co mówicie, wygląda w zestawieniu z waszym piarstwem? Zgadza się?

— Jakże ma się zgadzać? Wcale nie zgadza się! Kiego diabła miałoby zgadzać się! Szanowne panie zechcą wybaczyć. W tym to i rzecz, że w mojej pracy — rozumie się, w tej pracy, za którą mi płacą honoraria — w tej więc pracy przestrzegam jednej zasady. Nie, braciszku, nie sprzedam się, ja poddałem się. Co prawda, nie wiem, co gorsze...

— Jakaż to zasada? — zapytał Feliks.

— Że co? Ach, tak, zasada. „Nie szkodzić nikomu”. To jest lekarskie przykazanie — „nie szkodzić nikomu”. Dobrze przykazanie, wspaniałe przykazanie, przykazanie rzymskich lekarzy; ale, mili moi, od rzymskich czasów medycyna zrobiła postęp, co? Chirurgia, roentgen, antybiotyki! Mamusię moja kochana! A ja, literat, wracam do czasów Cyncynata, świętego Augustyna, Marka Aureliusza i, diabeł wie, kogo jeszcze! I to kiedy? W naszych czasach! W naszych nadzwyczajnych czasach! W naszych smrodliwych czasach! A co, erudyci, tego nie znacie?

— „W naszych smrodliwych czasach nie ma dokąd schronić się przed ojczyzną polityką, przed jej grymasami i wrzodami”. To Leskow tak pisał, kochasie, Leskow!

Igolnikow był już mocno pijany. Feliks Czernow wziął go pod rękę.

— Włodzimierz Siemionowicz, dość już. Wszystko to marność nad marnościami i udreczenie ducha. I w ogóle... nie na miejscu, niepotrzebne.

— Kochany Feliksie! Dlaczego mi przeszkadzasz? Przecież ty jesteś żołnierzem, powinienes zrozumieć!

— Jaki tam żołnierz! Nigdy w wojsku nie byłem.

— Wszystko jedno, siedziałeś w łagrze, a żołnierz i katorż-

nik zawsze się rozumieją... No, już, zaśpiewamy łagiernicze pieśni!

Śpiewaliśmy pieśni łagierników. Wykańczaliśmy wódkę. Brynskiej znowu recytował wiersze.

*Słowa, jak kule, w serce bezbronne
biją seriami coraz to ostrzej.*

Któż się użali nad udreczonym?

Przechodniu, ty mnie przynajmniej oszczędź!

...Gdyśmy wyszli na ulicę, Feliks złapał taksówkę i zaczął pakować do niej Igolnikowa. Wziąłem go za łokieć i powiedziałem:

— Feliks, chcecie byśmy się spotkali w najbliższym czasie? Pogadamy, przypomnimy stare czasy. Tu macie numer mego telefonu — wyrwałem kartkę z notesu. — Proszę, zadzwoncie do mnie, na przykład w najbliższy czwartek, tak po szóstej popołudniu.

Feliks wziął kartkę i powiedział niezmiernie powoli:

— Wiktor Wolskij, panujecie nad sobą w nadzwyczajny sposób. Doprawdy, tylko pozazdrościć. Dobrze, zatelefonuję.

III

Oglądam swoją przeszłość przez barwne szkiełka przeżytych lat. I zawsze widzę ją w wesołych barwach: w zielonej, niebieskiej, różowej. Muszę zdobyć się na wysiłek, aby odtworzyć autentyczny koloryt wypadków i wrażeń, ludzi i okoliczności. Ale nawet gdy mi się to udaje, nie jestem w stanie odtworzyć mego stosunku do tamtych wydarzeń. Pamiętam demonstrację gdzieś koło Srietenskiej Bramy, radosną demonstrację z powodu wyroku śmierci na bohaterów procesu 37-go czy też 38-go roku. Ludzie szli z hasłami i portretami Jeżowa, od Kołchoźniczego Placu ku Łubiance. *A propos*, jak to dziwnie wszystko się pozmiało: Łubianka nazywała się już wtedy placem Dzierżyńskiego, natomiast plac Kołchoźniczy, zdaje się jeszcze nie otrzymał nowej nazwy, a jednak w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć dawnej. „Łubianka” — o tak, tego słowa zapomnieć nie można. No, więc obejrzałem tę demonstrację, przyszedłem do domu i zacytowałem (byłem chłopcem czytającym): „Powiedźcie, proszę czyż wypada tak kpić i śmiać się z ofiar kata?”. W rodziców jakby piorun strzelił... A przecież nic specjalnego nie miałem na myśli, po prostu wydało mi się, że cytat jest odpowiedni. Jaki był kolo-

ryt tej demonstracji? Na pewno czarny, ale w moim wspomnieniu utrwaliła się barwa jaskrawo żółta — był słoneczny dzień. Uporczywie i wielokrotnie odtwarzałem sobie szary, jesienny dziołek, pochylone w życiu biorącego kobietę — miałem wtedy szesnaście lat. Ale czas, litościwy czas zazielenił trawę i delikatnym rumieńcem pokrył policzki rozpustnej, dwudziestoczoletniej kobietki. Tak, czas to wielki kolorysta! Wszystko przeinacza, wszystko przerabia!

Wtedy, na Seligerze, przeważała siność, zieleń i barwa pomarańczowa. A jednak po spotkaniu z Czernowym na wspomnienie legł jakiś dziwny, czarnopurpurowy tuman, napawający smutkiem i budzący trwogę. Skąd to zagadkowe zdanie o moim panowaniu nad sobą? Dlaczego Czernow zachowuje się tak dziwnie?

W czwartek zdałem sobie nagle sprawę, że wyczekuję z niecierpliwością, kiedy wreszcie wskazówki zegarka dojdą do szóstej. Ostatecznie, co to za obyczaj? Jeśli mu jestem niemiły, jeśli nie chce mnie widywać, to niech powie otwarcie. Ale te, nie wiadomo co oznaczające grymasy! Po kiego diabła to potrzebne...

Feliks zatelefonował o pół do siódmej. Kiedy go zaprosiłem, odmówił. Również do siebie nie prosił, tylko powiedział, że może się ze mną spotkać za godzinę, na Arbatskim placu, koło pomnika Gogola.

Przy cokole hałasowały dzieci. Rozejrzałem się. Feliksa jeszcze nie było. Zapaliłem papierosa i, nie spiesząc się, obszedłem pomnik. Zatrzymałem się, żeby odczytać napis wyryty na cokole, i nagle usłyszałem zza kamiennej figury kobiecie głos, który mówił:

— Felka, ty jednak bądź z nim ostrożny...

— Nie obawiaj się — odpowiedział głos Feliksa Czernowa i w tejże chwili wyszedł mi na spotkanie razem z żoną. „Z nim” — niewątpliwie dotyczyło mojej osoby, ale żadne z nich nie ujawniło zakłopotania, przeciwnie, wpatrywali się we mnie tak, jak gdybym właśnie ja powinien być zakłopotany.

— Dzień dobry — pozdrowiłem parę.

— Cześć — odezwał się Feliks. — Asia, zostaw nas samych. To nie potrwa długo.

Czernowa poszła. Ani się ze mną przywitała, ani pożegnała. Patrzyliśmy za nią. To bardzo piękna kobieta i, chociaż już od dawna nie malowałem portretów, pomyślałem, że dobrze byłoby poprosić ją o pozowanie.

— No, gdzie się ulokujemy? — powiedział Feliks.

Patrzyłem na niego w milczeniu.

— Wiecie, myślałem nad tym i doszedłem do wniosku, że istotnie powinniśmy rozmówić się. I to właśnie w cztery oczy. To zresztą dla waszego dobra.

— Zachowujecie się — powiedziałem — jak dyplomata, który zamierza zgłosić ultimatum.

— Właśnie o to chodzi — powiedział Feliks poważnie.

Siedliśmy na pustej ławeczce. Niedaleko od nas gruba dziewczynka w kombinezonie lepiła jakąś budowę z piasku. „Niur-r-ra, popatrz-no, com zrrro-biła!” — krzyczała dziewczynka, szarpiąc niańkę za rękaw i ostro wymawiając literę „r”. Przez dłuższą chwilę przyglądaliśmy się dziewczynce. Piasek osypywał się z jej budowy. Feliks potarł czoło i zaczął mówić.

— Już wam mówiłem, że aresztowano mnie w październiku 1951-go roku, wkrótce po tym, jakieś się poznaliśmy. Ten zbieg okoliczności jako taki nie ma żadnego znaczenia. Zgodnie z nauką logiki, coś co się stało po jakimś wydarzeniu, nie musiało stać się w jego konsekwencji. Ale rzecz w tym, że w czasie śledztwa oskarżono mnie o złośliwą, antysowiecką agitację i zacytowano mi szereg moich wypowiedzi. Wiktor, tylko wy i wyłącznie wy mogliście dostarczyć tak dokładnej informacji. Zaraz, zaraz, tylko nie przerywajcie. Przecież jesteście człowiekiem opanowanym. Wszystko wam wyjaśnię. Pokazano mi niemal dosłowny tekst moich opinii o logice wypowiedzi i artykułów Stalina, o sposobach jego argumentacji. Na pewno pamiętacie: „To nie istnieje, ponieważ w żadnym wypadku istnieć nie może” — i tak dalej i tak dalej, w tym samym sensie. Wiadomo, czym to groziło. Pamiętam wieczór, kiedyśmy na ten temat rozmawiali, kiedy rozgadałem się, cytowałem podręcznik logiki Asmusa i popisywałem się łaciną. Nawet pamiętam i to, co wyszcie, Wiktor, mówili wtedy o wyglądzie Stalina: że ma niskie czoło i krótkie nogi, że jedyny podobny do niego portret to rysunek Andriejewa w Muzeum Tretjakowskich, który pokazuje, że ma twarz całą w dziobach i mętne oczy. Mógłbym to wszystko opowiedzieć śledczemu, a wtedy was także szurnęliby do łagra, takich rzeczy nawet szpicłom nie puszczali płazem. No, znowu rzucacie się! Pomęczcie się troszeczkę, ja więcej męczyłem się. Nie wpakowałem was nie dlatego, że pożalowałem, wówczas czułem do was tylko nienawiść... Po prostu — czułem obrzydzenie, wydawało mi się wstrętne mścić się przy pomocy emgebistów. Więc tamtego wieczoru, oprócz was i mnie, było jeszcze trzy osoby. Jednego z nich aresztowano zaraz potem i przesiedział wszystkie następne lata. Drugi — był moim przyjacielem dzieciństwa, ten jest poza wszelkim podejrzeniem, a zresztą już nie żyje. Trzecia osoba, obecna przy rozmowie, to była panna — może ją pamiętacie? — To była moja panna, moja ukończona, moja żona. Żyłem z nią, rozumiecie? Spałem z nią, rozumiecie? Kochaliśmy się nawzajem. Wiktor, zrozumieliście? Nie jesteście w stanie ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości wypierać się i usprawiedliwiać. Tak! Jesteście jedynym człowiekiem, któremu

mógłbym opowiedzieć wszystko, co przeżyłem, abyście zrozumieli i poczuili choćby w drobnym stopniu, coście zrobili. Czy rozumiecie, że nie macie nic na wasze usprawiedliwienie? Jeżeli was oplatali, zastraszyli, trzeba było popełnić samobójstwo, odejść dobrowolnie, ale nie stawać się... tym, kim staliście się. Wiktor, jesteście sprzedawczykiem. Ileż razy obmyślałem to wszystko! Tam, w łagrze, postanowiłem, że was zabiję. Zabiję — za moje splugawione życie, za to, żeśmy jedli zgniłą rybę, za to, że spaliliśmy z mokrymi nogami, za to, że śledczy pluł na mnie, a ja nie miałem prawa zetrzeć jego śliny z twarzy, za to, że Luda wyszła za drugiego, za niekochanego, płacząc, bo ją pędzili z każdej pracy, bo musiała wychować dzieciaka, moje dziecko, które urodziło się już po moim aresztowaniu. Dzięki Bogu, trafił się jej przyzwoity człowiek, bardzo przyzwoity, teraz już jest w nim zakochana. Zrozumcie, Wiktor, przecie jesteście rozumnym człowiekiem, jesteście w stanie i musicie to zrozumieć — nie mogę nawet marzyć o tym, żeby skrócić kark reżymowi, ale was mógłbym zabić tymi rękami, przecie jestem dwukrotnie od was silniejszy — ot, choćby teraz, tu na tej ławce, przy pomniku Gogola, mógłbym was bez trudu zadusić... Czemu tak na mnie patrzycie? Co, nie boicie się? To dobrze, że wzdrygacie się, gdy pada słowo „szpicel”, i nie boicie się, gdy mówię, że mógłbym was zabić. To znaczy, że zrozumiecie wszystko i uczynicie tak, jak ja chcę. Rozmyślałem się i nie chcę waszej śmierci. Wiecie, Wiktor, od tamtych czasów bardzo zmieniłem się. Myśl o zabójstwie budzi we mnie wstręt. Już nie mówiąc o tym, że mam rodzinę, przyjaciół, pracę, podróże, wypełnione morzem i słońcem, i nie chciałbym tego wszystkiego utracić. Nie, nie zabiję was. Ale musicie zniknąć. Nie macie prawa obracać się wśród ludzi, ani mieć przyjaciół, ani spać z przyzwoitymi kobietami, ani ożenić się — słyszycie? Najlepiej byłoby, gdybyście wyjechali gdzieś na koniec świata, na Daleki Wschód, albo do Środkowej Azji, ponieważ zamierzam ułatwić wam takie zniknięcie. Wiktor, uprzedzam was otwarcie: postaram się, żeby wszyscy dowiedzieli się, kim jesteście. Szkoda mi was, niemal tak samo, jak było szkoda samego siebie, ale nie ma innego wyjścia. Może zapytacie, dlaczego nie spotkałem się z wami wcześniej? Dlaczego wcześniej nie zażądałem od was wyjazdu? Czekałem. Czekałem, aż przyjdziecie do mnie, aby spróbować ze mną porozmawiać, porozumieć się, i słowo honoru, gdybym zauważył, że gryzie was choćby troszeczkę sumienie, że po tym, coście uczynili, źle czujecie się w życiu, to — słowo honoru, byłbym wam przebaczył. Ale nie, Wiktor, wy zachowujecie spokój, składacie wizyty znajomym, pijecie wódkę i, z całą pewnością, macie schadzki z kobietami. A przecie nie macie na to prawa, tak, nie macie na to prawa! Jeżeli zachowujecie spokój,

zachowujecie zimną krew, to znaczy, że jesteście człowiekiem podłym. To znaczy, że nie tylko jesteście marionetką stalinowskiego okresu — przecie od tamtych czasów niejedna „śrubka” zaczęła czuć się nieswojo. Zachowujecie spokój, więc jesteście nikczemnikiem; nie, ja was nie obrażam, po prostu was klasyfikuję — przecie jestem z zawodu zoologiem. O to chodzi, że w was tkwi istota zła i nikczemności. Gdybym był człowiekiem wierzącym, powiedziałbym, że macie w sobie Antychrysta. Szatański element spotykano w ludziach i przed Stalinem i Hitlerem, przed Iwanem Groźnym i Loyolą. Takich ludzi należy unieszkodliwiać, najlepiej — zabijać, ale ja nie jestem w stanie was zabić. Wiktor, nie wiem, czyście mnie zrozumieli... Nie, proszę mi nie odpowiadać, nie chcę odpowiedzi, wszystko wam powiedziałem i uprzedziłem. Więc radzę: wyjedźcie stąd; lepiej próbować leczyć się w samotności, niż czekać, aż inni zaczną was leczyć. Dowidzenia, mam nadzieję, że już się więcej nie zobaczymy. Wiktor, doprawdy, budzicie we mnie litość.

Podniósł się, stał chwilę pochylony nade mną, wyciągnął rękę i dłonią dotknął mego ramienia. Potem odwrócił się i poszedł. Patrzyłem jego śladem i, pamiętam dobrze, pomyślałem: „Jemu tylko tak wydaje się, że jest ode mnie dwukrotnie silniejszy. Jak on fatalnie się garbi...”

Zapaliłem papierosa, który zgąś, i poszedłem do domu. Już koło bramy zatrzymałem się i obejrzałem. Ulica hałasowała, ale ten hałas istniał jakoś oddzielony od mego słuchu. Jakiś głupi mięsień w ramieniu kurczył się sam przez się. Stałem i patrzyłem, jak w oknach przejeżdżających trolejbusów płyną odbicia kamienic, jak jadą rowerzyści, nisko pochyleni nad kierownicami. To jedyni, którym wolno ubierać się ekscentrycznie — w jakieś kołbiece czapeczki, swetry niesłychanego kroju i koloru — i żaden członek ochotniczej drużyny takiego rowerzysty nie zaczepi. Dziewczynki bawiły się na chodniku w „klasy”. Warkoczyki podskakiwały na ich plecach.

Ależ na litość Boską, ja nie złożyłem donosu przeciw Feliksowi! Nigdy nie byłem donosicielem!

Siedzieli przy szachownicy, gdzieś nad miastem, a być może, w samym mieście, to nieważne — i tak dokoła było pusto i zimne, niebieskie powietrze oddzielało graczy od reszty świata. Dobro miało na sobie białe ubranie, Zło — czarne, tak jak to jest ustanowione. Grali, kończyli jedną partię i natychmiast zaczynali następną. Dobro grało dynamicznie, z temperamentem, nie obawiając się ryzyka; Zło — bez pośpiechu obmyślało każdy ruch.

Ich poziom był mniej więcej jednakowy, ale Dobro zbyt się niecierpliwiło, grało zbyt szybko, chwytalo od razu po parę figur i często prosiło o pozwolenie na cofnięcie ruchu. Zło zawsze zgadzało się, nie zależało mu na pośpiechu. Posuwało naprzód pionki, umacniało pozycję, rzucało figury do ataku. Laufry Zła były na skos, gwałtownie jak szpady. Konie skakały fantazyjnie, w jakichś nienaturalnych skrętach. Zabite figury z bukiem zlatywały w nic. Najczęściej były to figury Dobra, które chętnie szło na ofiary, licząc na szybką wygraną. Zło oszczędzało swoje figury. Szachownica stopniowo pustoszała, dochodziło do końcówki, słychać było „Szach-mat!” — i znowu ustawiały się figury i pionki, zaczynała się nowa partia. „Jeszcze jedna, już ostatnia” — mówiło Dobro po kolejnej przegranej. Zło zawsze zgadzało się. Znowu posuwały się naprzód pionki, odbywały się rozszady, przeprowadzano kombinacje, figury osłaniały atakowanego króla... Niemal bezradni królowie, przedstawiciele idei zwycięstwa, które wywalczać musieli kto inny! Kiedy zwyciężało Dobro, wyrażało hałaśliwie radość i żądało następnej partii, by zwiększyć swoją przewagę. Zło zawsze zgadzało się. Partia szła za partią, zimne, niebieskie powietrze, przetykane białymi obłokami, kłębiło się dokoła szachistów, Zło paliło papierosy z filtrem, Dobro ssalo karmelki, i grali, grali bez przerwy, wiedząc, że każdej chwili może odezwać się rozkazujący głos: „Już dosyć! Kończyć grę! Oddajcie szachownicę innym!”, więc też Dobro starało się zwiększyć swoją przewagę, zaś Zło nie zależało na pośpiechu.

IV

Chciałem być sam, a tu jak na złość, cała nasza ferajna postanowiła zjeść obiad na miejscu. Jeden z nich pobiegł po zakupy — kanapki i piwo — a reszta rozsiadła się na stołach, opowiadając sobie nawzajem o wakacyjnych przygodach. Wyszedłem z pokoju i udałem się do pracowni, w której wyrabiano wzory i szablony. Tam nikogo nie było, wszyscy poszli na obiad do najbliższej stołówki. Położyłem się na ławce, z czyjąś teczką pod głową. Oparte o ścianę, jeszcze niedokończone, stały reklamowe wzorce. Na każdym była postać eleganckiego mężczyzny, informującego, że do Soczi podróż samolotem trwa trzy i pół godziny. Znałem to zamówienie, sam robiłem do niego szkice. Wzorce prawie wykończone, brakowało tylko czerwonej farby, którą nakładano na samym końcu. Czerwony był tekst, paski na krawacie i usta. Postacie stały obok siebie, bez warg, bez ust, chciały coś powiedzieć i nie mogły — nie było czym. W oczach kryło się

cierpienie, jak w ślepiach psa. Chociaż wiedziałem z całą pewnością, że prócz idiotycznego zdania o locie do Soczi, nie są w stanie nic mi powiedzieć, wydało się, iż czytam na ich twarzach niemą prośbę o rozmowę na jakiś ważny temat.

— Macie dla mnie jakąś wiadomość? — zapytałem. — Jakąś pożyteczną wiadomość?

Mężczyźni zachowywali wiele znaczące milczenie.

— Przecież w waszych łbach kręci się tylko jeden pomysłunek: o trzy i pół godzinny locie.

„Kto wie!” — odpowiedzieli milcząco.

— A jeżeli nawet macie jakieś inne myśli, to na pewno tak samo trywialne, jak i tamta.

„Daj nam dar mówienia — odpowiedzieli — a wtedy przekonasz się”.

— A czy warto? — zapytałem. — Niewiele mi przyjdzie z gadaniny.

„Niewiele — odpowiedzieli — ale to nie szkodzi: ludzie powinni mówić”.

— Przecież wy nie jesteście ludźmi.

Popatrzyli na mnie z wyrzutem. Wstałem, rozejrzałem się. Na oknie leżała szminka do ust. Wziąłem ją, namalowałem na jednym z wzorców wargi i powiedziałem:

— No?!

Pomlaskał wargami, żeby nadać im elastyczność i oświadczył:

— Najważniejsze jest to, iż ty sam dobrze wiesz, żeś niczym nie zawinił.

— Owszem, ja wiem, ale czy przez to jest mi lżej?

— A kto powiedział, że zawsze ma być lekko? Przez trzydzieści siedem lat miałeś lekkie życie, dosyć naużywałeś.

— Ale jakże mi teraz obcować z ludźmi?

— Pomęcz się trochę.

— Nie chcę!

— Budzisz we mnie litość — powiedział reklamowy mężczyzna głosem Feliksa Czernowa.

Wziąłem gałganek, starłem mu z twarzy usta i podszedłem do drugiego. Ten zachował się niezmiennie rzeczowo.

— Powinieneś zobaczyć się z Feliksem i rozmówić się z nim poważnie. Musisz znaleźć przekonujące słowa. Przypomnij mu, że lepiej przebaczyć winnemu, niż skazać niewinnego.

— A czyż tu nie słyszałeś, jakim tonem on ze mną rozmawiał? — zapytałem w rozpacz.

— Wszystko jedno. Ty jesteś człowiek i on też człowiek. Obydwa jesteście *homo sapiens*. Ludzki rozum...

Uderzyłem go ścierką po twarzy i zmusiłem do milczenia.

Trzeci powiedział:

— Wiktor, musisz się poddać swemu losowi. Będziesz musiał zrobić wszystko tak, jak ci powiedział Czernow.

— Dlaczego? — krzyknąłem.

— Boś zawinił. Sam dobrze o tym wiesz.

— O niczym nie wiem! Nie robiłem żadnych donosów!

— Nie mówię o donosach. Aleś zawinił. Pomyśl tylko, a zrozumiesz. Zawiniłeś tym, że...

W tej chwili w korytarzu trzasnęły drzwi raz i drugi. Ledwie zdążyłem odebrać wzorcowi mowę, gdy do pracowni wdarła się banda rysowników. „Witek! Wiktor! Wiktor Lwowicz! — podniósł się harmider. — Nasz kochany, niezastąpiony Wiktor Lwowicz!” — Wszyscy byli znacznie młodszy ode mnie, studenci i studentki, pacykujący podczas letnich wakacji, ale byłem z nimi za pan brat, razem popijaliśmy, wyjeżdżali za miasto i grali w ping-ponga. Stosunki ułożyły się bardzo swojsko. Co prawda, trzem z nich pokazałem kiedyś moje prace, prosząc, żeby nic nie mówili innym; ale, oczywiście, nie wytrzymali i teraz czułem nieraz na sobie ich pełne szacunku spojrzenia. „Banda” wyraźnie była dumna z tej znajomości ze mną i z poufalego stosunku. Czasem, jak to zwykle młodzi, przesadzali, ale tolerowałem wszystko — oni także mi się spodobali.

Pogadaliśmy trochę o malarstwie abstrakcyjnym i o „opozycyjnych” wierszach, i doszliśmy do wniosku, że dobra sztuka abstrakcyjna to dobrze, a niedobra to źle. Potem powiedziałem im:

— No, chłopcy i dziewczynki, róbcie forszę! — i poszedłem.

Praca szła jak po grudzie. Naprzykrzyły się te diabelskie reklamy. Ospale posuwałem ołówkiem po papierze, szkicowałem, coraz to puszczając w ruch gumę do wycierania. Wszystko to jakiś zły sen. Jakież prawo ma ten Czernow, żeby rozporządzać się moim życiem? Jak wszechwładny Pan Bóg! Zwalił się na mnie, zakomenderował i poszedł. Nie, nie odważy się wykonać swojej groźby. A w ogóle ja sam mogę opowiedzieć o naszej rozmowie. Opowiedzieć przyjacielowi i znajomym. Irinie też trzeba opowiedzieć. Nie widziałem jej od dnia, w którym pojechaliśmy za miasto. Jej matka zachorowała, więc Irina siedziała w domu, nawet do pracy nie chodziła — przedstawiła świadectwo lekarskie. Skończę tę robotę, to do niej zadzwonię; może już jest wolna. „Sprzedawczyk!”. To niby ja jestem tym sprzedawczykiem! Jak gdybym nie wiedział, co to znaczy wolność. Dzięki Bogu widziałem niemało i nasłuchiwałem się, o mało co sam nie usiadłem. Zresztą armia i więzienie to rodzone siostry. Igołnikow ma rację: żołnierz i katorżnik zawsze jeden drugiego rozumie. No, to dlaczego nie znalazłeś wspólnego języka z Czernowem? Spróbuj,

znajdź wspólny język z kimś, co z góry sprawę przesądza... Mógłbym mu opowiedzieć, kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, co oznacza brak wolności, mógłbym opowiedzieć o człowieku, który mi ułatwił to zrozumienie. Zdarzyło się na froncie, na Ukrainie, kiedy zostałem ranny i z kompanii karabinów maszynowych przeniesli mnie do łączności. W marszu musiałem dźwigać na sobie cały ten rynsztunek: każda szpulka z przewodami ważyła osiem kilogramów, dwie szpulki to szesnaście, jeden aparat telefoniczny — cztery kilogramy, drugi, do włączania się do linii — półtora, a jeszcze zapasowa tarcza, kociołek, obcegi, cztero i pół-kilogramowy automat, różne drobiazgi... Wszystkiego uzbierało się na jakieś dwa pudy. Żeby to związać razem, do kupy, to jeszcze można by wytrzymać, ale nie! Uciskały rzemienie, krzyżujące się na piersi, szorstki, mokry kołnierz płaszcza szorował po szyi. Do tego błoto. Sprężyste jak guma, wysysające jak topiel, czepiało się nóg, ściągało buty. Od czasu do czasu schodziłem z kolein wyłożonych przez czołgi. Nawet już nie cieszyłem się, że Niemcom powodzi się jeszcze gorzej. Z wściekłością wyrывałem nogi z tej ohydnej brajdy, czepiając się pokaleczonych, schlastanych prętów przydrożnych krzaków. Po wydostaniu się na suche miejsce, siadałem i, starając się nie spieszyć, zeskrobywałem patykiem, albo po prostu palcami, błoto z butów i owijaczy. I kłamałem ile wlezie — na ponuro, bez przekonania. I dopiero później, gdy znużenie nieco ustępowało — bo naprawdę nie ustępowało nigdy, a wojna to przede wszystkim stałe znużenie — dopiero w jakiś czas później zaczynałem patrzeć na wszystko, co mnie otaczało, w identyczny sposób jak przed wojną; widziałem burą drogę, wzdętą porowatym błotem, pecyny tego błota, zoranego gąsienicami czołgów, połyskujące naftą od zetknięcia się z metalem, jaśniejszą plamę zgubionej furażerki, połowę kuchni z oderwaną przykrywą, wypełnioną po brzegi mętną deszczówką, wesołą barwę zdołbycznego przewodnika — czerwone i żółte sznurki, ciągnące się o jakieś dziesięć metrów od drogi. Z takich przewodników więcej dziewczęta plotły „namista” — zamiast paciorków. Jeśli siedziałem dłużej i przyglądałem się uważniej, wszystko to nabierało swoistej wyrazistości, każdego kształtu i koloru, i co w nim najbardziej istotnego. Ale nie można było siedzieć zbyt długo... Na jednym z takich popasów dostrzegłem, że z boku, trzy metry od drogi leży duży, ładny album, z okładką w celofanie. Patrzyłem na album i wahałem się. Aby go podnieść, trzeba było przejść kilka kroków po grząskiej brajdzie. A nuż zostały w nim jeszcze niezapisane kartki? Przemogłem się i poszedłem. Podniosłem album i zajrzałem od końca — nie, czystych kartek nie było. Przez ostatnią stronę biegł napis: obelżywe słowo składające się

z trzech liter. „Bracia-Słowianie — pomyślałem z uśmiechem — Rezolucję wypisali”. Obelga była wypisana chemicznym ołówkiem, najprawdopodobniej jego ułamkiem, papier — podrapany. Początkowo chciałem znaleźć album rzucić, ale ostatecznie wsunąłem go pod ramię i powlokłem się dalej.

Wieczorem, na noclegu, otworzyłem album i przysunąłem się do palnika, zmajstrowanego z łuski od naboju.

Byli tam niemieccy motocykliści, pędzący nocą po zalanej wodą drodze, światła latarń przebiegały się poprzez deszcz; dalej był rysunek, przedstawiający scenę ataku: żołnierze biegli do przodu z wysuniętymi automatami, a pod ziemią w odwrotnym kierunku czołgały się umarłaki, Chrystus w mundurze feldfebla dźwigał krzyż na Golgotę, pociętą strzeleckimi rowami; jeszcze dalej portret mężczyzny, usta wykrzywione bólem, blizna na czole, na dole podpis po niemiecku: „Jeszcze żyję. 1943. Luty”; na następnej stronie człowiek o tej samej twarzy, stojący pod ścianą, rozstrzeliwano go, niżej napis: „Egzekucja dezertera”; obok inna wersja tej samej sceny, tym razem rozstrzeliwali artystę nie Niemcy, lecz nasi; na innym rysunku artysta niczym dzieciątko, znajdował się na rękach u Matki Boskiej, klęczącej przed oficerem; jeszcze jeden autoportret: artysta gładzi urwaną kobiecą rękę ze ślubną obrączką na palcu; kilku artylerzystów strzela z dział przeciwlotniczych do aniołów, zlatujących na spadochronach; żołnierz stoi pod szubienicą, na której wisi trup człowieka w samej bieliźnie, napis: „Ja także pragnę być wolny”. Wszystkie rysunki były zrobione ołówkiem, jedynie autoportret z 43-go roku — piórkiem.

Oglądałem album, aż wreszcie ktoś krzyknął, żebym zgasił światło. Położyłem się, ale po ciemku widziałem rysunki Niemca. Wreszcie usnąłem.

Nosiłem przy sobie ten album prawie do samej demobilizacji, aż mi go odebrał zastępca politruka. Nie, mój stosunek do wojny był inny, niż tego Fryca, czy Hansa. Walczyłem, bo tak należało, a nie tylko dlatego, że mnie zmobilizowano. Ta wojna była moją wojną. Nie żałowałem, że jestem na froncie. Ale po wielokroć oglądając album, myślałem nie o wojnie. Zrozumiałem, że Niemiec bał się nie śmierci; źródłem przerażenia był fakt, że ktoś chwycił go za gardło i zmusił do posłuchu, odebrał mu wolność. Kto wie, może to właśnie wtedy, od tego Niemca, mego brata po sztuce, zaczęły się moje rozmyślenia o wolności i jej braku. Być może, właśnie wtedy przyszło mi do głowy, że lepsza jest śmierć, niż pobyt w więzieniu. Może od owego czasu stałem się tak ostrożny w rozmowach, pilnując swojej wolności. Wolności? Tak jest, wolności. Mogłem malować, piłem, kąpałem się w morzu, kochałem kobiety...

— Wiktor, czy skończyłeś szkic?

Czernow chce mnie ukarać za grzech, którego nie popełniłem. Chce skazać mnie na samotność, porzucić na bezludnej wyspie. Dobrze, trudno, niech próbuje, a ja się nie poddam, a ja stawię opór, tak łatwo mnie nie złamie. Będę wzywać pomocy, wysłę SOS, jakbym wrzucał butelkę do morza...

— Wiktor, co z tym szkicem?

Butelkę do morza, zupełnie jak tej pieśni Miszki, „Butelka w morzu”!

*Pluszcze w morzu fala potyskliwa,
cicho pluszcze i butelkę unosi,
z wszystkich stron ją łagodnie obmywa,
ośmiornice — „Nie ruszajcie jej!” — prosi.*

*Wicher miota się, gwizdże wśród burzy,
niesie wieść do najdalszych wybrzeży.
Siność taka, że aż w oczach się mruży —
któryż okręt butelkę dostrzeże?*

— Wiktor!

— Czego chcesz?

— Czy skończyłeś szkic?

— Zaraz skończę.

A co jeżeli stanie się właśnie tak, jak w pieśni Miszki? W smutnej piosence, wywołującej zamyślenie westchnienia po zjedzonej kolacji... Jak w żalosnej piosence o ludzkiej bezradności, o przychylniej obojętności całego świata...

*Już zbierają się zwolane okręty
z wszystkich mórz, nim na niebie się zmierzchnie.
Oto płynie twój list przez odmęty —
wyciągajcie butelkę jak najspieszniej!*

*Już ją czyjaś ręka poderwała,
już otwiera się koperta szklana.
Czeka żeglarz na samotnych skałach:
kiedyż będzie dłoń pomocy mu podana...?*

— Chłopaki, fajrant! Jazda do domu, do chałupy! Witek, do diabła z tym szkicem! Jutro skończysz. Jadziem?

— Idźcie, ja jeszcze trochę podhubię.

— Jak chcesz. Czołem, cześć!

— Dowidzenia.

Kiedy wszyscy poszli, pozbierałem ołówki, włożyłem papiery

do teczki i poszedłem do domu. Przechodząc obok pracowni, w której wyrabiano szablony, zwolniłem krok. Potem otworzyłem drzwi i zajrzałem. „Bandy” już nie było. Moi poprzedni rozmówcy stali pod ścianami i uśmiechali się świeżo namalowanymi ustami. Zbliżyłem się do tego, z którym nie zdążyłem dokończyć rozmowy.

— No, więc jak przyjacielu? Czymże ja właściwie zawiniłem?

— „Korzystajcie z komunikacji powietrznej! — odpowiedział jegomość. — Podróż do Soczi trwa trzy i pół godziny”.

— Nie wyglupiaj się! — powiedziałem. — Wygląda na to żeś mądrzejszy od twoich braci. Co miałeś mi do powiedzenia?

— „Korzystajcie z komunikacji...”.

— Słuchaj-no, nie bądź kanalią. Mów!

— „...podróż do Soczi trwa...”.

— A idź że ty do...

— „...trzy i pół godziny”.

Trzasnąłem drzwiami.

V

Irina miała śpiewne, potoczyste nazwisko — Jewlewa. Za każdym razem kiedy do niej telefonowałem, wydawało mi się, że śpiewam, wymawiając: I-R-I-N-A J-E-W-L-E-W-A... I za każdym razem przechodził przeze mnie dreszcz, gdy słyszałem pytające „Ta-ak?”.

— Irinka — powiedziałem — jak tam sprawy?

— Witeczku, mam czas! Mama zdecydowała, że wygodniej okres choroby spędzić u ciotki, i dziś ranem zawiozłam ją do Filów. Więc jestem całkowicie wolna! Czy widzisz mnie, tańczącą przy telefonie?

— Naturalnie! — odpowiedziałem. — Stajesz na palcach i uderzasz piętą o piętę. Zaś lewą ręką przytrzymujesz szlafroczek.

— Witeczku, osłepieś! Nie mam na sobie szlafrocza. I w ogóle prawie nic nie mam — ot, jakiś drobiazg.

— A tak! No, to w takim razie już pędzę.

— Szanowny panie, nie będzie pan na mnie czekał: zastanie mnie pan całkowicie ubraną, gotową do wyjścia.

— A gdzie pójdziemy?

— Wyrwiemy się gdziekolwiek, Witeczku. Przyjeżdżaj!

Wziąłem taksówkę. Trafiłem na młodego, zuchowatego szofera. Dziarko przeskoczyliśmy przez skrzyżowanie, gdy już zapaliło się żółte światło. Milicjant pogroził nam ze szklanej budki.

— Siedź w tej szklance, jak ci dobrze! — burknął szofer.

Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, potem poprosił mnie o papierosa i poinformował:

— Tylko co wróciłem z Naro-Fominska, jednego inżyniera tam zawiozłem. Kiedyśmy się godzili, pytam, czy jedzie sam „Sam” — odpowiada. I rzeczywiście, sam jechał. Ale w samochodzie nie było ani jednego wolnego miejsca.

Zamilkł, czekając, aż się odezwę. Zapytałem:

— Jakże to?

— A bardzo zwyczajnie: cały wóz różnymi produktami zawalił. Powiadam: „Cóż to, wykupiliście wszystko, co było w moskiewskich sklepach?”. A on mi na to: „Drogi chłopcze — powiada — przecież żyć trzeba! Rodzinę — powiada — mam liczną. U nas — powiada — w Naro-Fominsku żyje się pod takim hasłem: „Pij wódkę, chodź do kina, zagryzaj radiem”.

Roześmiałem się.

— No, więc przywiozłem go, towar wyładowałem, myślę sobie — sprawdzę jak z tym jest. Zajrzałem do sklepów, prawda — ani jednego kartofelka! To już tu? Przed bramą? Dziękuję! Moje uszanowanie!

Wbiegłem na drugie piętro, zadzwoniłem.

— Witek, to ty?

— A właśnie.

— Poczekaj za drzwiami, aż skończę się ubierać.

— Irka, otwórz, tutaj straszy i wilki wyją...

— No, dobrze, wejdz, ale nie patrz na mnie...

Wszedłem z zamkniętymi oczami. Irina roześmiała się, wzięła mnie za rękę i poprowadziła do pokoju.

— Irka, a jakże to jest, że w nieprzyzwoitym negliżu spacerujesz po korytarzu?

— Nikogo nie ma. Była sąsiadka, ale i ta poszła przed chwilą.

Otworzyłem oczy. Irina miała na sobie stary kąpielowy płaszcz, byle jak ściągnięty paskiem od gabardyny. Patrzyła na mnie i uśmiechała się.

— Jakiś ty elegancki — powiedziała. — Sztafiruje się nawet do pracy. W niebieskiej koszulince składa wizytę swej dziewczynce...

Jeden rękaw miała rozerwany. Pocałowałem ją w ramię.

— Witek, Witek — powiedziała Irina — Witek, Witek

...Nigdzie nie poszliśmy. Przed samym wieczorem zszedłem do sklepu, kupiłem butelkę wina i coś do przegryzienia. Jedliśmy i piliśmy, siedząc na łóżku, Irina troszkę miała w głowie, włosy jej rozstrzępały się, tuliła się do mnie.

— Witek, Witek — powtarzała co chwilę — Wiktor-zwyczajca... Jakaż ze mnie idiotka, że tyle czasu to odkładałam. Już cię więcej od siebie nie puszcze. Słyszysz?

Znowu połączyły się nasze oddechy. Widziałem z bliska jej mocno zaciśnięte powieki, usta wydawały się czarne. To było tak, jakbyśmy pływali po wzburzonym morzu. Fale zalewały nasze głowy, pod ciężkimi, wstrząsającymi ciałem ciosami brakowało tchu, potem unosiło nas do góry, ku oślepiającemu blaskiem słońcu i znowu strącało na dół, w czarne przepaście zapamiętania. Chwytając powietrze, byliśmy tylko w stanie z jękiem wypowiedzieć nasze imiona...

Wydostałem się z łóżka ostrożnie, żeby nie zbudzić Iriny. Usiadłem w nogach i zapaliłem papierosa. Niezmierna czułość, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyłem, opanowała mnie bez reszty. Irina leżała z kolanami podciągniętymi do brzucha, kolana widniały wyraźnie w mroku, ręce były zabawnie przekręcone dłońmi do góry. Patrzyłem i myślałem, że obecnie jest mi najzupełniej obojętne, czy jest piękna i mądra; nasze zbliżenie jest już całkowite — i to najważniejsze. Kocham ją i kochałbym tak samo, gdyby miała krzywe nogi i szerniałe zęby, albo gdyby wygłupiała się w rozmowie. „Jesteś moją żoną” — pomyślałem i mocno zacisnąłem szczękę, żeby się nie rozpłakać. To mi się jeszcze nigdy nie zdarzało. Ani przez chwilę nie potępiałem siebie za to, że prowadziłem rozpustne życie, ale wywoływanie z pamięci innych kobiet w obecności Iriny wydawało mi się bluźnierstwem. Zachowywałem się zawsze tak samo, jak tuziny moich znajomych, jak i oni nawiązywałem i zrywałem stosunki z kobietami, podobnie o nich myślałem i mówiłem. Być może zachowywaliśmy się w trywialny sposób. Trywialność? Nie, nie o to chodzi. Jednak to zawsze było poszukiwanie, które samo przez się dawało rozkosz. Któż winien, że afirmacji samych siebie szukamy w zakazanej, wstydlivej ciemności, że słowa przez nas wymawiane, obniżają i strącają ku ziemi mądre pożądanie piękności? Ira, Irinka, jesteś moją żoną, szukałem ciebie i wreszcie znalazłem...

„Nie macie prawa ożenić się”. Wstałem. „Nie macie prawa spać z przyzwoitymi kobietami”. Łezesz! Mam prawo. Jestem przyzwoitym człowiekiem. Jestem rozumny i utalentowany. Szukaj innych, szukaj prawdziwych bydlaków. Szukaj uważnie, nie rzucaj się na zbyt jaskrawą przynętę. Szukaj! Tak, między nami są prawdziwi szpicle — jeżdżą tramwajem i metrem, chodzą do filharmonii i czytują Sołżenicyna, przechodzą na emeryturę i hodują kwiaty, należą do składu koleżeńskich sądów, pisują prace naukowe! Z nimi załatwiaj swoje porachunki!

„Załatwiaj swoje porachunki” — powtórzył głos Czernowa. — Jeżeli jesteś taki uczciwy, to te porachunki należą także

do ciebie. Uchylasz się od odpowiedzialności, chcesz żeby inni zajęli się zeszkrobaniem błota, a ty będziesz popisywać się czystym sumieniem, jak świeżo oczyszczonymi butami. Zamiast drobniaków rzucisz pucybutowi: „Zgadzą się z wami całkowicie!”. I będziesz dumny z swej cywilnej odwagi. Nie, trzeba wziąć się do działania!”. Do działania? A ty, Feliksie Czernow, coś zdziałasz? Za co siedziałeś w więzieniu? Ty i 99 procent was wszystkich z 58-go artykułu? Siedzieliście *za nic*. Wy także nic nie robiliście. Nic złego i nic dobrego — nie robiliście *nic*. Żal mi was aż do krwawych łez, ale nie macie czym pysnić się przede mną — wyście także byli bezczynni. Moja wina polega tylko na tym, że nic nie zrobiłem. Jeśli to można uważać za winę... Jeśli to można uważać za winę...



Ostatecznie nie opowiedziałem Irinie o tej sprawie. Nie chciałem zbędnymi rozmowami psuć naszych pierwszych godzin, naszych pierwszych dni.

Minął tydzień. Prosto z pracy jechałem do niej, a niekiedy Irina czekała na mnie przed pracownią. Wałęsaliśmy się po Moskwie, włożyliśmy się wzdłuż wybrzeży, gapiąc się na neonowe pingwiny, zachwalające lody. Bardzo troszczyliśmy się o siebie nawzajem; tłumaczyłem jej, że Pirozmaniszwili jest geniuszem, zaś Irina mówiła mi to samo o Szostakowiczu. Było naprawdę cudownie.

Właśnie podczas pracy temperowałem, poświstując, ołówki, gdy zawołano mnie do telefonu. Dzwoniła Irina. Powiedziała mi, że matka wróciła do domu i wobec tego nie może mnie dziś u siebie przyjąć.

— W takim razie przyjdź do mnie ty.

— Witeczku, muszę dziś zostać z mamą. Przecież to pierwszy dzień.

— Co u diabła! — wrzasnąłem. — Jesteś moją żoną, czy nie jesteś?!

— Kochany, nie awanturuj się! Przede wszystkim, jeszcze nie jestem twoją żoną... Co? Nie rycz — niech będzie, że już żona. A po drugie, doprawdy, strasznie zaniedbałam gospodarstwo. Trzeba posprzątać, przeprać to i owo... Jutro zobaczymy się. Ściskam cię.

Powiesiłem słuchawkę. Obok stał kolega i podśmiewiał się.

— Ożeniłeś się, co? A gdzie wesele? Masz węża w kieszeni? Klepnąłem go po ramieniu.

— Nie płacz, nie żałuj! Będzie czym i gardziółko zwilżyć i do dzioba włożyć.

Po skończeniu roboty zastanowiłem się: co teraz z sobą robić? Przez ten ostatni tydzień przyzwyczałem się do codziennych spotkań z Iriną i czułem się teraz nieswojo. Poszedłem do Miszki Łurje.

Miszka mieszkał niedaleko ode mnie, na Trubnym Placu. Drzwi do mieszkania otworzyła mi sąsiadka. Zapukałem do pokoju Miszki, nikt nie odpowiedział, wszedłem.

Wszyscy siedzieli za stołem: Miszka, jego żona i Nina Riabczewa. Już stojąc pod drzwiami, usłyszałem, że się o coś spierają, a po wejściu zobaczyłem, że Miszka jest zły jak diabeł, zaś Nina ma wypieki na twarzy. Żona Miszki siedziała z mocno zacisniętymi ustami.

— Jak się macie, stara wiaro! — powiedziałem. — Cóż to za rozprawa sądowa między wami?

— Jak się masz — powiedział pochmurny Miszka.

— Co się stało?

Wszyscy milczeli. Potem Nina wstała.

— Na mnie już czas.

— Ninoczka, odprowadzę was — odezwała się żona Miszki.

— Do widzenia — powiedziała Nina. Poszły.

— Miszka, o co chodzi? — zapytałem. — Przydarzyło się coś złego?

— Przydarzyło się.

— Komu?

— Tobie.

Zrozumiałem.

— Acha — powiedziałem. — Czernow. Powinienem był was uprzedzić. No, opowiadaj. Szkoda, że się spóźnił. Nie miałem na to czasu.

— A na co miałeś czas?

— Na miłość.

— Mógłbyś w takiej sytuacji odłożyć obłapkę.

— Nie, Miszka, to nie obłapka. Żenię się.

— Z kim?

— Z Iriną Jewlewą.

— Ocho! — Miszka radośnie uśmiechnął się. — To mi się podoba! To dobry kawał!

— Może byś tak przestał uciekać od tematu? Opowiadaj, co się stało!

— Co się stało, to się stało! Stało się, że ten Feliks Czernow przyszedł do Niny i powiedział, że jesteś szpiclem, żeś na niego doniósł, że ma na to niezbite dowody.

— I co, pokazał te dowody?

— Tak.

— I co? Ty co o tym sądzisz?

Miszka odwrócił się i wpatrzył się w ścianę, na której wisiała reprodukcja „Tancerek” Dégas’a.

— Miszka, dlaczego milczysz? Ty także sądzisz, że jestem żmija? Miszka, przecież znamy się od szkolnych czasów.

— Słuchaj, Wiktor — Miszka wyprostował się. — Powinieneś pójść do Czernowa. Musicie wszystko wyjaśnić. Przecież obydwaj jesteście rozsądnymi ludźmi. Przecież powinien zrozumieć, że lepiej milczeć, niż oskarżać, nie mając pewności. Jeśli chcesz, pójde z tobą.

— Zaraz, Miszka. A ty, powiedz, ty jak sądzisz?

Miszka milczał przez chwilę.

— Wiktor, wierzę ci — powiedział powoli — wierzę...

— Ale... Przecież chciałeś dodać „ale”!

Nie odpowiedział mi.

— Miszka! — rozdarłem się na cały głos.

— Tak jak gdybyś sam nie rozumiał — powiedział z naciskiem.

Podniosłem się.

— No, cóż. Dzięki i za to...

VI

W „Uzbekistanie” huczało, jak w wagonie bez miejsców. Spocona służba biegła między stolikami i wymachiwała serwetkami, uciekając od zniecierpliwionych klientów. Obok mnie siedziała pijana dziewczka i coraz to usiłowała zagadywać mnie po angielsku, ale nic jej wychodziło poza „spik ju inglisz” i „aj gert”. Towarzyszący jej kawaler, nudziarz o wysokim czole i uniwersytecką odznaką w kłapie, mówił: „Luda, zaczekaj!” gdy milkła na chwilę, przechylał się nad stolikiem i, machając rękawami w salacie, usiłował mnie przekonywać.

Najbardziej obiektywna amerykańska gazeta to „New York Herald Tribune”. Radzę czytać „New York Herald Tribune”. Wszystko oceniając we właściwy sposób...

— A wy co? — jesteście reklamowym agentem? — zapytałem, odpychając jego wilgotną rękę, którą chwycił mnie za ramię. Ale natręt nie zrażał się.

— Nie — ja jestem docent Waszczkin. Siemion Alekiewicz Waszczkin. A wasze nazwisko?

— Fra-Diavolo.

— Cha, cha, ale żartowniś. Mówię wam: czytajcie...

Przerwał i spojrzał na mnie zakochanymi oczami. Dziwka znówu podniosła wrzask:

— Spik ju inglisz?”

— Zaczekaj, Luda! Zaraz wam wszystko opowiem: siedliśmy do pokera i przegrałem osiem rubli, tak? Grywacie w pokera?

W pokera! Ach, suczy synu! Spotkaj się ze mną na ulicy, to ja ci pokażę pokera!

Przechyliłem karafeczkę nad angiolką. Nie starczyło nawet na pół angiółki. Docent rzucił się usłuźnie.

— Za pozwoleniem! Naleję, bardzo proszę...

— „Aj em ger!”

— Luda, zaczekaj! Bardzo mi się podobacie, wielce szanowny — che, che — Fra-Diavolo!

— Dobra! Nalejcie. Kelnerka, jeszcze trzysta gramów!

Kelnerka pochyliła się nade mną z gestem zatroskanej matki.

— A może już starczy? Proszę się nie gniewać, ale sporo już wypiliście.

— Nie szkodzi, panienko, nie szkodzi! Przecież widzisz — trzymam się doskonale.

Ale nie, nie czułem się dobrze. Owszem, byłem trzeźwy, ale cała sala rozpyłyła się przed wzrokiem, w głowie postukiwały młoteczki, usta były straszliwie suche.

— Słuchajcie, Waszczekin! Jesteście docentem, co? Chciałbym was o coś zapytać. Tylko powiedzcie tej, żeby się nie pchała ze swoim „ingliszem”, bo ja ją zaraz po rosyjsku pošę, gdzie trzeba! — dodałem w rozdrażnieniu. Byłem pewny, że jestem trzeźwy, kontrolowałem ton mego głosu, unosiłem się z całą świadomością.

— Luda, zaczekaj! Słucham was, kochany przyjacielu! Nazywam się docent Waszczekin....

— „Spik ju” — pisknęła Luda i zamilkła w rozżaleniu.

— Słuchajcie, Waszczekin! A propos, co to za idiotyczne nazwisko: Waszczekin, Naszczekin... Dobra, dobra, nie gniewajcie się... A, jest wódka! Dziękuję, proszę tu postawić. No więc proszę sobie wyobrazić, że was oskarżono o nikczemny, podły czyn. Nie jesteście w stanie udowodnić, że nie zawiniлиście niczym, jesteście bezbronni wobec oszczerstwa. Słuchacie mnie? Słuchajcie, bo jak nie... Jakże, mój docencie, zachowacie się? Jak dacie sobie rady w życiu?

— Ja... Dziękuję, dziękuję. Za wasze zdrowie! Kcha! Tak. Gdyby mnie oskarżono o coś, czego... czego, coś... nie popełniłem, zachowałbym całkowity spokój! Byłbym spokojniutki!!! Bo przecież wiedziałbym, że nie jestem winien. Co?

— Dobrze powiedziane! Docent, ależ z ciebie zuch! Słuchaj-no, a ile godzin lotu z Moskwy do Soczi?

— Jak? Do Soczi? Zdaje się, jakieś trzy godziny, trzy i pół.

— Doskonale Waszczekin, znowu zgadłeś!

W tej chwili Ludzie zrobiło się niedobrze. Wstała, patrząc na nas tragicznym, bezmyślnym wzrokiem. Waszczekin skoczył, objął ją w pasie i uprowadził wołając pod moim adresem:

— Zaczekajcie! Nie odchódźcie! Musimy dokończyć rozmowę!

— Czy to miejsce jest wolne?

Jedno krzesło przy naszym stoliku było niezajęte, ale nikt do nas nie przysiadł się, bo na krześle leżała torebka Ludy. Wyprowadzając ją, Waszczekin zabrał torebkę.

— Tak, jedno miejsce — odpowiedziałem.

— To mi w zupełności wystarczy. Wiecie, ja nie lubię siedzieć na dwóch stołkach. Przez całe życie siedziałem zawsze na jednym. I wam życzę tego samego.

Był zupełnie pijany, miał około pięćdziesiątki, osowiała, dobroduszną twarz, jasne, siwiejące włosy i maleńką łysinkę — dostrzegłem ją, gdy siadając, nieco pochylił się.

— No, co — zapytał, pocierając ręce — czego napijemy się? Panienko, poprosimy karafeczkę, sałatkę, karski szaszłyczek, dwie buteleczki mineralnej wody. Więc tak. Młodzieńcze, proszę o pozwolenie na skorzystanie z popielniczki. Więc tak. Bardzo koledze dziękuję.

— Jaki tam kolega! — burknąłem. — Jestem artystą.

— Ja także jestem artystą — podchwycił pijany jegomość. — Artysta w swoim rodzaju. No, ja tylko poartowałem. Ale znałem wielu artystów. Często się z artystami stykałem. Zdarzało się nieraz, po całych nocach z nimi gawędziłem.

— A tak? Jesteście może historykiem sztuki? Albo krytykiem? Albo ministrem kultury?

— Uch, co za gorączka! Bardzo jeszcze młody. To nic, to przejdzie...

— To napijmy się. Bo zanim was obsłużą...

— Napiję się, synku, napiję. Policzymy się potem. Na twoje zdrowie. Więc im powiadam: „Wy co — artyści? Szkoda mi was — powiadam. — Taa-acy ludzie! Siadajcie” — powiadam. Tak, a teraz jestem na emeryturze. Więc tak.

— Niebardzo rozumiem, jakieście mieli stosunki z artystami.

— A czy tylko z artystami?! Profesory, akademicy! Chemicy! Ja tu siedzę, a oni tam — gołąbkowie moi kochani. Cóż tak spoglądasz i oczkami mrugasz? Chcesz wiedzieć kim jestem? Proszę bardzo! Major! Major w służbie bezpieczeństwa. Dwadzieścia siedem lat, ani jednego grosza mniej! A teraz na emeryturę posłali.

Nagle zaczął mówić szeptem.

— Jesteś — oświadczają — niepotrzebny. Wykształcenie — mówią — niewystarczające. Odpocznijcie — powiadają. A na moje stanowisko — szczeniaka, młokosa. Tylko uważaj, pary z gęby nie puść! Ja z tobą, jak z własnym...

— Co?!

— ...jak z własnym bratem rozmawiam, jak z młodszym bratem. Mówię ci: oni wrócą! Wrócą, zawołają, powiedzą: „Majorze, ratuj!”. Ty co myślisz, że te kawały to na długo? Te wszystkie ujeżdżalnie, jewtuszenki, sownarchozy, matka ich taka owaka... Milcz, nie gadaj. Żeby zaciśnij, milcz, nie rozpaczaj. Myślisz — ja jeden?! Myślisz — zapiję się na wygodnej emeryturze? Nieprawda! Idę Kuzniecką ulicą, a tamci walą naprzeciw, a tamci nic, tylko walą naprzeciw. Salutować w cywilu nie wolno, więc tylko wzrokiem mnie pozdrawiają! Nie! Diabła zjesz, a beze mnie nie dasz rady! Przyjdą, poproszą, a ja umyję się, ogolę, wyjdę do nich — i dopiero zobaczysz co my razem pokażemy! Cyt! Bo to, rozumiesz, słabeusze. „Wyrzutów sumienia — taki powiada — doświadcza, niewłaściwie poinformowałem”. A jakież ty masz prawo, żeby rozprawać, co właściwe, a co niewłaściwe? Wykonałeś swój obowiązek! Wobec ojczyzny, wobec Partii! Wobec... Zresztą o Nim mówić nie zamierzam. Inni o Nim opowiedzą. Więc tak. Właściwie, czy niewłaściwie, ale poinformować należy. A my już potem wyjaśnimy. Z ciebie dobry chłopak, tyle że młody, oczy masz zadumane. Daj temu spokój, nie myśl za wiele! Nie filuj! Poinformowałeś właściwie. To znaczy, nie tyś informował, pomyliłem się... Ale i ty mógłbyś dać informację. Prawdziwy z ciebie mężczyzna. Byłeś na froncie? Gdzie? Byłeś w kotle, w niewoli?

Nagle umilkł i wpatrzył się we mnie podejrzliwie.

— Tylko uważaj — zasyczał. — Zobowiązanie podpisałeś. Więc tak.

Przy sąsiednim stoliku zwolniło się jedno krzesło. Major wstał i przeniósł się. Zaraz mu przyniesiono zamówione jedzenie i picie, a on wciąż groził mi palcem i syczał: „Więc tak!”.

Więc tak! Właśnie tak, a nie inaczej! Major puchnął w oczach, dwoił się i troił, przebierał się w szary mundur, obrastał szlifami i odznaczeniami, rozmnażał się, wypełniał całą restaurację. Więc tak! A właśnie że nie! Właśnie że nie tak! Tak nie będzie, jak ty chcesz, majorze, ścierwo ty przekłete, emgebisto, tak nie będzie! Zdechnę, ale wszystko zrobię, żeby tak nie było.

Nie pamiętam, kiedy i jak zjawił się Brynskij. Zdaje się, że najpierw robił mi znaki z drugiego kąta restauracji, ale nie wstałem, więc sam przyszedł do mego stolika. Wódki już nie miałem,

poszedłem upominać się o to, co wypił emgebista. Brynskij potarzał bez końca:

— Pluń na niego! Posłuchaj moich wierszy.

— Zaraz — odpowiedziałem — za chwilę.

Poszedłem do ustępu i podstawiłem głowę pod kran. Zbliżył się do mnie posługacz.

— Szanowny obywatelu, czy chcecie otrzeźwieć w ciągu piętnastu minut?

— Chcę otrzeźwieć! — odpowiedziałem. — Na całe życie.

— Na całe życie to się nie uda — odpowiedział rzeczowo.

— O trzy rubelki poproszę.

Dałem mu trojaka. Zaprowadził mnie za przepierzenie, posadził na krzesło i wsunął do rąk flakon z witaminą „B-prim”.

— Proszę zażyć — powiedział. — Ale uwaga — nie zasy-piać.

Łykałem drażety, dławilem się i nie wierzyłem w skuteczność tego środka. Jednakże po jakichś dwudziestu minutach wróciłem na salę, słaniając się na zwiotczałych nogach, ale prawie zupełnie wytrzeźwiony.

Brynskij wciąż na mnie czekał.

— Posłuchaj — powiedział. — I wy słuchajcie — zwrócił się do Waszczekina i Ludy, którzy w międzyczasie także wrócili. Twarz Brynskiego skamieniała, chwycił się dłońmi za policzki i zaczął recytować:

*Przeminie, milcząc, groźny tłum stuleci,
byśmy ku prawdzie mogli podejść bliżej,
wtedy zasłona z mrocznych niebios zleci
i w krzyk uderzą archanielskie spiże.*

*A lud zawyje: „Jakże? To przedwcześnie...”
Błagalnie krzyknie: „Nie! — to nazbyt skoro...” —
i, czkawiąc, znów jakiegoś wodza weźmie,
by go w pośpiechu wiódł — fałszywy prorok.*

*Rzuceni w stadny pęd, w bezmyślny atak,
pod wzrokiem wodza, jak szalone dzieci —
i znowu brat podniesie broń na brata,
złoto przeciw złu i fałsz fałszowi przeciw...*

*I czarny koń błyskaniem grzmiących podków
uderzy w granit, bukiem świat oniemie
i okres lodowcowy aż do środka
w tysięczny raz przepali łono ziemi.*

....Wznosząc doktryny, swarząc się o władzę,
o, głupcy, nikt nie dojrzał w tępej złości,
iż życia sens — jedynie w równowadze
dobra i zła, ciemności i jasności!

— Poeta! — zawołał Waszczekin. — Prawdziwy poeta!
Proszę o autograf. Nazywam się — docent Waszczekin!

Z rana następnego dnia znalazłem w kieszeni kartkę z tym wierszem. Nie mam pojęcia, jakim sposobem tam trafiła. Być może, odebrałem Waszczekinowi... Przecież znowu upiłem się jak bela.

.....
Wieczorem, mój bracie, wyjdę z domu i zejść do czeluści,
gdzie stacje są nanizane na huk pędzących pociągów, gdzie bez-
myślnie chętni się marmury i spiże, gdzie przewala się znużony
i ponury tłum. Pęd poniesie mnie pod miastem, pod ludzkimi na-
rodzinami i zgonami, pod czułością i rozpusztą, pod chaotyczną ży-
ciową pstrokacizną. Wyjdę z powrotem na powierzchnię, niosąc
na pochylonych barach ciężar tego wszystkiego. Zapukam do
twoich drzwi, zwałę ciężar na progu i zapytam: „Co mam z tym
robić?” Wykrzywisz się przebiegłym, smutnym uśmiechem, jak
gdybyś dobrze znał popasy i przepaście mojej drogi, zwycięstwa
i ucieczki mojej podróży. Zacytujesz różnych słamazarnych mędr-
ców, długimi palcami ulepisz z powietrza potwory Apokalipsy
i powiesz: „To przyszłość”. Nie uwierzę ci, mój bracie. Nie po-
zwolę mej obnażonej duszy wejść na lód i w ogień twoich pro-
roctw. Zapytam: „Co mam robić teraz, dzisiaj?”. Wyciągnę z
kupy gruzu mego bohatera, Wiktora, położę go na stole, zasypa-
nym popiołem od papierosów. I zapytam: „Jak mam przyjąć mu
z pomocą?”. Nie odpowiesz ani jednym słowem i smutnie bę-
dziemy przyglądać się, jak zwiija się w drgawkach na lepkiej cera-
cie, obok niedojezionej kromki chleba, na brzegu stołu, z któ-
rego tak łatwo jest zlecieć. Będziemy na niego patrzyli, jak w
Ogrodzie Zoologicznym patrzy się na małpy, rozczuleni i przera-
żeni ich podobieństwem do nas. Więc zapytasz mnie: „A ile w nim
jest z ciebie samego?”. „Nie wiem — odpowiem ci — nie wiem.
Zapewne bardzo dużo”.

Dopijemy wódkę, która została po wczorajszym pijaństwie,
opowiemy sobie nawzajem nowiny i anegdoty, odejdę, odprowa-
dzisz mnie spojrzeniem — będę wąsać się ulicami, zaglądać w
twarze przechodniów i w oświetlone okna parterowe.

Dowlokę się do zaułka, w którym mieszkasz, kobieto, przy-
jaciółko moja, wejdę do twego domu. Razem pozbieramy odłamki
naszej przeszłości, ułożymy z nich małeńki stos, zapalimy i bę-

dziemy grzali nasze wyziębłe dłonie. Nie zapytam cię, co mam
robić, bo w twoich oczach dostrzegę zamiar ucieczki — od roz-
myślań, od niebezpieczeństw, ode mnie. Chowasz się w dźwięki
muzyki, między kwiaty, ukrywasz się w miłości do swego dziecka.
Jakaż radę jesteś w stanie mi dać, jakże potrafisz uratować i mnie
i mego Wiktora?

Więc wrócę do domu, współczujące milczenie spotka mnie
na progu, przylgnę ustami do ciepłych obojczyków i powoli zacznę
wstawać z martwych, gotując się na nowe dnie i noce. Nie usłyszę
pytania: „A ile w nim jest z ciebie samego?” — bo właśnie tu,
tylko tu najlepiej wiedz — ile.

Znowu znajdę się sam na sam z moim bohaterem, który leży,
pijany i nieprzytomny, i powiem mu:

— Wiktor, nie mogę ci w niczym pomóc. Jesteś skazany...

VII

Poszedłem do pracy z ciężką głową, połamany, wymęczony.
Zmusiłem się do pójścia nie dlatego, że nie mogłem jednego dnia
opuścić — u nas pod tym względem jest dość duża swoboda —
ale dlatego, że musiałem, koniecznie musiałem, dowiedzieć się
czy cała sprawa już dotarła do biura. Wyglądało na to, że pragna-
łem, aby wszyscy raz wreszcie wiedzieli o wszystkim, żebym prze-
stał wisieć między ziemią i niebem.

W biurze wyglądało spokojnie, jak zawsze. Koledzy uśmie-
chali się, patrząc na mnie — miałem mocno pomięte ubranie, spa-
łem nierozzebrany — uśmiechali się, gdy co kilka minut piłem
wodę.

Mieliśmy terminowe zamówienie: reklamowe wzorce dla
Związku Prasy — i jak zwykle w takich wypadkach, wychodził na
jaw w całej okazałości bezsens naszej organizacji. W żaden sposób
nie można było rozdzielić pracy, ginęły teksty, ktoś już zaczął
wrzeszczeć, że nie zostanie ani jednego dnia więcej w tym domu
wariatów.

Dom wariatów! Gdyby mogli zobaczyć jak tam jest napraw-
dę! Czystość, porządek, telewizor, ścienna gazetka. Co prawda,
nigdy nie odwiedzałem pawilonu dla niebezpiecznych wariatów,
parokrotnie składałem wizyty tylko spokojnym. Wszyscy byli
bardzo rzeczowi i skoncentrowani. Po prostu czytelnia biblioteki
imienia Lenina, a nie szpital dla nerwowo chorych. Tylko że drzw-
tam otwierają przy pomocy trójkątnych kluczy, takich jak
do kolejowych wagonów. Sielanka, spokojne zacisze. Rezerwa
wyzwolonej myśli.

Papierosy skończyły się, zaś palących w pokoju, oprócz mnie, nie było. Poszedłem do pracowni wzorcowej.

Drzwi były na pół otwarte. Słychać było zgiełk wielu głosów.

— Zinka, nie hałasuj!

— Hallo, Edik, rzuć mi ściereczkę!

— Chłopaki, nowe wiersze!

— Lewuska, kiedyż ty nareszcie ogolisz się?

— Wajs twierdzi, że krytyczny punkt widzenia...

— Hej, łobuziaki, ciszej tam! Lenok, recytuj!

*O polityce nie przestają śpiewać,
od gadania ochrypli im gardła —
a dziewczynka łzami się zalewa
i podbródek na dłoniach oparła.*

*Wciąż się kłóca — w jakich doktryn imię? —
brną jak w błocie w zawsze sprzecznych racjach,
ale śnieg, wbrew tej ich krzątaniu,
niby najpiękniejsza dekoracja.*

*Jakbyś ludzkie serca nie wysuszał,
gwiazdy sypią się — złociste żniwa —
i już wiosną wzbiera rteć Celsjusza
i pierwiosnki do góry podrywa.*

— To słabe, Leneczko, bardzo słabe!

— Jakież naiwne przeciwstawienia!

— A wiecie, dziewczynki, że mnie się podoba...

— I mnie także...

— Ale właściwie, o kim tu mowa? Kto nie przestaje gadać i kłócić się?

— To my wszyscy, którzy czytujemy gazety. Prawda Leneczko?

— Wadim, ty jesteś szafa. Taka nieczuła szafa, kasa ogniotrwała, ważąca dwieście kilogramów. Bardzo cię proszę, więcej do mnie nie mów!

Wszedłem. Wszyscy zamilkli. Twarze zwróciły się ku mnie — jedno z nich zmieszane, inne zaintrygowane, albo wyzywające.

— Skończyły mi się papierosy — powiedziałem. Milczeli, nikt się nie ruszył. Po chwili Wadim, którego przedtem nazwano „szafą”, położył przede mną na stole paczkę papierosów. Wziąłem jednego, podziękowałem i wyszedłem dokładnie zamknąwszy za sobą drzwi. W pokoju od razu podniósł się hałas. Nie zdążyłem odejść nawet na pięć kroków, kiedy dogoniła mnie Leneczka.

Zatrzymałem się. Stała przede mną, przestraszona, ale zdecydowana, i nagle wypaliła, jakby skoczyła do wody:

— Prosimy was, Wiktorze Lwowiczu, przychodzić do nas wyłącznie w sprawach służbowych!

Patrzyłem na nią w milczeniu. Gwałtownie złożyła dłonie i zaczęła szeptać:

— Jak wyście mogli, jak mogli... Wy, taki... Coście ze sobą zrobili!

Ach, ty, Sonieczka Marmieladowa! Wybuchnąłem śmiechem.

— Leneczko, proszę się uspokoić! Nie zabiłem żadnej staruchy.

— Co? Jaką znowu staruchę?

Już pędziłem ku wyjściu. Rzuciłem się na ulicę i skoczyłem do publicznego telefonu.

— Nina? Proszę z Niną Wasiljewną Riażencową! Nina, tu Wiktor Wolskij. Chwileczkę, proszę nie rzucać słuchawki! Potrzebny mi jest adres Feliksa, Feliksa Czernowa. Co? Chcę go powstrzymać, dopóki nie jest za późno. Co? Nie, ja nie grożę... To później, teraz proszę o adres. Co? Co? Numer domu — 45. A mieszkania? Tak. Nina, nie bądź idiotką! Ach, Boże, cóż tu za różnica, czy jestem chamem, czy nie!

Potrącałem ludzi, nie zwracałem uwagi na samochody ani na czerwone światła semaforów. „Pijany! — krzyczano za mną. — Chuligan!”. Szedłem, jak wezbrana fala, jak powódź, coraz bardziej rozwścieczony. Żułem w sobie przekleństwa i prośby. Szedłem, żeby całą siłą runąć na Czernowa. A potem rozpluskałem mój gniew bez żadnego skutku w czystym przedpokoju mieszkania Czernowych. Urodziwa Asia powiedziała mi z obrzydzeniem:

— Feliksa nie ma w domu. Ale przypuszczaliśmy, że przyjdzie. Toteż Feliks polecił mi oświadczyć, abyście wykonali to, co on wam mówił. Feliks nie zamierza zmienić swojej decyzji. Myślę, że postępuje słusznie i sprawiedliwie. Tacy ludzie jak wy nie mają prawa do pozostawania w społeczeństwie. Mnie nawet dziwi, że jakaś kobieta może was kochać. Chyba, że chodzi o zwykłą szlaję...

Podszedłem do niej blisko. Gdyby drgnęła, cofnęła się, byłbym ją uderzył. Ale Czernowa nie ruszyła się z miejsca i jak przedtem patrzyła na mnie z najwyższym obrzydzeniem...

Po powrocie do domu położyłem się na kanapie. „Postępuje słusznie i sprawiedliwie”. Słusznie, ale niesprawiedliwie!

Przecież jestem niewinny. Nie ma na mnie grzechu. Nie zawińłem!

Owszem, zawiniłem. Nie siedziałem w więzieniu. Powinienem był siedzieć w więzieniu. Ale nie tak, jak Feliks Czernow. Nie za jakieś głupstwo. Powinienem był zrobić coś, za co należałoby mi się więzienie, łagry, katorga, kula w łeb!

Odezwał się telefon.

— Tak, to ja... Co? Żeśmy się ze sobą nigdy... Powtórzcie! Żeśmy się nigdy ze sobą nie znali? Dobrze, będę tak uważać!

Boże! — zawiniłem! Zawiniłem tym, czego nie zrobiłem, nie dokonałem, zawiniłem obojętnością i tchórzostwem. Tak samo jak wy wszyscy! Ale ja jeden, tylko ja jeden za was zapłacę.

Telefon.

— Tak, tak, naturalnie. Tak. Proszę się nie obawiać, nie przyjdę. Żegnajcie!

Dobra, niech was wszyscy diabli! Pokonaliście mnie. Jesteście uczciwi i szlachetni, bohaterowie wzoru 1963 roku. Dokąd mam się schować przed wami? Dobra, zniknę. Zabiorę ze sobą tylko jedną osobę, na której mi zależy. To już możecie mi podarować, pokonanemu — podarować życie... Odejdziemy od was we dwoje. Dokądkolwiek, gdzie Irina będzie mogła zająć się muzyką, a ja — pacykarstwem. Na całe życie. Jedno drugiemu w zupełności wystarczy...

— Tak, to ja, tak, wszystko rozumiem, idźcie do diabła!

Zamieszkać z nią gdzie bardzo daleko, a wy wszyscy możecie tu zostać. Bądźcie uczciwi, bądźcie szlachetni, bądźcie przekłeci.

Telefon...

Telefon...

Telefon...

Irina, dlaczego nie dzwonisz? Zadzwoń! Albo przynajmniej Ty do mnie zadzwoń, Panie Boże!

VIII

Drzwi otworzyły się. Do pokoju wszedł bez pukania Igołnikow. Podniosłem się na łokciu.

— Witeczku, można do was?

— Nie, Włodziu, do mnie nie można. Ani wam, ani nikomu. Jestem poza prawem, poza zasadami gry. Skończyłem się dla was raz na zawsze.

— Witek, przestańcie się wygłupiać! Ja temu nie wierzę, zrozumcie. Jesteście w stanie mi uwierzyć, że nie wierzę, że wie-

rzę wam... tfu, do diabła, język się płacze! Przestańcie, nie chcę o tym nawet mówić.

— Słuchajcie, Włodziu, nie potrzebuję przykładania waszych kompresów. Nigdyście u mnie nie byli, to po co was tu teraz przyniosło? Żeby pocieszać? Żeby namawiać?

— Nic podobnego! — wyzwierzył się Igołnikow. — Masz go, znalazł pocieszyciela! Ot, przyszedłem trochę pogawędzić... No, niech będzie, powiem szczerze. Kiępsko się teraz czujecie, a ja was lubię, sami to dobrze wiecie. Więc ja? — mam odejść, czy zostać?

— Zostańcie.

— A, tak?! Jeżeli mam zostać, to bądźcie łaskawi przyjąć mnie jak należy. Powiedzcie: „Miły gościu, proszę się czuć jak we własnym domu!”

— Proszę się czuć jak we własnym domu.

— Nie wyczuwam w głosie entuzjazmu. No, wszystko jedno, niech was Bóg osądzi, a ja tu zaraz zacznę gospodarzyć. Gdzie macie korkociąg? Dajcie noża — kiełbasę pokrajać. Są tu jakieś talerze? Kieliszki? Są. No, to dobra, można jechać!

Wypiliśmy po kieliszku.

— Kochany Witeczku, zaraz wam zdradzę wielką tajemnicę. Wszystko to jest wielka bzdura, nie przypisujcie temu znaczenia. Wszystko się wyjaśni, wszystko się wyprostuje. Nic strasznego się nie stało. Oskarżono was o zdradę? No, to co! Dobrze wiemy, że tak nie było. Pożarłem się o was z Czernowym. Plućie na to! Najważniejsze, że ludzie od was nie odeszli...

— Jakto „nie odeszli”? Wszyscy uwierzyli, wszyscy odwrócili się do mnie plecami...

— A na przykład ja nie uwierzyłem! Dobra, nie chodzi o mnie, to głupstwo. Nie uwierzyła, nie odwróciła się kobieta, którą kochacie. Tak, braciszku, wiem o wszystkim. Wiem i gratuluję z całego serca. Irina — to nadzwyczajny człowiek. Przecież ja przyjaźniłem się z jej bratem Leonidem, który zginął na froncie w 1944 roku. To dopiero był pianista, co?! Zresztą cała ich rodzina jest wybitnie uzdolniona pod względem muzycznym.

— Chwileczkę, Włodziu. Czy ona — wie?

— Wie. No, co tak wami rzuciło? Posłuchajcie: wczoraj byłem u Oksany Jajpolskiej — wy jej nie znacie, pracuje w wydawnictwie jako korektorka, bardzo obrotna kobitka. Sporo się tam różnego łuda zebrało. I nagle zjawia się Irina. Okazuje się, że jest w przyjaźni z Oksaną, a bodaj że nawet jakieś powinowactwo jest, czy było między mężami jednej i drugiej. No, ma się rozumieć, ucieszyłem się, zacząłem wypytywać o matkę. Dobra. Wieczór jak to wieczór. Ale przyglądam się, widzę — Irina jakaś jakby zmałona. „Co ci jest — powiadam — dzieciątko, co

ci się stało?”. „A bo — mówi — nie zgodziłam się dziś na pewne spotkanie, a potem okoliczności zmieniły się, dzwonię do niego, a jego w domu już nie było”. Więc mówię jej: „Drobiazg! Patrz, tu chłopaki jak dęby. A i ja jeszcze nie od tego”. Śmieje się. „Wiesz, Włodziu — mówi — za mąż wybieram się. Wolno mi machnąć się za mąż po raz drugi?”. Chciałem z nią wypić po kielichu z tej okazji, a tu słyszymy, ktoś wasz nazwisko wymienił. A mnie na żarty się zebrało. „Kto tam — zapytuję — opowiada o znajomym bazgraczku?”. I jakiś zwariowany babsztyl zaczyna pleść te wszystkie androny. Mnie to tak, muszę się przyznać, zaskoczyło, to mi nawet mowę na chwilę odjęło. A tu wstaje Irina i powiada... A w ogóle nie ważne, co im mianowicie powiedziała, dość że nakładła całemu towarzystwu z czubem. A ja jeszcze trochę dołożyłem. Po czym dumnie opuściliśmy zebranie, ku wielkiemu zmartwieniu gospodyni. Salon został bez muzyki i bez literatury. Odprowadziłem Irinę do domu, a sam do Czernowych. No i... poszło na całego. To wszystko. Dobrze, że zastałem was w domu. Ci szlachetni liberałowie w żaden sposób nie mogli was złapać telefonicznie. Gdzieście się podziewali?

— Cały tydzień spędziłem u niej.

— Drogi Witku, Irocza jest obok was i z wami, więc na wszystko inne machnijcie ręką! Niech to piorun spali! O, gdy kobieta odchodzi — to już bardzo niedobrze. A ze mną właśnie tak się stało swego czasu, Witek, możecie mi wierzyć — do Boga zacząłem się modlić. Panie Boże — powiadam — cóż to się dzieje? Panie Boże, przyjdź z pomocą! A przecież jestem bezbożnik, poganin, grubas, członek Związku Pisarzy Sowieckich, żeby szlag go trafił! A tu uchwyciło za gardło, zawylem jak wilk! I zazdrość, męki zazdrości. Gdy tylko przypomnę tego gościa, z którym chciała odejść, to aż mnie trzęsie ze wstrętu i nienawiści. Wszystko w nim było obrzydliwe: i głos i postać i sposób bycia. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę: człowiek jak każdy inny — nie głupi, ma swoje zalety, dobry pracownik, uczciwy. Ale wtedy! Wychodziłem z siebie na sam jego widok. A największa udręka, to wyobrazić ich sobie razem — do tego łapy ma włochate... Co na niego spojrzę, to aż mnie skręca, jak gdyby nie ją, tylko mnie brał w ramiona. Ach, Witeczku, jaka to męka, jakie nieszczęście...

Przerwał, nalał wódki do szklaneczek. Wypiliśmy.

— Włodziu — powiedziałem — to ja do niej zatelefonuję...

— Nie trzeba. Ja sam do niej później zadzwonię... Więc, mówię, nacierpiałem się wtedy za swoje. Chciałem wyjechać. Pracowałem wtedy w dzienniku. Przychodzę do naczelnego i powiadam: „Zwolnij z pracy!”. „A co się stało?”. „Odchodzę — powiadam — Boga poszukiwać”. A ten mi na to: „Szukaj królestwa Bożego w samym sobie, a społeczeństwo ci pomoże”. Tak, no,

zdarzyło się, starzyzną dawno już obrośło. A po co ja to wszystko opowiadam? Po to, Witeczku, że nie macie prawa do narzekania, macie w sobie twardy kręgosłup, jesteście opancerzeni, łatwo się nie rozkleicie...

— Włodzieczku — powiedziałem — proszę mi nalać, wypijemy jeszcze po jednym. Włodziu, jesteście zadziwiająco zacnym człowiekiem.

— To nie moja zasługa, to nie ja, taki już klimat. My, Rosjanie, jesteśmy dobrymi z braku woli, bośmy się poddali swemu losowi, bo wszystko, co dokoła, wszystko, co było i jest — to miraż, fatamorgana. Wszystko jest niepewne, wszystko chwiejne. Jesteśmy źli z tego samego powodu.

Jak wszyscy alkoholicy, Igołnikow szybko się upijał.

— Amerykanin albo Szwed — mam na myśli zwykłych, przeciętnych ludzi — nie staje się dobrym czy złym bez żadnego powodu. Mają konkretne, utylitarne pojęcie sprawiedliwości. Nie rozrzucają na wszystkie strony swoich emocji. Oszczędzają samych siebie, oszczędzają swój czas. A my pyszni się, jak głupcy, że już nie minuty, nie dni, ani lata, ale całe życie, całą epokę wtykamy psu pod ogon. Wiemy sami, żeśmy durnie, a jednak pysznimy się. A jak potrafimy zęby pokazywać, kiedy cudzoziemcy użalają się nad naszym losem! Jeden z moich przyjaciół nawet wierszyk ułożył na ten temat — jakiś Francuz go przekonywał, że jesteśmy bardzo nieszczęśliwi. Jest w tym wierszyku taka zwrotka:

*Ty, cudzoziemcze, się nie staraj,
i za wzór nie stawiaj mi nikogo,
my dwaj — oprawca i ofiara,
idziemy zawsze wspólną drogą.*

— Nie, mybyśmy tam żyć nie potrafili. I wcale nie ze względu na niemożność zarobkowania na życie, wcale nie! Mam dwa dziecięcia zawodów, wy macie tylko jeden zawód, ale za to uniwersalny. Nie, nie o to chodzi. Czy mieszkając zagranicą, byłbym w stanie wedrzeć się o jedenastej wieczorem do pokoju człowieka, z którym nie łączą mnie bliskie stosunki, i zacząć się przed nim wywnętrzać, jak wywnętrzyłem się przed wami? Nigdy! Serdeczna tkliwość, Witeczku, to taka waluta, za którą na Zachodzie nie kupisz nawet figi. A my w Rosji siedzimy po uszy w łajnie i prowadzimy takie czułe rozmowy! Chowamy się, jak strusie, w wieloznaczną doniosłość... A propos strusi... Witeczku, jesteście artystą... Powiedzcie — kogo przypominają strusie?

— Nie wiem — wymamrotałem.

— Baletnice. Te idiotyczne ptaki przyjmują pozy klasycznego baletu. Nawet ogony podobne są do spódniczek baletnic...

O czym mówiliśmy? Ach, tak, wymyślaliśmy pod adresem Rosji! Zawsześmy jej wymyślali, przez całą historię, od czasów samego Słoneczka, księcia Włodzimierza. Dziennikarskie gryziółki piszą, że jeśli kto tego rodzaju rozmówki prowadzi, ten kasa rękę, która go karmi. Kretyni! Przecież to jest moja własna ręka! Chcę ogolić się — niespodziewanie oświadczył Igołnikow. Włączyłem elektryczną maszynkę.

— Golenie to jakby codzienny obrządek wyrzeczenia się barbarzyństwa. Piotr Wielki — tyka holenderska — dobrze to rozumiał. W ten sposób skuteczniej zapanował nad bojarami, niż przy pomocy katowskiego powroza...

Nie słuchałem go dłużej. Tęsknota za Iriną zmusiła mnie do działania. Podszedłem do telefonu, nakręciłem numer.

— Nie ma jej w domu — odpowiedziała matka. — Nie, nie wiem... Dobrze, powtórzę... Do widzenia.

Irka, gdzie jesteś?! Jesteś w tym samym mieście, co ja, w tym samym kraju, na tej samej planecie. Czemu się nie odzywasz? Nie trzeba, żebyś chodziła do znajomych i kruszyła kopie w mojej obronie. Przyjdź do mnie, wyrzucimy za drzwi tego miłego, śmiesznego grubasa i zostaniemy sami. Irka, przyjdź!

IX

Przyszła. Przyszła po dwóch dniach, dwóch długich dniach, wypełnionych telefonami i listami, które rwały mi serce. Pędzono mnie przez szpaler egzekucyjny. Ci sami ludzie, z którymi przedtem prowadziłem rozmowy, popijałem, chodziłem do kina, zawierałem i rozwiązywałem przyjaźnie — ludzie ci stali teraz z przygotowanymi kijami. Były to kije różnego rodzaju: milczenie, uprzejma pogarda, ostrożne zainteresowanie, obojętność. Wydawało się im, że wiedzą o mnie wszystko, i w tej rzekomej wiedzy musiałem brnąć i tonąć, jak w gęstej mgle.

Zastałem ją w moim mieszkaniu.

— Sąsiedzi pozwolili mi wejść.

— Irina! Z czym... przychodzisz?

— Witek, przychodzę, żeby ci powiedzieć, że nie wierzę w to, co o tobie opowiadają.

— Irinka!

— Zaczekaj! Nie wierzę, ale dłużej już nie mogę. Przez te trzy dni stale z kimś rozmawiałam, broniłam się. Nie miałam ani jednej wolnej chwili, stale ktoś do mnie przychodził, telefonował do mieszkania, do biura. Zadziwiające, że aż tyle osób wiedziało,

co nas ze sobą łączy. Witek, Witeczku, walczyłam z wszystkich sił!

Zaczęła płakać.

— Witek, jestem słaba, jestem niedobra! Ja już nie mogę. Przecież to na zawsze, przecież to na całe życie. To jest jak piętno. Witeczku, wiem dobrze — to nieuczciwie zostawiać ciebie samego w nieszczęściu, ale ja nie mam już siły.

Miała wychudłą twarz, boleśnie skurczone usta, cienie pod oczami. Ale to nie były owe fiołkowe cienie, które każdego rana wyglądałem końcami palców.

— Uderz mnie, wypędź, powiedz cokolwiek...

— To niepotrzebne, Ira. Masz rację.

— Witek, kiedy to wszystko się skończy...?

— Prędko się nie skończy. W tej chwili jestem zadżumiony. Żadne poświęcenie na nic się nie zda. Tak, naturalnie, może kiedyś, z czasem... Idź. Nie możesz mnie uratować.

A jednak mogła mnie uratować.

Posłała mi od drzwi żalony, zawstydzony uśmiech. I poszła.

Niech żyje liberalna inteligencja! Niech żyją niezłomni strażnicy moralności! Niech żyje nasza myśląca młodzież! Przyjaciele moi, macie rację. Feliks, masz rację, Miszka, masz rację, Nina, macie rację, młodzi artyści z wzorcowej pracowni, macie rację! Irina, masz rację. Ja także mam rację. I wszystko jest w największym porządku, wszystko — prawidłowo. Wiktorze Wolskij, jest nas dwóch. Jeden z nas siedzi tu, w tym pokoju i przygotowuje decyzję; drugi z nas siedzi tam, u Łurje albo u Riazencowych, i z oburzeniem mówi o pierwszym, o wyrzutku, o szpiclu. Wolskij numer jeden, zajmij jego miejsce. Spróbuj, znajdź jakiekolwiek usprawiedliwienie dla siebie, dla donosiciela. Nie ma usprawiedliwienia. Jesteś skazany, Wolskij numer jeden. Wolskij numer dwa wydał już wyrok. Ale i ty, numer drugi, ty sędzia, także już jesteś skazany. Teraz możemy połączyć się w jedno i porachować się za nas samych i za wszystkich innych. Za bezczynność, za to, czegośmy nie zrobili. Ej, wy, wielbiciele Hemingwaya, Picassa i Prokofjewa, słuchajcie! Zapłacę za winę, ale nie tą, wymyśloną przez was, ale za winę rzeczywiście istniejącą, za moją winę i za waszą! Waszą! Waszą!

... ..

— Ale proszę postuchać, przecież wiecie, że nie wtrącam się do ich spraw, po prostu oceniam... Szkoda, rozumie się, wielka szkoda, ale cóż ja mogę na to poradzić? Porządek to jest porządek jak powiadają ci, on jakże się nazywają? Ach tak, Niemcy. A cóż tam, właściwie, stało się? Tak... tak... tak... Któż ostatecznie za

winił? Nie, nie o to chodzi. Jest oczywiste, że wszyscy są winni, więc on także. Zapytuję, kto popełnił to, co mu przypisują, no, tak, tę niewielką, głupią winę... A-a-aa... Jeżeli tak, to przecież to można by zatłumaczyć w trybie nieoficjalnym; niech ten drugi, ten, co siedział, też dostanie za swoje, trzeba tylko to jakoś uzasadnić, ostatecznie wszyscy wiedzą, że wśród pokrzywdzonych także zdarzali się prowokatorzy... Ach, to już jest przewidziane? Widzicie, jak dobrze się układa! To tylko potwierdza moją zasadę nie wtrącania się do cudzych spraw. Właśnie pozwoliłem sobie udzielać rady i, okazuje się, że zupełnie niepotrzebnie... Jak? Także i ten, co już umarł? To było samobójstwo? Nie ma co, całkiem nieźle... A gdzie on obecnie przebywa? U nas? Hm... Co? Nie, nie, to absolutnie niemożliwe... Proszę zrozumieć: wszystko rozwija się w normalny sposób... A zresztą, tak czy owak, zawinił, jeśli nie w tym, to w czym innym... Że utalentowany... owszem, ale jakież to może mieć znaczenie... Pewnie, że szkoda... Wielka, wielka, wielka szkoda...

X

Zaczynam ubierać się. Wciągam wyprasowane spodnie, wkładam spinki w mankiety koszuli, zawiązuje krawat najmodniejszym sposobem. Jestem dandys, jestem elegant, idę na koncert do sali imienia Czajkowskiego. Już czas zacząć interesować się muzyką. Dziś występuje — ależ kolejki przed kasą! — słynna amerykańska — czy kto nie ma zbędnego biletu? — śpiewaczka-Murzynka. Kto przyniósł bilet? Kiedy obudziłem się, leżał na stole. Nie kupowałem żadnego biletu. Kto go przyniósł? Drzwi były zamknięte. Wszystko jedno, pal to diabli! Idę na koncert.

Obywatelu konduktorze, ile na plac Majakowskiego? Acha! Co, nie ma reszty? Nic nie szkodzi, proszę się nie kłopotać, wystarczy do Kijowskiego, za pozostałe pieniądze przejdę się na piechotkę, to nawet dobre dla zdrowia. Że, co, że ze mnie żartowniś? A po co mam się smucić? Kto przyniósł bilet? Głupstwo, najpewniej sam go kupiłem, albo dali mi go w piekarni, zamiast reszty.

Nareszcie przyjechaliśmy! O-cho-cho, ależ nóżki! To są nóżki! Ty, suko, myślisz, że mi potrzebne twoje nogi? Nie, to nie do was, to ja tak mówię, sam do siebie.

Jak tu przyjemnie! Ciepło i zapach pudru. Tak, to miejsce numer dwudziesty drugi. Co? Jakie koncerty są zapowiedziane? Nie wiem, panienko, ja tu trafiłem przypadkowo, nie jestem wielbicielem muzyki. Nie, stale mieszkam w Moskwie. A panienka? Z Wolska? Zabawne — moje nazwisko — Wolskij. Co, nie sły-

szeliście o mnie? Nic nie szkodzi, jeszcze usłyszycie. A gdzie to jest — ten Wolsk? W okręgu Saratowskim. Szkoda, nigdy tam nie byłem. I nie mam zamiaru tam jechać, choćby nawet panienka mnie zaprosiła. To i co z tego, że nie kocham muzyki? Przypadkowo, najzupełniej przypadkowo, ktoś przysłał mi bilet przez zamknięte drzwi. Naturalnie, żartuję. Wszyscy moskiewscy konduktorzy znają mnie jako kawalarza. A proszę zgadnąć. Nie, nie jestem inżynierem. Ani doktorem. Ani nauczycielem. Mam posadę na strzelnicy, w Parku Kultury. Nie, nie jako instruktor. Jako tarcza strzelnicza. Ta-ak. Rozumiecie? Różni tam, głównie liberałowie lubią pochwalić się, jak celnie strzelają, więc mierzą do mnie. A mnie płacą za to pieniądze. Żeby poważnie? Owszem, mogę mówić poważnie. Pracuję jako kozioł. Bo to nie wiecie, co to jest kozioł? Z brodą, z nogami — me-e-eee! Czemu panienka ucieka? Przestraszyła się? Chciałem powiedzieć, że występuję w roli kozła ofiarnego...

A to właśnie ta murzyńska znakomitość! Głos ochrypli, ale to widocznie tak potrzeba. No, już, proszę, nie mówię ani słowa.

Powiedziałeś, że cieszyłeś się wolnością. Mogłeś pić wódkę, ale wódka była zatruta. Mogłeś kąpać się w morzu, ale pod wodą były schowane aparaty podsłuchowe. Mogłeś malować obrazy, ale malowałeś potem łagierników z Magadanu i Tajnotu. Mogłeś poszukiwać przygód miłosnych z kobietami — to były narzeczone, żony, wdowy tychże łagierników... Wolność? „Jeśli chodzi o ilość kalorii i łatwość trawienia margaryna w niczym nie ustępuje śmietankowemu masłu, a jest dwukrotnie od niego tańsza”. Dlaczego tak boli głowa?

Co to? Przerwa? Nie, nie będzie przerwy!

Towarzysze!

Właśnie tak, patrzcie w moją stronę! Będę mówić z tego miejsca, bo obawiam się, że mnie pochwyca zanim dojdę do estrady.

Towarzysze!

Stosowanie re-pre-sji nie u-sta-ło! Nie zlikwidowano ani więzień, ani obozów! To gazeciarskie kłamstwo! To kłamstwo! Nie ma najmniejszej różnicy, czy to my siedzimy w więzieniu, czy więzienie znajduje się w nas samych! Wszyscy jesteśmy więźniami! Rząd nie jest w stanie nas uwolnić! Potrzebna jest operacja! Wypuście, wytnijcie ze siebie łagry! Wy pewnie myślicie: to sadzało nas do więzień CzeKa, NKWD i KGB? Nie — to my sami. Państwo — to my. Nie pijcie wódki, nie kochajcie się w kobietach, wszystkie one są wdowami!

Zaczekajcie, dokąd biegniecie?! Nie uciekajcie! Tak czy owak, nigdzie nie uciekniecie! Nie uciekniecie od was samych!

Towarzysze, zaczekajcie! Może wiecie, kto przyniósł bilet, to bardzo dla mnie ważne. Nie wiecie?

Co wyprawiacie, przecież podusicie się w drzwiach nawzajem... Cóż za ludzie!

Kto przyniósł bilet? Dlaczego nikt mi nie odpowiada? Ścierwa, gady, braciszku — kto mi da odpowiedź, kto? Przecież ja dla was, wyrutki...

Mać twoja, któryś jest w niebie — to Ty przyniosłeś mi bilet?!

XI

Niedawno skończyłem trzydzieści osiem lat. W dniu moich urodzin urządzono z tej okazji zebranie towarzyskie. Było bardzo wesoło: śpiewano, recytowano wiersze, rozwiązywano szarady, bawiono się w „zepsuty telefon”. Jeden z obecnych dostał takiego napadu śmiechu, że trzeba go było ratować kroplami walerianowymi.

Znowu zacząłem rysować. Najlepiej udają mi się tytuły i hasła. Używam do nich farb wodnych. Mam dużo farb i ołówków, ponieważ wszystkim podobają się moje rysunki, więc przynoszą mi wszystko, czego potrzebuję.

W dniu urodzin otrzymałem pudełko kolorowych ołówków; Iwan Aleksandrowicz podarował. Był bardzo zajęty tego dnia, ale mimo wszystko przyszedł, żeby mi złożyć urodzinowe życzenia.

Mamy telewizor. Niedawno oglądaliśmy film w dwóch seriach — „Rosyjski cud”. Jeden z widzów dostał takiego napadu śmiechu, że trzeba go było ratować kroplami walerianowymi.

Czuję się teraz dobrze. Tylko głowa bardzo boli i ciągle jestem senny.

Parę dni temu przysłała Irina. Przyniosła mi kwiaty. Była bardzo smutna i cały czas płakała. A potem przyszedł Iwan Aleksandrowicz i uspokoił ją. W ogóle uspakajanie przychodzi mu bardzo łatwo. Później mi powiedział, że Irina jest piękną kobietą.

Jest już jesień, panują chłody, ale palą u nas dobrze, więc nie marznę. Codziennie, jeżeli deszcz nie pada, chodzę na spacer. Ogród jest wyjątkowo ładny, duży, tylko w zbyt jaskrawych kolorach: dużo żółci i czerwieni, od tego boli głowa.

Dzisiaj jest 28 lutego 1963 roku. Nazywam się Wiktor Wolskij.

Znalazłem coś interesującego. Przywiązałem przy kalesonach. Tam są z tyłu takie tasemeczki, więc przywiązałem do nich znalezione rzeczy.

Niekiedy, gdy deszcz nie pada i głowa przestaje boleć, mam

chęć odejść stąd gdzieś bardzo, bardzo daleko, gdzie by nie było tylu osób. To wszystko są bardzo dobre i rozumne osoby, ale zawsze ze mną, zawsze ze mną, i już mnie nuży ich obecność. Bardzo już pragnąłbym być zupełnie sam.

Teraz, gdy jestem w posiadaniu znalezionej rzeczy, będę mógł to uczynić. Ale nie zamierzam spieszyć się. Zaczekam na zimę, kiedy zacznie padać śnieg, albo — jeszcze lepiej — kiedy przyjdzie śnieżna zamięć, żeby nie mogli natrafić na moje ślady. Doczekam się nocnej zamięci, włożę szlafrok i otworzę drzwi trójkątnym kluczem, który znalazłem i ukryłem w kalesonach. Muszę dodać, że to prawie taki sam klucz jak te którymi otwierają wagony kolejowe.

Odejdę stąd i znowu będę sam.

Nikołaj ARŻAK

(Przełożył z rosyjskiego Józef ŁOBODOWSKI)



ODKUPIENIE jest już czwartym opowiadaniem, które otrzymaliśmy od Nikołaja Arżaka. Poprzednio drukowaliśmy nowele: RĘCE, MÓWI MOSKWA i CZŁOWIEK Z MINAP'u.

(Redakcja)

TOM XCIV

BIBLIOTEKI "KULTURY"

JAN KOWALIK

MATERIAŁY DO HISTORII PRASY POLSKIEJ

NA OBCZYŹNIE 1939-1962

BIBLIOGRAFIE Tom I

Str. 80

Cena egz. 9 F (dol. 2,00; 13/6)

Dzień w życiu bywalca

Do baru wszedłem jak zwykle o 12,31. Był to mały zaciszny lokal, w którym zbierali się operatorzy giełdowi, gdzie czasem zachodziły też grupki inspektorów ubezpieczalni i kasjerów, a w dni nieparzyste wpadali na kilka minut przed zamknięciem jacyś mało znani billbrokerzy w cylindrach i pasiakach. Wówczas, zwykle ściszone rozmowy zaczynały przerywać częste wybuchy nerwowego śmiechu ludzi, którzy zazwyczaj tuż przed wchłonięciem dostatecznej dozy ośmielającego alkoholu zachowują się z rezerwą.

Bar *Pod Jelenią Głową* znajdował się w pobliżu Bishopsgate i Great St. Helens, w cichym zaułku wiodącym do siedziby cechu kapeluszników i dyrekcji *Crédit Lyonnais*. Na matowych szybach układały się wzory liści i gałęzi rosnącego na dziedzińcu buku.

Przychodziłem tu od lat. O 12,32 zamawiałem wytrawne sherry i porcję sera z półśładkami biskwitami; około 13,16 piłem drugi kieliszek. W mroczne chłodne i mgliste dni listopada, kiedy szyby z zarysem огоłoconych gałęzi przypominały ekran radarowy, wybierałem pół butelki *Nuits St. Georges*; w lecie zaś, kiedy zdarzał się dzień upalny i asfalty kipiały smołą, piłem orzeźwiające, aromatem białych winogron owiane wino reńskie. Bar opuszczałem zazwyczaj o 13,37. W dni pogodne siadywałem jeszcze parę chwil na ławeczce przed Great St. Helens, a potem szedłem w dół Bishopsgate w kierunku Gracechurch Street, mijając znane mi dobrze z transakcji handlowych Banco de Santander, Żivnostenska Banka, Banco di Roma, Northern Trust Corpn oraz Swiss-Israel Export Bank.

We wtorek drugiego tygodnia po Zielonych Świątkach siedziałem jak zwykle w fotelu naprzeciw okna, zasłonięty płachtą

wyказu cen akcji na bursie szwajcarskiej, przysłuchując się od czasu do czasu do cżasu podnieconej już rozmowie obok. Drugi Kasjer z Glyn Mills próbował przekonać Stewarta z Lynch & Co i paru niższych urzędników British Oak Assurance o aktualności problematyki sartrowskiej:

— Weźcie na przykład tego Austina — perorował namiętnie — na pewno śliczna koronkowa robota, zgoda, precyzyjne gesty świetnego bowlera. Jego wywody o postrzeganiu kija iluzyjnie złamanego w miednicy z wodą są technicznie bez zarzutu, jego polemika z Ayerem dowodzi wzorowego fachowego treningu. Dobrze. Zgadzą się. Na to wszystko zgoda. Ale, Panowie, czy w takiej pracy znajdziemy przynajmniej *ślad* filozoficznej syntezy, przynajmniej *fragment* rusztowania, które mogłoby służyć za podwaliny systemu? Czy to, proszę Panów, jest poważny wkład do naszej wiedzy o człowieku i wszechświecie? W porównaniu z Sartrem to przecież nie jest nawet *załączek* epistemologii, która przydałaby się dorosłemu człowiekowi!

— Drogi przyjacielu — odparł spokojnie Stewart — łatwo jest założyć, że, powiedzmy, procent od kapitału na przestrzeni 20 lat będzie się akumulować w granicach 2% do 2 1/8%...

— Dlaczego łatwo? — zagadnął Hogg z British Oak.

— Dzięki liczebnikom elektronicznym, oczywiście. Ha! ha! ha! — wtrącił Chetwynde-Molyneaux.

— Właśnie, zysk możemy kalkulować, po odliczeniu podatku, na...

— Od inwestycji powierniczych?

— Dlaczego powierniczych?

— Któżby inaczej inwestował na okres 20-tu lat!

— Odciągacie mnie od istoty analogii, którą chcę przeprowadzić — tłumaczył cierpliwie Stewart. Jeśli się okaże, że jakaś śrubka w tym piekielnym liczebniku jest niedokręcona i że należało przeciętną wzrostu przewidywać na 12/16%, cała twoja kalkulacja długoterminowa przemienia się w efemenrydalną metafizykę zgnitego heglizmu.

— Też znalazł analogię! — wtrącił znów Chetwynde-M.

Dalszego toku dyskusji nie słyszałem, bo właśnie podszedł ktoś do mnie z pintą obrzydliwego piwka. Był to jegomość w średnim wieku, ubrany w źle skrojone niedopasowane tweedy i natrętny krawat, jaki noszą zwykle w sobotnie wieczory subiekci, muzykanci, studenci prowincjonalnych uniwersytetów, przestępcy i komuniści. Jego obecność w tej oazie dobrego smaku, kultury i wybornych trunków, była dysharmonią, jakiej nie znajdziesz nawet w ostatnich kwartetach genialnego Beethovena.

Siadł koło mnie. Odsunąłem sherry ale w międzyczasie zdą-

żył przytłoczyć swoim sprośnym kuflem mój wyciąg prasowy, który nieopatrznie położyłem na stoliku.

Gdybym był się wówczas spostrzegł w czas, gdybym zamiast badać odcień jego tweedów i wyczekiwać z wielkim niepokojem na odgłos złopania, zastanowił się nad rysami jego twarzy i wsłuchiwał się w ton i akcent jego mowy, kiedy mi zadawał pierwsze pytania, zdołałbym zapewne usunąć się z jego drogi i uniknąłbym tych wszystkich przykrości grożących tragicznym wprost zakończeniem.

Zaczęło się nawet dość niewinnie: stawiał mi pytania proste, na które odpowiedź była łatwa. Zależało mu na tym, by usnąć moją czujność a jednocześnie upewnić mnie we własnym dobrym mniemaniu o sobie.

— Dwa razy dwa?

— Siedem.

Cisza.

— Ilość telefonów *per capita* w Szwajcarii?

— 297 na 1.000.

— A we Włoszech?

— Tylko 71 na 1.000.

— Dlaczego?

— Bo nieurodzaj.

Cisza.

— Stopa dyskontowa w Londynie?

— 5 1/2%.

— Dlaczego?

— Walczymy z inflacją.

Cisza.

— Czy ci panowie zawsze tak o filozofii rozprawiają?

To było pierwsze trudniejsze pytanie. Było ostrzeżeniem.

Cóż miałem odpowiedzieć? Przyznać, że tak? Pomyślałem o żonach, dzieciach i telewizorach czekających na nich wieczorem. Była godzina 13,59.

— Nie.

Wiek XIX przetrwał do bardzo niedawna. Teraz dopiero, od kilku zaledwie lat, zaczyna osiadać na swych fundamentach, precyzować się jako kawałek historii, który da się wziąć do ręki i oglądać z różnych stron. Marks jest postacią z przeszłości, którą zdystansowało życie. A Wiedeń Straussów i Habsburgów? Jung umarł zaledwie kilka lat temu, zdążył jeszcze napisać książeczkę o latających spodeczkach. Ale on też, wraz z Ojcem Freudem należy do epoki już zamkniętej. Poważny pan z poważną brodą spacerujący poważnie i majestatycznie, przystający przed wystawami konfekcji damskiej przy Mariahilfstrasse. Wczasy nad Königsee. Płść. Kliniczny gabinet lekarski, ciężkie kotary w

oknach. Światła gazowe i dorożki. Gustaw Mahler komponuje coraz dłuższe i monumentalniejsze symfonie. Ludwik bawarski buduje disneyowski zameczek u podnóży Alp i urządza koncerty muzyki Wagnera. Hildegarda G. śpiewa *lieder* Schuberta i Wolfa. Christopher Dawson nawiązuje bliższe stosunki z Adelaidą Foltinowicz. Mężczyźni w burdelach Grosza zachowują się inaczej niż rycerze w cylindrach, których malowali impresjoniści. Jednakże jedni i drudzy już odeszli.

— To wobec tego, Przyjacielu, zadamy Wam trochę pytań z dziedziny literatury. Możebyście tak, Towarzyszu, zadeklamowali ulubiony fragmencik jakiejś ody?

— Do usług, Milordzie,

O jaje

pomalowane na pstrą kraszanke

wódką święconę

co w twoim wnętrzu

na jaki śpiew zanoszą się

jaki pazur?

Już cię mieniono jajem Paraklety

ludów sumieniem

już ostrzegano: papuże jajo

wieczna w nim dla nas huśtawka

a wciąż jesteś

jakim cię znalazł w boru Swarożyc

z gniazda niepewnego

nijak na sztorc cię postawić.

Gdy skończyłem, skonstatowałem z przerażeniem, że w barze było teraz zupełnie cicho. Wszyscy słuchali, wszyscy patrzyli na mnie.

— Sukces! Sukces! Sensacja! — głosi mój Spowiednik w zapitych tweedach i uśmiecha się obleśnie do zgromadzonych gości, których (*mirabile dictu!*) nie razi wcale jego gnojem przesycona osoba. — A teraz — ciągnie upojony zwycięstwem — coś Zosi Bohunowiczówny!

Cóż może człowiek rozgromiony, poharbiony i ośmieszony? Już bez sił będąc, stacza się coraz niżej po równi pochyłej. Zwracam się więc do gapiów i znów recytuję:

Wiem ja, że co tak często paciorki miewacie,
Za to, że tylko jedną rzecz potrzebną macie.

*Bo co po pięknej twarzy, co po pięknym oku,
Gdybyście też nie mieli owej rzeczy w kroku.*

— *Pisces et mulieres in medio meliores!* — komentuje rozbawiony mój Sędzia. „Brawo, brawooo! Bis!”, krzyczy chóralnie cała załoga ze Stewartem na czele.

— No to przynieś mi jedno piwo, mój chłopcze — zwraca się Bestia do mnie.

Czy mogłem się bardziej upodlić? Oczy wszystkich spoczywały na mnie. „Pół gorzkiego”, wykrztusiłem, a barman już lał brudną brunatną ciecz, wypełniając nią kufel po brzegi. Zaniósłem to naczynie do stolika, wylewając trochę przy każdym kroku. Była 14,27 i bar zaczął się powoli opróżniać, choć przekonany byłem, że niektórzy przynajmniej wyszli przez delikatność, a może nawet nawiedzeni strachem. Został jeszcze chwile Trevor Smythe znany mi z widzenia prawnik z British Oak, który, poruszony widocznie moją deklamacją, rozprawiał z managerem Consolidated Goldfields o poezji.

— Bardzo cenię liryki Kamila Norwida — zwierzał się managerowi — to poeta o niebywale czystym i jasnym umyśle. Syntetyczna trzeźwość sformułowań przypomina wzorowe mowy sędziów do ławy przysięgłych. Mieszkał jakiś czas w Londynie ale popłynął szukać fortuny w Ameryce. Wszyscy poeci są strasznie interesowni! Ale kiedy opuszczał Londyn napisał śliczny wiersz „Z pokładu Merguerity”.

— Słucham, słucham! Dajcie go tu!

— Nie, nie, to w barze jakoś nie wypada. Przeczytam ci coś własnego.

— No wiesz, nie spodziewałem się! Zaczynaj mistrzu!

Smyth wyciągnął z kieszeni oprawny w skórę krokodylą notesik:

*objawia się konturem
na matowej szybie
z fajką w ustach;
echo głosu gra
na żyrandolach
ciemnego korytarza*

*kiedy indziej mile
nozdrza łechtający dym
przedniego tytoniu
południowej karoliny*

*legendy z ust do ust
że (na przykład) wieczorami
odlatuje na czarnym
parasolu*

*szelest
staroświeckiej ręki
na pergaminie odręcznego
listu wice
dyrektora w sprawie pożyczek
krótkometrażowych*

*pociskam
srebrną gałkę klamki
niebieskiego gabinetu
modląc się w duchu:
choć raz niech wolno
mi będzie
oglądać oblicze Twoje*

— Hm, mocne, zupełnie mocne. Podoba mi się. Ale jak ty to robisz? Żona mnie ciągle zadrećza, że ja nie mam żadnego hobby. Czy to bardzo trudno tak pisać?

— Przeczytaj sobie Parandowskiego.

— Kto to taki?

— To taki poeta czeski. Autor „Alchemii słowa”, gdzie jest świetny wybór przepisów na natchnienie.

Była godzina 14,46.

— Erudyci, co? — zwrócił się do mnie mój Statysta i Opiekun cielesny. Ale ty też znasz się coś niecoś na tym. To mnie bardzo niepokoi.

— Błagam o przebaczenie — powiedziałem szeptem.

Czy rzeczywiście rodzimy się z poczuciem winy? Myślę, że nie, gdyż inaczej piekielna machina jezuicka nie miałaby sensu. Po to przecież podkopuje się wiarę człowieka w sens własnego istnienia, we własne życiem zahartowane zasady etyczne, by zmusić sterroryzowaną ofiarę do przyjęcia narzuconej z zewnątrz dyscypliny. Ustalony przez górę system wierzeń został zmajstrowany dla ludzi tchórzliwych, ludzi skruszonych, których wewnętrzne oparcie zostało umyślnie złamane.

— Z przebaczeniem będzie trudno — odparł dobrotliwie mój Tropiciel. — Możemy co najwyżej zagwarantować na podstawie specjalnego wniosku operację z minimum bólu. Znana Wam zapewne jest legenda o królowej Niobe.

— Owszem.

— Proszę mi ją więc zrelacjonować własnymi słowami, bez odwoływania się do encyklopedii, podręczników i znanych autoritetów.

— Władze Hadesu porwały Niobę, królową Sycylii, gdy zbierała kwiaty polne na łące w pobliżu słońcem rozświeconego morza Śródziemnego. Wówczas kochanek jej, mąż Empedokles, zstąpił za nią do piekieł. Po drodze w pieczarach i podziemiach ścinał głowę Hydrze, skonfudował Sfinksa i przekupił Charona. Był więc prawie u celu swej misji, na progu świata snów, skąd wyrastają sosny przetarte strzępami mgły, gdy spostrzegła go nienasycona śpiewaczka Nefretiti i natychmiast zawładnęła jej ciałem i mózgiem dzika bestia płci. A skoro mąż, Inianowłósy Empedokles, odepchnął wiecznie młode ciało pieśniarki egipskiej, powołując się na świadectwo bogów, rozwścieczona koloratura rozkazała podwładnym jej furiom i skorpionom zniszczyć ciało krnąbrnego młodzieńca...

— Dość! — krzyknął Mędrzec.

Była godzina 14,58.

— To nam daje świetne wyobrażenie — ciągnął po chwili.

— Pan zdaje sobie sprawę, że wszystkie wyjścia obstawione są policją i tajniakami. Nie radziłbym więc uciekać się do desperackich rozwiązań. To, co pan powiedział, zupełnie nam wystarcza.

Czy po to walczymy całe życie z mgławicami przesądów, zabobonów i fałszywych wniosków, by w końcu paść ofiarą irracjonalnego zrządzenia losu?

Adam CZERNIAWSKI

TOM XCIII

BIBLIOTEKI "KULTURY"

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DRUGIE PRZYJŚCIE

ORAZ INNE OPOWIADANIA I SZKICE

Str. 250

Cena 13,50 F (20 sh., dol. 3,00)

Wiersze

TACZANKA

*Ustawiono nas w czwórki na stopniach pomnika,
podkomendnych i tych nawet, którzy
przeczuwali w sobie zalety wodzowskie.
Na rozkaz, podcieniowany nutą groźby,
wyrównaliśmy rząd w lewo, płosząc gołębie
i światła rozpryskując na hełmach,
które potem długo w fatalny dzień
wskazywały im cel na linii ognia
w stogach marchwi, rzepaku i ćwikły.*

*W przerwach pomiędzy seriami z gniazd ckmów
zajadaliśmy surową brukiew, bagnietem
zdrapując z niej ziemię matczyną.*

*W nocy śniły nam się winnice i sady
łagodnej Lotaryngii, hukanie sów
i ścieżki zarośnięte glicynią,
po których stąpały branki in spe.*

*Uszliśmy szmat ziemi, skandując
lewa! lewa! gdy chłopci spokojnie
do piwnic toczyli beczki z kiszoną kapustą,
a orły i inne poślednie ptactwo
czyściło taczankę z jelit.*

*Tak marudząc utoczyła się tza
i bęben bojowy, a nadgniły pomidor*

*zatoczył koło na rudym kartoflisku
w małym miasteczku o nazwie herbowej,
gdzie przewijając onuce
podarowałem buty i przybory do szycia.*

DEFINICJA

*jak wszyscy którzy
próbując zdefiniować co
oznacza czas przeszły —
tak jeśli kto pamięta co chciał
powiedzieć gdy łamał todygę słowa
nieudolny w zabiegach etymologa
ten przebłysk pamięci w pamięci
już oznacza czas przeszły*

*i nagle otwiera drzwi obraz
zasiedziały w pamięci . . . twarz twoja
przecięta todygą kwiatu na łące
ruczaj w zawilcach*

*widzę jak uskakujesz przez szosę
w chaszcze trąbiących kozłat
i tylko pięty różowe
klaszczące na rżysku
pasikonikami*

Jan LESZCZA

Archiwum polityczne

Polska - Niemcy - Ameryka

Co odróżnia Niemiecką Federalną Republikę w polskiej perspektywie — od wszystkich poprzednich państw niemieckich?

NRF odróżnia od poprzednich państw niemieckich tylko jeden szczegół, lecz szczegół tak istotny, że przysłania on wszystkie inne różnice historyczne. Niemiecka Republika Federalna jest sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Co to oznacza? Oznacza to, że nie możemy liczyć, że historia powtórzy się po raz trzeci. W polityce nie istnieje słowo nigdy — lecz można przyjąć niemal za pewne, że Niemcy nie będą miały już nigdy przeciwko sobie światowej koalicji. Nie będą miały przeciw sobie Amerykanów, Brytyjczyków, Francuzów, Rosjan — nawet gdyby... stały się przyczyną trzeciej wojny światowej. Niemcom nie grozi już izolacja, która stała się grobem zarówno Niemiec cesarskich jak i Trzeciej Rzeszy hitlerowskiej.

Niemcy zachodnie należą do tych niewielu państw, którym rywalizacja sowiecko-amerykańska wyszła na zdrowie. Kto w roku 1945 w powalonych, upokorzonych Niemczech mógł marzyć w surrealistycznych snach, że w kilkanaście lat NRF będzie nie tylko kwitnącym, bogatym krajem, lecz również pierwszym sojusznikiem pierwszego mocarstwa świata.

Mogło być inaczej. Rosjanie zamiast szukać zdobyczy terytorialnych mogli byli wraz z Amerykanami przekształcić wojenną koalicję anty-niemiecką w załączek rządu światowego. Niemcy nie mieliby wówczas żadnej szansy stania się pierwszym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Rosjanie swoją zaborczością stworzyli dla regionalnej potęgi niemieckiej koniunkturę o jakiej mocarstwowe Niemcy nigdy marzyć nie mogli.

Patrząc na te sprawy oczyma polskiego publicysty wypada stwierdzić, że współczesne Niemcy są czymś zupełnie różnym od dawnych Niemiec. Są sojusznikiem Ameryki i potęgą regionalną a nie mocarstwem. Status sojuszniczy charakteryzuje powojenne Niemcy i określa ich polityczne możliwości.

Przewaga Ameryki w stosunku do Niemiec jest tak olbrzymia, że można zadać pytanie czy NRF nie jest satelitą? Niemcy zachodnie nie są satelitą w sensie wschodnio-europejskim, lecz nie są również państwem suwerennym w sensie jaki nadawaliśmy temu słowu przed rokiem 1939.

W powojennej Europie tylko dwa mocarstwa zdołały zachować w pełni ciągłość tradycji historycznej. Mam na myśli Wielką Brytanię i Francję. Jeżeli broń atomowa jest współczesną legitymacją suwerenności — Francja gotowa jest ponieść wielkie ofiary, by pozostać wierną historycznej tradycji.

Natomiast zarówno Niemiecka Republika Federalna jak i Polska Ludowa są w swej genezie a-tradycyjne i nie w pełni suwerenne. Niemniej zarówno Niemcy zachodni jak i Polacy rozpastrują swoje wzajemne stosunki wyłącznie w tradycyjnej perspektywie. Wszystkie historyczne kategorie i sztańce, które w przeszłości formowały nasz pogląd polityczny na Niemcy — utraciły całkowicie swą przydatność. Współczesne Niemcy są sojusznikiem Ameryki i tylko poprzez analizę treści tego sojuszu — wyznaczać można obiektywnie międzynarodową pozycję rządu w Bonn. Polacy nie mają powodu interesować się Niemcami historycznymi i winni skupić swą uwagę na współczesnych Niemczech, które już nigdy nie podejmą wojny na dwóch frontach. Niemcy tym razem nie podejmą również żadnej wojny — „małej” czy wielkiej — w pojedynkę. Niemcy jako element polskiej polityki przestały być tym, czym były. Z jednej strony utraciły znaczną część swej suwerenności — z drugiej strony weszły w system potężnych sojuszów.

O stosunkach polsko-rosyjskich decyduje nie stosunek Polski do Rosji, lecz stosunek Rosji do Polski, ponieważ Rosja jest partnerem wielokrotnie od Polski potężniejszym. Podobnie analizę stosunków niemiecko-amerykańskich trzeba zacząć od odpowiedzi na pytanie jaki jest stosunek Stanów Zjednoczonych do NRF?

Stosując pewne uproszczenie można przyjąć, że istnieją obecnie w Ameryce dwie „szkoły” polityki w stosunku do Niemiec. Wybitnym reprezentantem pierwszej „szkoły” jest Dean Acheson, doradca i osobisty przyjaciel prezydenta Johnsona. W „New York Times Magazine” z 15. 12. ub. roku Acheson ogłosił artykuł, w którym stwierdził, że pobierając decyzje wojskowe i polityczne dotyczące Europy, rząd Stanów Zjednoczonych winien brać pod szczególną uwagę fakt jaki owe decyzje będą miały skutek w odniesieniu zarówno do narodu niemieckiego jak i rządu w Bonn. W cytowanym artykule Dean Acheson nalegał również, by nie kontynuować brytyjsko-amerykańsko-sowieckich rozmów na temat Niemiec, ponieważ rozmowy te wywołują niezadowolenie i podejrzliwość w NRF.

W powyższych kilku zdaniach zawarty jest cały program pro-niemieckiej „szkoły” polityki amerykańskiej. Prof. Zbigniew Brzeziński na łamach „The New Leader” poddał bezwzględnej krytyce wypowiedzi Achesona i stwierdził — nie bez racji — że przyjęcie jego tezy równałoby się w praktyce przyznaniu Bonn

prawa „veta”. Amerykanie nie mogliby podjąć żadnej inicjatywy w Europie bez zgody Niemiec.

Poglądy „szkoły” Achesona korespondują ze „szkołą” niezłomnych w Niemczech zachodnich. Klasykiem tej „szkoły” jest dr K. Adenauer.

Wielu Polaków w wolnym świecie i odłam prasy emigracyjnej na dnie duszy sympatyzuje z niezłomnymi. Tą są bowiem nieprzejednani antykomuniści i przeciwnicy jakichkolwiek rozmów i przetargów z Rosją.

Należy jednak dodać, że niemieccy niezłomni są nie tylko niezłomnymi antykomunistami, lecz również niezłomnymi przeciwnikami granicy na Odrze i Nysie. W moim przekonaniu politycy tej „szkoły” i tego pokolenia są niezdolni do porozumienia z Polakami.

Poglądy drugiej „szkoły” polityki amerykańskiej w stosunku do Niemiec można streścić następująco. Główny postulat polityki niemieckiej — tj. zjednoczenie — może być osiągnięty tylko poprzez odprężenie i ogólną poprawę stosunków pomiędzy Wschodem i Zachodem. Politycy tej „szkoły” argumentują, że polityka „niezłomna” wywołuje „niezłomne” reakcje po tamtej stronie barykady i prowadzi do usztywnienia pozycji, co w konsekwencji przekreśla wszelkie nadzieje rozwiązania problemu niemieckiego w drodze pokojowej.

W tym miejscu należy postawić pytanie — czy zjednoczenie Niemiec w jakiegokolwiek formie leży w polskim interesie?

Zjednoczenie Niemiec w wydaniu rosyjskim bez względu na ideologię nie leży w naszym interesie. Również nie każdego typu zjednoczenie pod egidą Zachodu leży w polskim interesie.

Wyobraźmy sobie następującą sytuację. Rosjanie powracają stale do propozycji paktu nie-agresji pomiędzy NATO a krajami Paktu Warszawskiego. NATO jest czysto defensywną organizacją i pakt nie-agresji byłby po prostu bez sensu. Lecz Rosjanom w tym wypadku nie chodzi o zabezpieczenie się przed agresją. Zawarcie paktu byłoby formą międzynarodowego uznania i zalegalizowania panowania sowieckiego w Europie środkowo-wschodniej. Rosjanie wiedzą, że za ów pakt trzeba by zapłacić pewnymi ustępstwami. Wyrównanie stosunków z Niemcami oznaczać musi zgodę na zjednoczenie. Oczywiście zawsze znaleźć można formę kompromisową, która w pewnej mierze chroniłaby twarz Moskwy.

Odpisując wschodnie Niemcy na straty, Rosja z tym większym uporem domagałaby się zalegalizowania i ostatecznego uznania jej wschodnio-europejskiego imperium satelickiego po linię Odry i Nysy.

Oficjalnie istnieje tylko kwestia niemiecka. „Kwestii wschodnio-europejskiej” nie ma. Niemcy i Amerykanie uważaliby rozwiązanie problemu niemieckiego w sposób powyżej opisany za wielki polityczny sukces. Lecz dla nas rozwiązanie po tych liniach — nawet gdyby niosło z sobą uznanie granicy na Odrze i Nysie — oznaczałoby wcielenie Polski do imperium sowieckiego jeśli nie

na zawsze, to na pokolenia. W Polsce, na Węgrzech, w Czechosłowacji — nastąpiłoby załamanie w skali dotąd niespotykanej.

Oczywiście nikt z nas nie wie czy w bieżącym stuleciu dojdzie do zjednoczenia Niemiec, a jeżeli dojdzie to w jakiej sytuacji i w jakiej formie. Powyżej przytoczyłem dla przykładu jeden z wielu możliwych wariantów by wykazać, że nie każda forma zjednoczenia Niemiec pod egidą Zachodu jest zgodna z polskimi interesami.

Tak dla nas jak i dla Rosjan Niemcy to przede wszystkim sojusznik Stanów Zjednoczonych. Dla Rosji idealnym rozwiązaniem byłoby wyizolowanie Niemiec. Oferta Stalina wyrażająca zgodę na zjednoczenie w zamian za neutralizację — nie została nigdy powtórzona przez następców dyktatora. Gdyby we Francji nie było de Gaulle'a — Moskwa prawdopodobnie szukałaby bliższego porozumienia z Paryżem by nie dopuścić do sojuszu niemiecko-francuskiego. Dziś na izolację Niemiec jest za późno. Polityka Niemiec w NATO i w Europie rośnie. W sztabach NATO z każdym rokiem przybywa oficerów Bundeswehry. Dziś liczy się ich już nie na setki lecz na tysiące. Gdyby tempo niemieckiego NATO zapoczątkowane w roku 1959 zostało utrzymane — wpływ Niemiec w tej organizacji stanie się decydujący. Nikogo to jednak nie niepokoi. Nielicznym interpelantom w tej sprawie odpowiada się zawsze, że Niemcy obejmują tylko te stanowiska, które zostały zwolnione przez Amerykanów i Anglików. I to jest prawda. Amerykanie i Anglicy wolą mieć Niemców w sztabach NATO, niż swoich oficerów, którzy potrzebni są gdzie indziej.

NATO jest jednak dowodzone i w znacznym procencie finansowane przez Amerykanów i w tej materii nie nastąpią żadne zmiany.

Pomiędzy Rosją a Ameryką nie ma miejsca na nacjonalistyczne polityki polsko-niemieckie. Niemcy — choćby chcieli nie mogą odebrać nam siłą ani pigdzy ziemi — a my, choćbyśmy chcieli nie możemy zaproponować im żadnej korektury granicy. Pole „bitwy” pomiędzy nami a Niemcami leży w Waszyngtonie. Walka toczy się nie o przedpotopowe postulaty nacjonalistyczne lecz o koncepcję Europy.

Po pierwszej wojnie światowej wydawało się, że Europa wydobyla się zwycięsko z kataklizmu. Po drugiej wojnie światowej nikt już nie miał tych złudzeń. Amerykanie nie mają żadnej koncepcji ogólnoeuropejskiej. Lecz Europejczycy nie mają jej również. Plan de Gaulle'a jest w zasadzie koncepcją zachodnio-europejską. „Europa po Ural” jest mglistą wizją.

Niemcy pragną uchodzić za dobrych Europejczyków, lecz ich europejskość kończy się na Odrze i Nysie. Dla Niemców nie ma zagadnienia Europy środkowo-wschodniej jest tylko problem niemiecki. Nie ma problemu polskiego, czechosłowackiego czy węgierskiego — istnieje tylko „kwestia niemiecka”. Owa kwestia obejmuje zjednoczenie ziem niemieckich — w cudzysłowie i bez. Gdy Niemcy zjednoczą się w ramach granic z 1937 r. rekonstruk-

cja Europy zostanie ostatecznie zakończona. W Europie może nie być Polski, Węgier czy Czechosłowacji, lecz nie może braknąć odrestaurowanych Niemiec. Jeżeli mowa o Polsce, do Europy należą tylko obszary znajdujące się czasowo „pod polską administracją”.

Należy obiektywnie stwierdzić, że wielu Amerykanów i wielu Europejczyków podziela powyższy punkt widzenia. Również partie komunistyczne sprawujące władzę w państwach satelickich podzielały częściowo ów punkt widzenia. Dla rządu PRL w Warszawie podobnie jak dla rządu zachodnio-niemieckiego w Bonn nie ma problemu wschodnio-europejskiego. Istnieje natomiast problem niemiecki, który należałoby załatwić według propozycji Chruszczowa. Wówczas podział Europy zostałby przypieczętowany a panowanie sowieckie w Europie wschodniej zalegalizowane. Polacy uwikłani w tradycjonalizmach i anachronizmach nie zdają sobie sprawy z istoty niebezpieczeństwa niemieckiego. Nie zagraża nam ani drugi Wrzesień ani „mała” wojna mająca na celu rewindykację ziem nad Odrą i Nysą. Grozi nam natomiast inne niebezpieczeństwo przed którym nie uchroni nas ani Rapacki ani Gomulka ani szacowny „Zakład Zagadnień Niemieckich” w Warszawie.

Niemcy plan restauracji granic z 1937 r. rozkładają na dwie fazy. Pierwsza faza dotyczy tylko Niemiec wschodnich. Zjednoczenie obejmujące wyłącznie Niemcy wschodnie jest postulatem, który może liczyć na pełne poparcie Stanów Zjednoczonych.

Do tej pory stanowisko „niezłomnych” niemieckich dyktowanych było obawą, że gdy Bonn raz odstąpi od swego „veta” — Amerykanie dojdą do porozumienia z Sowietami, które będzie niezmierznie daleko odbiegało od wizji Niemiec w granicach z 1937 r. Polityka „niezłomnych” nie dała jednak żadnych pozytywnych rezultatów. Z postępowaniem czasu — polityka niemiecka z całą pewnością stanie się bardziej elastyczna i docelowa. Za cel nr 1 Bonn przyjmie wyłącznie odzyskanie suwerenności nad Niemcami wschodnimi.

W prasie niemieckiej jest dosyć materiału pozwalającego odcyfrować strategię fazy nr 2 — tzn. powrót za Odrę. „Der Europa-eische Osten” (Nr 107) przytacza następującą statystykę porównawczą. Niemcy zachodnie i wschodnie obejmują łącznie obszar 355,000 km kw. z ludnością 70,5 milionów. Obszar Polski Ludowej wyraża się cyfrą 313,000 km. kw. z ludnością 29,7 milionów. Innymi słowy mimo, że obszar PRL i Niemiec są niemal równe w Polsce Ludowej mieszka o połowę ludności mniej niż w Niemczech. Gęstość zaludnienia na km. kw. w Niemieckiej Republice Federalnej wynosi 219 mieszkańców — w Polsce Ludowej 95. A więc... *Volk ohne Raum.*

Lecz to wszystko tylko na marginesie. W tym artykule interesuje nas wyłącznie faza nr 1, tzn. zjednoczenie Niemiec po granicę Odry i Nysy.

Główne niebezpieczeństwo zagrażające nam od strony Niemiec polega na tym, że rząd w Bonn (obecny lub następny)

przekona Amerykanów, że wschodnia Europa jest wyłącznie problemem niemieckim, który w najskromniejszym wydaniu ogranicza się do stopniowego odzyskania suwerenności nad NRD. Polacy, Czesi i Węgrzy zostaliby wiecześnie odpisani na straty w zamian za minimalistyczne rozwiązanie problemu niemieckiego.

Niemcom nic nie zależy na wyzwoleniu krajów Europy wschodniej. Ich interesuje jedynie i wyłącznie rozwiązanie problemu niemieckiego. Niestety zarówno Amerykanie jak i Niemcy nie zdają sobie sprawy, że w gruncie rzeczy *nie ma* problemu niemieckiego. Istnieje natomiast problem środkowo-wschodnio-europejski, którego „kwestia niemiecka” jest fragmentem.

W sumie należy stwierdzić co następuje. Groźne jest dla nas zarówno veto niemieckie — o którym pisał Zbigniew Brzeziński — jak również groźne jest dla nas redukowanie zagadnienia stu milionów wschodnich Europejczyków do problemu 17 milionów wschodnich Niemców.

Nie możemy dopuścić do tego by Amerykanie patrzyli na Europę wschodnią przez niemieckie okulary. W tej walce z niemieckim punktem widzenia na terenie Ameryki nie możemy liczyć na współdziałanie oficjalnych czynników PRL, gdyż zredukowanie problemu Europy wschodniej wyłącznie do zagadnienia zjednoczenia obu republik niemieckich — idzie po linii interesów komunistycznych rządów w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech. Ci panowie z łatwością przeboleliby utratę tow. Ulbrichta, gdyby za tę cenę ich panowanie uzyskało gwarancję międzynarodową. W takiej sytuacji Amerykanie musieliby wyrzec się wszelkich nadziei odkomunizowania Europy wschodniej, zwinąć cały aparat propagandowo informacyjny i pogodzić się z faktem, że wolny świat kończy się na Odrze i Nysie.

Komuniści w kraju i „fellow travellerzy” na emigracji powiedzą, że nic nam widać nie należy na międzynarodowym uznaniu granicy na Odrze i Nysie. Niezmiennie nam zależy na uznaniu tej granicy, lecz nie za każdą cenę. Jeżeli uznanie granicy na Odrze i Nysie miałyby być równoznaczne z oficjalnym pogrzebem wszelkich nadziei wydobywania Polski spod władzy komunistycznej — to uważamy, że lepiej by granica była nie uznana a wrota wolności nie zatrzaskane. Tym bardziej, że granicy tej od strony Zachodu nic nie zagraża.

Komuniści polscy doskonale wiedzą, że dopóki problem niemiecki nie jest załatwiony w Europie środkowo-wschodniej wszystko jest prowizorium — komunistycznej władzy w Polsce nie wyłączając. Tylko uregulowanie kwestii niemieckiej i międzynarodowe uznanie granicy oddzielającej imperium sowieckie od Zachodu — położąby kres tymczasowości grzebiąc wszystkie nadzieje wschodnich Europejczyków.



Choć nie można wyłączyć, że Sowiety w kryzysowej sytuacji szukając wyrównania stosunków z Niemcami i odprężenia z Ame-

ryką zgodzą się na kompromisową formę uregulowania „kwestii niemieckiej” — osobiście w to nie wierzę. Nie wierzę również by Rosja, nawet w kryzysowej sytuacji, mogła bezkarnie przeprowadzić tylko częściową parcelację swego satelickiego imperium.

W analizie politycznej trzeba brać pod uwagę wszystkie ewentualności tym bardziej, że w sferze politycznej — częściej niż na innych polach ludzkiej działalności — jawią się rozwiązania, których nikt nie przewidywał. Dlatego starałem się przedstawić i te warianty rozwiązań, które — choć w moim przekonaniu mało prawdopodobne — w danej sytuacji mogą urzeczywistnić się na naszych oczach. Mój osobisty pogląd na kompleks omawianych zagadnień ująć można następująco:

Super-Jakta jest mało prawdopodobna, nie ze względów moralnych czy jakichkolwiek innych — lecz po prostu dlatego, że w Europie środkowo-wschodniej nie ma już niczego do sprzedania. Nie można sprzedawać tej samej rzeczy dwa razy... nawet Sowietom.

Imperium brytyjskie likwidowało się ewolucyjnie i stopniowo. Nie wyobrażam sobie jednak likwidacji imperium satelickiego drogą stopniową i „na raty”. Nie wyobrażam sobie by można było w Niemczech wschodnich przywrócić demokrację parlamentarną, wolność prasy, wywieźć na taczkach znienawidzonych bossów partyjnych i równocześnie utrzymać neo-stalinowski „porządek” na drugim brzegu Odry. Skłonny jestem przypuszczać, że Chruszczow również sobie tego nie wyobraża. I na tym polega tajemna siła NRD. Ulbricht doskonale wie, że jego reżym nie może upaść. Chruszczow odpisując na straty Niemcy wschodnie musiałyby się liczyć z prawdopodobieństwem przewrotu we wszystkich państwach satelickich.

Z zachodniego punktu widzenia i dla człowieka myślącego racjonalistycznymi kategoriami logiczną wydaje się przesłanka, że Chruszczow w danej sytuacji zgodzi się raczej na kompromis w sprawie NRD niż na pełny odwrót z Europy wschodniej. W oparciu o powyższe rozumowanie logicznym wydaje się wniosek, że Sowiety być może zgodziłyby się na kompromis w kwestii niemieckiej — gdyby otrzymały gwarancję nienaruszalności ich zdobyczy po granicę Odry i Nysy.

Gdyby w danym wypadku nie chodziło o Sowiety, lecz o Wielką Brytanię czy Francję — powyższe rozumowanie byłoby bezbłędnie logiczne. Lecz komunizm kieruje się swą własną logiką w wieku wypadkach odmienną od naszej.

Dopiero dziś widzi się jasno o co walczyły czołgi sowieckie na ulicach Budapesztu. Czołgi sowieckie kruszyły nie tylko rewolucję węgierską, lecz dławiły również rewizjonizm polski — podpierały Ulbrichta i Gomułę. Bo gdyby Imre Nagy zwyciężył — zarówno Ulbricht jak i Gomułka musieliby odejść. Czołgi sowieckie na ulicach Budapesztu walczyły nie o małe Węgry, lecz o wielkie, stu-milionowe imperium satelickie.

Przygotowując kompromis w sprawie Niemiec Sowiety mu-

siałyby okupować wojskowo Polskę, Węgry i Czechosłowację — by nie dopuścić nigdzie do demonstracji czy rozruchów.

W tej sprawie konieczne jest wyraźne rozróżnienie pomiędzy Chruszczowem czy jego następcą, a przywódcami satelickimi. Przywódcy satelicy są znacznie bardziej zorientowani na Europę niż Chruszczow i zdają sobie sprawę z faktu, że niezłałatwiony problem niemiecki utrzymuje wielki znak zapytania nad całą wschodnią Europą. Spacyfikowanie Niemiec (strefa neutralna, pakt nieagresji itp.) leży w bezpośrednim interesie przywódców komunistycznych Polski, Węgier i Czechosłowacji — pod warunkiem, że linia Odry i Nysy zostanie międzynarodowo uznana za nienaruszalną granicę imperium satelickiego. Wówczas straszak niemiecki zostałby zlikwidowany, granice uznane i władcy komunistyczni mogliby spać spokojnie wiedząc, że nic im już nie zagraża.

Lecz pozycja Chruszczowa *vis à vis* tej operacji przedstawia się zgoła inaczej. Premier sowiecki miałby przeciwko sobie nie tylko Pekin, lecz znakomitą większość partii komunistycznych na obu półkulach. W opinii Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej stanowiłoby to sprzedanie małego komunistycznego państwa za „koe-gzystencyjne” srebrniki. Tego rodzaju posunięcie mogłoby przechylić zdecydowanie wagę na korzyść Chin. Nie sądzę również, by dla projektu sprzedania NRD Chruszczow mógł liczyć na poparcie swojej własnej partii.

Z powyższych przyczyn w moim przekonaniu nie jest rzeczą ani możliwą ani realną wyizolowanie problemu niemieckiego. Problem niemiecki samodzielnie nie istnieje. Istnieje tylko jako fragment podstawowego zagadnienia wyzwolenia Europy środkowo-wschodniej. Dopóki Niemcy tego nie rozumieją rozwiązanie „kwestii niemieckiej” pozostanie jednym z mitów dwudziestego wieku.

Zachodnim ludziom wiele rzeczy wschodnio-europejskich nie mieści się w głowie. Zachodniemu Niemcowi czy Amerykaninowi trudno jest zrozumieć — że choć 80 procent Polaków jest przeciwko komunizmowi — też same 80 procent Polaków jest za sojuszem z Sowietami. I dopóki Niemcy nie uznają granicy na Odrze i Nysie ten stan rzeczy nie ulegnie zmianie. W chwili obecnej Polacy pragnęliby wyzwolenia ideologicznego, lecz nie zmiany układu politycznego. Zmiana układu politycznego oznaczałaby, że Polska pozbawiona poparcia Sowietów znalazłaby się oko z Niemcami sojusznikiem Stanów Zjednoczonych.

Obawa przed Niemcami w krajach satelickich, a w szczególności w Polsce cementuje *status quo*, a tym samym wyłącza rozwiązanie „kwestii niemieckiej” w sposób pokojowy.

Program realnej „Ostpolitik” musiałby wychodzić z założenia, że rozwiązanie „kwestii niemieckiej” możliwe jest tylko poprzez rozwiązanie problemu Europy środkowo-wschodniej. Niemcy odzyskały zaufanie Ameryki, lecz nie odzyskały zaufania Europy wschodniej. Odzyskanie tego zaufania nie byłoby konieczne

gdyby Amerykanie byli gotowi poprzeć postulaty niemieckie siłą. Wiemy, że tak nie jest.

Sojusz ze Stanami Zjednoczonymi nabrałby więc dla Niemiec pełnego znaczenia dopiero wówczas, gdyby Niemcy odzyskali zaufanie wschodnich Europejczyków. Bo dziś, nawet gdyby Amerykanie włączyli do swych daleko-falowych celów wyzwolenie Europy wschodniej nie znalazłoby to należytego oddźwięku. Waszyngton w takiej sytuacji — śladem de Gaulle'a — musiałby złożyć choćby nieoficjalne oświadczenie w sprawie granicy na Odrze i Nysie. I w moim przekonaniu na tym się skończy. Niemcy nigdy nie zdobędą się na uznanie tej granicy. To uznanie zostanie im w końcu narzucone przez ich własnych sojuszników. Przyjdzie bowiem moment, że Amerykanie zdadzą sobie wreszcie sprawę, że pieniądzełożone na informację i podtrzymywanie ducha wolności w krajach satelickich tylko wówczas odniosą skutek, gdy zmiana ideologii nie będzie równoznaczna z utratą terytorium. Innymi słowy, zaufanie do Niemiec w Europie wschodniej będą musieli odbudować Amerykanie.

Niemieckie pretensje terytorialne uniemożliwiają Ameryce sformułowanie dynamicznej polityki w stosunku do wschodniej Europy, a tym samym uniemożliwiają Waszyngtonowi przygotowanie gruntu dla inicjatyw zmierzających do zjednoczenia Niemiec.

Amerykanie płacą zbyt wysoką ceną nie tyle za sojusz z Niemcami — ile za tolerancję w stosunku do nierealnych postulatów niemieckich. My, po tej stronie barykady wiemy, że Amerykanie nie będą dla Niemców zdobywać Wrocławia czy Gdańska. Lecz dla wschodnich Europejczyków myślących kategoriami sojuszów satelickich — amerykańska tolerancja jest równoznaczna z akceptacją niemieckich postulatów. Czy opłaca się utrzymywać w stanie niepokoju miliony ludzi (co dyskontuje wyłącznie Rosja) tylko w tym celu, by wykazać tolerancję w stosunku do pretensji sojusznika, zwłaszcza, gdy tych pretensji nie zamierza się efektywnie poprzeć?

Tylko Amerykanie mają możliwość przekonania Niemców, że teza o granicach z 1937 r. oddala perspektywy zjednoczenia dwóch republik niemieckich w nieskończoność. Teza ta bowiem mobilizuje przeciwko Niemcom całą Europę wschodnią i cementuje sojusz krajów wschodnio-europejskich z Sowietami. I tylko Amerykanie mają szansę przekonania Niemców, że zjednoczenie republik niemieckich — wyłączwszy wojnę — możliwe jest tylko poprzez radykalną zmianę układu w Europie satelickiej.

Lecz na to by Amerykanie mogli przekonać Niemców muszą wpierw sami dojrzeć słuszność wyżej przytoczonego rozumowania.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

LITERACKIE „OKNO WYSTAWOWE”

Warszawska „Kultura” nr 37 — poświęcona jest twórczości Jarosława Iwaszkiewicza z okazji jego 70-letnich urodzin. Czołową laurkę napisał sam p. Wilhelmi, który swe rozważania poprzedził cytatem z T.S. Eliota: „Pomiędzy zamysł a dokonanie — kładzie się cień”. Byłoby to również znakomite motto do artykułu jubileuszowego na 20-lecie PRL.

Stawiam tezę: literatura Polski Ludowej w 80-ciu procentach jest dziełem nieboszczyków i starców.

W dniach 17 i 18 stycznia br. obradowało w Warszawie „rozszerzone plenum Związku Literatów Polskich”. Na owym „rozszerzonym” plenum wygłosił referat prof. Jan Zygmunt Jakubowski. Ów referat ukazał się następnie w kilku odcinkach na łamach warszawskiej „Kultury”.

O czymże mówił — raczej długo i szeroko prof. Jakubowski? Mówił właściwie tylko o jednym pisarzu Polski Ludowej, który nosił znane nazwisko Stefan Żeromski. Czego domagał się od „rozszerzonego plenum” Związku Literatów Polskich prof. Jakubowski?

Posłuchajcie:

— „Czy nie byłaby to najwyższa pochwała dla współczesnej literatury, gdyby jej przyszły dziejopis mógł napisać — gdy już my wszyscy pożegnamy „ostatnie więzy rosnące przy drodze życia” — że epoka budowy socjalizmu w Polsce wydała nowoczesnego Żeromskiego”.

Prelegent zgłosił akces do PZPR Żeromskiego i wielu innych zmarłych luminarzy literatury polskiej. Dialog ze zmarłymi pisarzami nie nasłuchuje trudności, bo ci co „pożegnali ostatnie więzy rosnące przy drodze życia” — nie mogą protestować.

Epoka budowy „gomułkizmu” nie wydała i nie wyda Żeromskiego. W oknie wystawowym literatury Polski Ludowej przeważają dzieła starszych wiekiem pisarzy, którzy w trudnych i zmienionych warunkach kontynuowali swoją twórczość przedwojenną. Od Morstina Hieronima Ludwika czy Parandowskiego Jana nikt nie oczekuje „socjalistycznego realizmu”. Każda nowa książka Marii Dąbrowskiej jest sukcesem literatury krajowej, ponieważ nie ma nowej Marii Dąbrowskiej.

Pisarz, który zbliża się do 70-ki, lub ją przekroczył — okres kryzysów i załamania ma już za sobą. Na widowisko „gomułkizmu” patrzeć może z perspektywy pół-stulecia z filozoficznym pobłażaniem. Z tego dostojnego koła nie wyjdzie ani heretyk, ani rewolucjonista, ani groźny buntownik. Starszych matadorów literatury obwiesza się „ludowymi” orderami, honoruje, sadza w pierwszych rzędach krzesła na galówkach i akademiach — stwarzając w ten sposób fikcję ich masowego poparcia dla „gomułkizmu”.

Wyobraźmy sobie, że z okna wystawowego literatury Polski Ludowej usunięto nazwiska pisarzy z okresu międzywojennego. Zniknęliby Jarosław Iwaszkiewicz, Władysław Broniewski, Julian Tuwim, Zofia Nałkowska,

Maria Dąbrowska, L. M. Morstin, Jan Parandowski, Ildefons Gałczyński, Melchior Wańkowicz, Leon Kruczkowski, Mieczysław Jastrun, Antoni Słonimski, Julian Przyboś, Adam Ważyk, Hanna Malewska, Jerzy Andrzejewski, Tadeusz Breza, Paweł Hertz, Stanisław Jerzy Lec, Adolf Rudnicki, Jerzy Putrament, itd. itd. Nie mam siły kończyć tej litanii, lecz myślę, że to chyba wystarczy.

Gdybyśmy podsumowali wiek wyżej zacytowanych żyjących pisarzy — przeciętna wyraziłaby się cyfrą 65 lat. Nawet ci najmłodsi jak Jerzy Andrzejewski są bliżsi 60-ki niż 50-ki. Najwybitniejsze dzieła literackie jakie ukazały się w Polsce Ludowej wyszły spod pióra wyżej przytoczonych autorów. Gdyby wyłączyć twórczość tych pisarzy — o literaturze Polski Ludowej w ogóle nie można by mówić.

Innymi słowy współczesna literatura polska jest w znacznej mierze łańcuchem śpiewem literatury okresu międzywojennego. Łańcuchem śpiewem ponieważ na przestrzeni najbliższych 10 czy 15 lat — znakomita większość tych pisarzy zejdzie ze sceny. I dopiero wówczas — jeżeli nie nastąpią radykalne zmiany — aparatczycy będą zbierać to co dzisiaj sieją. Polska Ludowa nie będzie miała wielkiej literatury tylko... historię wielkiej literatury.

KIPLING NA SYBERII

„Rosyjski znajomy wziął nas na wycieczkę i popłynęliśmy łodzią motorową w górę rzeki Ussuri. Dopłynęliśmy do miejsca skąd widać było granicę chińską.

— Chińskie łodzie patrolowe są tuż za zakrętem — odezwał się mój znajomy. — Nie możemy płynąć dalej.

Zdawałem sobie sprawę, że granica chińska jest blisko Chabarowska, lecz nie przypuszczałem, że jest aż tak blisko. Stałem w łodzi by lepiej przypatrzeć się granicy. Wtem nagle mój znajomy Rosjanin zacytował w powoli skandowanej, starannej angielszczyźnie: „East is East and West is West and never the twin shall meet”.

Tę kapitalną scenkę wyjmuję z potężnego tomu Laurence Van Der Post'a pt. „Journey into Russia”.

Tak oto Kipling, który już dawno przestał reprezentować imperializm brytyjski — przemówił w imieniu imperializmu rosyjskiego. Deklamator Kiplinga nie stanowił wyjątku. Rosjanie syberyjscy (tzn. urodzeni na Syberii) zdaniem Van Der Posta — są z wszystkich Rosjan najbardziej zachodni. W ich towarzystwie Brytyjczyk czy Francuz czuje się bardziej swobodnie niż w europejskiej — bądź co bądź Moskwie.

„Brak nam ludzi, brak nam ludzi” — to jest skarga, którą słyszy się na każdym kroku. Van Der Post pisze, że w tym głodzie sił ludzkich przejawia się instynktowny lęk, syberyjskich Rosjan przed Chinami. Bo po drugiej stronie granicy bywa głód, lecz ludzi jest morze. Rosjanie syberyjscy na dnie duszy zdają sobie sprawę, że na dalszą metę nie sprostają naporowi mas chińskich.

Gdy czytałem w książce Van Der Posta pochwały na temat zachodniości Sybiraków — przypomniła mi się wydana przed kilku laty w Warszawie „Syberia — inaczej” Dominika Horodyńskiego. Z reportażu Horodyńskiego dowiedziałem się, że książki telefoniczne w miastach rosyjskiego

dalekiego wschodu roją się od nazwisk polskich. Van Der Post przeźornie nie przytacza żadnych nazwisk.

NA OBWODZIE BŁĘDNego KOŁA

Hannah Ahrendt w swojej książce pt. „On Revolution” — pisze, że oblicze dwudziestego wieku zostało ukształtowane przez wojny i rewolucje. Jednak obie te siły rzeźbiące profil naszej epoki uległy wynaturzeniu.

Wojna w erze atomowej przestała być wojną a rewolucje nie są również tym czym były dawniej. Istotą rewolucji była walka o przywrócenie wolności dławionej przez tyranie, a nie ustanowienie nowej tyranii.

Osobiście wydaje mi się że w drugiej połowie naszego wieku motorem rewolucji jest przede wszystkim nędza. Wolność umierania z głodu nie jest wolnością. Ludziom niedożywionym i niedokształconym nie zależy na wolności prasy czy pięcio-przymiotnikowym głosowaniu. Powiedzmy sobie szczerze, że nie ma na świecie ustroju, w którym człowiek biedny jest naprawdę wolny. By móc korzystać z wolności trzeba być sytym i umieć czytać i pisać.

Zwalczyć nędzę można tylko poprzez szybkie uprzemysłowienie. Rozbudowa gospodarcza i „wielki skok” naprzód wymagają silnej władzy centralnej i często drastycznych metod. To jest jedna z przyczyn dla których państwa afrykańskie wykazują skłonność do dyktatur i systemu jednopartyjnego.

Dramat komunizmu polega na tym, że choć bardzo dokładnie obrabowuje ludzi z wolności — nie stwarza za tę cenę dobrobytu materialnego. Gdyby komunizm był znakomitym systemem ekonomicznym i zapewniał zarówno wzrost zamożności jak i sprawiedliwy podział dochodu społecznego — ofiary płacone w ograniczeniu wolności wielu ludziom wydawałyby się opłacalne. Gdyby ograniczenie wolności w Anglii, w Ameryce i na kontynencie — miało uratować od śmierci głodowej miliony ludzi rocznie i zapewnić dostatek niedożywionym dwóm trzecim ludzkości globu — pierwszy głosowałbym za wprowadzeniem ograniczeń wolności. Albowiem jeżeli istniałby przyczynowy związek pomiędzy naszą wolnością a ich głodem — korzystanie z wolności za taką cenę byłoby zbrodnią.

„Kontrakt społeczny” komunizmu ująć można w jednym zdaniu: „ograniczmy wolność i scentralizujemy władzę — w zamian damy wam bazę przemysłową, dobrobyt, i sprawiedliwy podział dochodu narodowego”.

Należy obiektywnie stwierdzić, że w pewnych krajach komunizm zrealizował pierwszy punkt programu tzn. zbudował bazę przemysłową. Do tych krajów — obok Związku Sowieckiego należy i Polska. W ubiegłym roku wyprodukowano w PRL 8 milionów ton stali, 5,5 milionów ton wyrobów walcowanych, wydobyto 113 milionów ton węgla itd. itd. Ciężki przemysł, ów fundament bazy gospodarczej — jest faktem dokonany.

Komunizm jako system zawodzi całkowicie w drugiej fazie tzn. w okresie, kiedy zbudowanym przemysłem trzeba umiejętnie i lukratywnie administrować. Najwspanialsza baza przemysłowa nie produkuje dobrobytu i wysokiej stopy życiowej. Dobrobyt musi być wygospodarowany mądrą i celową polityką ekonomiczną.

W owej drugiej fazie pojawiają się „antybodźce”, które absurdalizują

życie gospodarcze. Co to są „antybodźce” wyjaśni przykład zaczerpnięty z artykułu Stefana Kisielewskiego:

„Zapobiegliwy dyrektor przedsiębiorstwa oszczędził na wydatkach inwestycyjnych. Pieniądze wróciły do banku, bank pokwitował to kłapieniem maszyny do liczenia i zmianą cyfry w bilansie. Ale potem dyrektorowi zabrakło groszy na fundusz bezosobowy, na wydatki konieczne dla funkcjonowania przedsiębiorstwa. Tam oszczędził, tu powinien dostać, przecież to ten sam bank, ta sama kieszeń. Ale darmo żebrze, darmo prosi — bank nie kłapie. Antybodziec moralny, antibodziec produkcyjny, antibodziec dla inicjatywy (nie staraj się!), antibodziec oszczędnościowy!”.

W tym samym artykule Kisiel cytuje inny przykład. Pewna cukrownia zatruła ryby w rzece wywołując olbrzymie straty. Były ścieki i kanalizacja i — co najważniejsze — dyrekcja cukrowni w ciągu dwóch lat nie podjęła 200 milionów złotych, które przeznaczono w budżecie na oczyszczenie i odtrucie ścieków. I w tym wypadku działały antibodźce. Cytuje Kisielewski:

„Cukrownie mają swój plan, plan napięty od którego zależą płace i premie, a przecież ludzie muszą żyć. Trzeba więc wykonać plan, a nie zajmować się ściekami. Wprawdzie na ścieki są pieniądze, ale jest ograniczony limit zatrudnienia, kto więc ma się tym zająć? I skąd wziąć fachowców do dokumentacji, skoro nie wolno wydać pieniędzy z funduszu bezosobowego? I oto antibodźce zwalczyły racje ekonomiczne: lepiej zapłacić karę niż walić łbem o ścianę”.

W systemie komunistycznym nie opłaca się być dobrym gospodarzem — opłaca się natomiast być pedantycznym choć bezzmysłowym biurokratą. Zarówno w Związku Sowieckim jak i w Polsce wykpiwanie biurokracji jest nie tylko dozwolone, lecz popierane. Chruszczow niemal w każdym przemówieniu gromi beztłóśnie biurokrację. To jest bardzo sprytny manewr taktyczny — stwarza się bowiem złudzenie, że przyczyn biurokratyzmu i szkodnictwa szukać należy poza partią, która biurokratów zwalcza rzekomo do upadłego. Po jednej stronie mamy zacnych ludzi pracy i dynamiczną partię, a po drugiej stronie tępych biurokratów, którzy doprowadzają gospodarkę do ruiny. Jest oczywiście ponad wszelką wątpliwość, że źródłem anty-ekonomicznego biurokratyzmu jest partia i doktryna. Jest również oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że na to nie ma rady. Biurokratyzm będzie absurdalizował gospodarkę komunistyczną do samego końca.

To jest nieprawda co twierdzi Stefan Żółkiewski, że „socjalizm” posiada lekarstwa na wszystkie swoje choroby i błędy. Żadna dyktatura nie jest zdolna do samo-korektury. Ponieważ zasadniczy błąd i źródło wszystkich wypaczeń tkwi w samej dyktaturze.

Nie jest rzeczą możliwą zarządzać centralnie niezmiernie różnorodnym i złożonym nowoczesnym procesem przemysłowym. Z drugiej zaś strony, decentralizacja odbyć by się musiała kosztem dyktatury. W pełni unowocześniona i zdecentralizowana gospodarka komunistyczna przestałaby być gospodarką komunistyczną, a „dyktatura proletariatu”, która w gruncie rzeczy jest dyktaturą aparatczyków-biurokratów zawiśłaby w próżni.

Klasycznego przykładu i ilustracji w tej dziedzinie dostarcza Czecho-

słowacja. Był to jedyny europejski wysoko uprzemysłowiony kraj, który z końcem wojny dostał się pod panowanie komunistów.

W chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada marca) odbywa się w Pradze pierwsza od czasów wojny Brytyjska Wystawa Przemysłowa. W jednym z pawilonów miniaturowa zautomatyzowana fabryka plastiku na oczach publiczności produkuje piękne filiżanki do herbaty, które otrzymują w prezencie zwiedzający. W tym pawilonie trzeba było wezwać policję, by chroniła ludzi przed... uduszeniem.

Przemysłowcy brytyjscy, którzy z tej okazji po raz pierwszy od czasu wojny odwiedzili Czechosłowację, stwierdzają zgodnie, że ten ongiś zamożny kraj jest wręcz nie do poznania. 15 lat izolacji, 15 lat rządów komunistycznych doprowadziło Czechosłowację do progu bankructwa. Antybodźce wyrażają się m.in. fantastycznym wręcz „brakoróbstwem”. Według oficjalnych danych statystycznych wybrakowane produkty spowodowały w roku 1962 straty wyrażające się cyfrą 6 miliardów koron czechosłowackich. Podczas gdy w Pradze odbywała się wystawa przemysłu brytyjskiego rolgłośnia w Brnie wystąpiła z inicjatywą, by w każdym mieście czechosłowackim zorganizować „wystawy hańby” ilustrujące rozmiary brakoróbstwa (1).

Z jednej strony wystawa nowoczesnego przemysłu zachodniego z drugiej strony „pawilony hańby” — czy potrzeba bardziej wymownej dokumentacji „sukcesu” gospodarki komunistycznej. I sceną tego widowiska nie jest kraj o zapóźnionym rozwoju, lecz przeciwnie, kraj wysoko uprzemysłowiony, stąnący niegdyś w Europie z solidności, pracowitości i oszczędności.

CHLEB

Klaus Mehnert autor doskonałej książki pt. „Peking und Moskau” ustalił w oparciu o źródła chińskie i sowieckie, że pomoc sowiecka dla krajów o zapóźnionym rozwoju gospodarczym przekroczyła w okresie 1954-1960 cyfrę 10 bilionów rubli. Z powyższej kwoty lwia część przypadła Indiom, 3, 2 bilionów rubli. Po Indiach idą: Zjednoczona Republika Arabska — 2,35 bilionów, Indonezja 1,47 bilionów, Irak — 730 milionów, Afganistan — 400 milionów, Etiopia — 400 milionów.

Innymi słowy nie-komuniści Nehru, Nasser, Sukarno, Kassem, Daud i Haile-Selassie — otrzymali w omawianym okresie dokładnie 5 razy więcej niż komunista i sojusznik Sowietów Mao. Należy dodać, że Chiny są również zapóźnione w rozwoju gospodarczym, a ich ludność przekracza łączną cyfrę mieszkańców owych 6 krajów obdarowanych przez Moskwę.

Powyższe dane cyfrowe ilustrują wagę i znaczenie jaką Sowiety przywiązują do tzw. „trzeciego świata”. Moskwa gotowa jest popierać przywódców, którzy nie są komunistami — ba, nawet takich, którzy komunistów trzymają w więzieniach — byle tylko wyrwać ich z objęć zachodnich „imperialistów”.

Rosja ma sputniki, rakiety, okręty atomowe, ciężki przemysł — lecz nie ma żadnych nadwyżek żywnościowych. Imponujący rozwój technologii sowieckiej nie jest w stanie przysłonić faktu, że Rosja wraz ze swym satelickim imperium nie ma pod dostatkiem chleba.

(1) W ostatnim okresie zlikwidowano w Czechosłowacji 143 obiekty przemysłowe, ze względu na ich całkowitą nierentowność.

Trzeba zgodzić się z G. Paloczi Horvathem („Changes in the Soviet Economic Thought” the Review nr 4/63) że marksistowsko-leninowski system rolniczy zawiódł. Należy również przyznać rację cytowanemu autorowi, który pisze, że realistyczny i dalekowzroczny przywódca sowiecki wniósł od lat zdawać sobie sprawę z faktu, że pod koniec bieżącego stulecia kraje dysponujące nadwyżkami żywnościowymi skupią w swych rękach wpływy międzynarodowe i potęgę polityczną. W tym bowiem okresie osiągnie szczyt eksplozja populacyjna w Afryce, w Azji i w Ameryce Łacińskiej.

Stany Zjednoczone mają ogromne nadwyżki żywnościowe i mogłyby produkować niepomierne więcej żywności niż produkują obecnie. W najbliższych dekadach Ameryka i Europa zachodnia z łatwością potroją swoją produkcję żywnościową.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu. W roku 1954 wyprodukowano w Anglii 20 milionów kurcząt. W roku 1957 — 56 milionów, a w roku 1960 — 142 miliony. Oczekuje się, że w roku 1965 roczna produkcja kurcząt w Anglii osiągnie cyfrę 200 milionów.

Chińskie przysłowie, spolszczone przez Remigiusza Kwiatkowskiego mówi „gdy je biedak rosł z kury, chory on lub ona”. Istotnie dawniej tak było: Kury jedli ludzie bogaci, a biedacy tylko od święta lub w wypadku choroby jako, że rosłowi z kury przypisywano własności lecznicze. Dziś w Anglii i w Ameryce kura w garnku należy do najbardziej popularnych i proletariackich potraw. W rezultacie na Zachodzie kura utraciła swój „status socjalny”. W domu dbającym o renomę gościom nie można podać na obiad kury. Indyk, bażant — zachowały swój status — kura utraciła go całkowicie.

Ruble sowieckie choćby było ich biliony mają tą wadę, że nie można za nie kupić chleba w krajach, które mają go w nadmiarze, tzn. w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie i w zachodniej Europie. Nie jest wykluczone, że gdy pod koniec bieżącego stulecia problem wyżywienia nowych setek milionów proletariuszy w Azji i w Afryce przybierze rozmiary super-kryzysu — wolny świat pobije Rosję i jej imperium — chlebem.

Można przyjąć za pewnik, że kwestia produkcji żywności z każdą dekadą wysuwać się będzie coraz bardziej na czoło. Wydaje się, że ekonomiści bloku wschodniego zahipnotyzowani legendą stali i ciężkiego przemysłu — nie dostrzegają rosnącego znaczenia rolnictwa i wszystkich politycznych konsekwencji z tym związanych.

Uzdrowić rolnictwo w Sowietach można by tylko za cenę porzucenia dogmatów marksistowsko-leninowskich. Lecz czy to jest możliwe? W moim przekonaniu unowocześnienie rolnictwa sowieckiego na wzór zachodnio-europejski byłoby równoznaczne z rewolucją, z chłopską rewolucją. Dlatego pod koniec stulecia Rosjanie będą mieli bazę na księżycu, lecz tylko jeden gatunek chleba w Moskwie i brak chleba poza nią.

SARTRE W PRADZE

„...My opanowaliśmy technikę, my mamy formy, my mamy ruch kulturalny, a jednocześnie nie mamy nic do powiedzenia. Wy zaś macie doświadczenie, tylko na razie istnieje jeszcze dysproporcja między tym doświadczeniem, a środkami jego wyrażenia. Dlatego zawsze twierdzę, że jedyną praw-

dziwie wielką powieścią, którą można by napisać o bieżącym stuleciu jest powieść o doświadczeniach socjalizmu”.

Powyższy tekst wyjętem z dłuższej wypowiedzi Sartre'a zamieszczonej na łamach „Kulturny Život”, nr 47.

My wprawdzie nie mamy nic do powiedzenia, ale mamy Sartre'a i tomy jego prozy, które zajmują sporo miejsca. Czy Sartre sądzi, że i on nie miał niczego do powiedzenia? Wypowiedź autora „La Nausée” przypomina znaną anegdotkę: „Czy można budować socjalizm w jednym kraju?”. „Można, lecz samemu trzeba mieszkać w innym kraju”.

Sartre powinien zamieszkać w Pradze, którą był olśniony — przestudiować doświadczenia socjalizmu czechosłowackiego, a po rocznym pobycie wrócić do Paryża i napisać wielką powieść polityczną o której na próżno marzą aparatczycy w krajach satelickich. Powieść byłaby oczywiście zakazana w krajach komunistycznych, lecz literatura zachodnia zyskałaby nową interesującą pozycję.

W cytowanym artykule Sartre z powagą poucza pisarzy w krajach satelickich:

„Musicie przyswoić sobie wszystkie nasze formy wyrazu, nie po to, aby przy ich pomocy hodować formalizm — to właśnie jest błędem niektórych waszych artystów — ale po to aby zastosować je w swojej wiedzy o największym doświadczeniu naszych czasów jakim jest socjalizm”.

Można być nie tylko Sartrem, lecz pełnej skali geniuszem i równocześnie cierpieć na całkowity zanik „common sensu”. Historia (nie tylko literatury) roi się od tego typu przykładów.

Pasternak w „Doktorze Żiwago” starał się ująć doświadczenia rewolucji, stworzył niewątpliwie wielką powieść, umarł zaszczytnie, a jego najbliżsi poszli do więzienia.

Stawar — w innej, skromniejszej płaszczyźnie starał się również ująć doświadczenia naszych czasów. Umarł marksistą-wygnańcem, a jego książka ukazała się zagranicą nakładem „Kultury”.

Doświadczenia budowy socjalizmu w aspekcie literackim sprowadzają się do jednego punktu. Autor, który chce swą książkę przepchać przez ucho igielne cenzury — może pisać o wszystkim tylko nie o doświadczeniach budowy socjalizmu.

Iwaszkiewicz napisał tylko jedną nowelę ujmującą „doświadczenia naszych czasów”. Jednak opowiadania pt. „Wzlot” na próżno szukalibyśmy w zbiorowych wydaniach jego dzieł:

Czy jest rzeczą możliwą by Sartre — mimo gigantycznej literatury przedmiotu — sam nie rozumiał „największego doświadczenia naszych czasów”?

Wieleletnie obserwacje skłaniają mnie do poglądu, że ci, co są niekonformistyczni w jednej dziedzinie wynagradzają to sobie konformizmem w innych dziedzinach.

Sekretarz Generalny COMES — Vigorelli na łamach „Prawdy” (5.10.63) stwierdził co następuje: „Jeżeli ktoś określa się mianem antykomunisty — przechodzi automatycznie do obozu faszystowskiego. Można nie być komunistą — lecz jest rzeczą niedozwoloną być antykomunistą”.

Powyższe oświadczenie p. Vigorelli spowodowało rezygnację Johna Lehmana ze stanowiska wiceprezydenta COMES. (COMES jest organiza-

cją pisarzy europejskich. Pewni wybitni członkowie tej organizacji szukali zbliżenia i porozumienia z pisarzami sowieckimi).

Warto jeszcze dodać, że pełen wigoru p. Vigorelli jest b. członkiem włoskiej partii faszystowskiej. Niemniej p. Vigorelli wyjaśnił sprawę z ła-cińską jasnością i logiką. Jeżeli pisarz nie chce być faszystą i reakcjonistą nie musi być komunistą. Wystarczy jeśli jest „fellow-travellerem”. I tylko do pisarzy tej kategorii nie odnosi się atak Aleksieja Surkowa („Izwestia” 4.1.64) wymierzony przeciw pisarzom zachodnim, Kongresowi Wolności Kultury, międzynarodowemu PEN-Clubowi itd.

Surkow — znany „policjant literacki” gotów jest organizować kontakty i sympozjony pomiędzy pisarzami sowieckimi a zachodnimi, lecz wyłącznie w oparciu o kryteria ustalone z taką klarownością przez p. Vigorelli. Tylko bowiem „fellow-travellerzy” zdolni są pojąć „największe doświadczenie naszych czasów”.

Osobiście jestem przekonany, że pisarze w bloku wschodnim w oparciu o swe doświadczenia mieliby więcej do powiedzenia niż ich koledzy na Zachodzie. Lecz cenzura i kontrola partyjna uniemożliwiają im napisanie „prawdziwie wielkiej powieści o bieżącym stuleciu”.

Czy należy być antykomunistą? Może wystarczy po prostu nie być komunistą, zgodnie z receptą p. Vigorelli?

Gdyby komuniści poprzez uczciwe, demokratyczne wybory zdobyli w kraju większość parlamentarną — wówczas komunistów polskich uważałbym za normalnych przeciwników politycznych, a nie za wrogów. Lecz dziś w Polsce i w wszystkich krajach bloku wschodniego konieczne są albo wybory albo druga rewolucja — ponieważ klasa robotnicza w imię, której sprawowana jest władza nie jest przy władzy. Gdy klasa robotnicza zlikwiduje uzurpatorską „Nową Klasę” i poprzez swych demokratycznie wybranych przedstawicieli sprawować będzie autentyczną władzę — wówczas antykomunizm straci rację bytu. Straci rację bytu ponieważ klasa robotnicza przy władzy odrzuci komunizm w jego obecnej formie.

W OCZACH ZACHODU

Jedno z najlepszych pism na kontynencie europejskim „Neue Zürcher Zeitung” w numerze z 4 lutego br. zamieściło interesujący artykuł pt. „Kriesenerscheinungen in Polen”. Autor cytowanego artykułu omówił szczegółowo rolę paryskiej „Kultury” i nieubłaganą walką jaką prowadzą władze komunistyczne przeciw temu „szczególnie niebezpiecznemu przeciwnikowi”.

Jest oczywiste, że autor cytowanej korespondencji czytał w „Kulturze” warszawskiej „studium” o „Kulturze” paryskiej i jest doskonale zorientowany w stosunkach panujących w Polsce, zwłaszcza na odcinku ideologicznym.

Nie po raz pierwszy działalność naszego miesięcznika została pochlebnie scharakteryzowana na łamach wielkiego szwajcarskiego pisma. Ów dwugłos — z Warszawy i z Zurichu wskazuje, że wybraliśmy właściwą drogę. Wyłączyliśmy się całkowicie z kłótni i „rozróbek”, które pochłaniają 80% czasu, energii i pieniędzy tzw. „ośrodków emigracyjnych” — co pozwoliło nam skupić się na istotnych celach politycznej emigracji.

Sąsiedzi

Sprawa Roberta Havemanna

Ogólne rozprężenie, jakie rośnie w bloku sowieckim pod wpływem, i nie tylko pod wpływem, kłótni Moskwa-Pekin, spędza coraz częściej sen z powiek Ulbrichta i jego kliki. Perspektywa rozłamów ideologicznego, a tym bardziej narodowego, w łonie komunizmu, była zawsze koszmarem dla komunistów w Niemczech Wschodnich. W sytuacji kraju podzielonego, w którym w odróżnieniu od Korei czy Wietnamu siłą przyciągającą jest ta część kraju, która się znajduje pod „jarzmem kapitalizmu” i w której socjal-demokracja jest partią masową i pretendującą do władzy, Politbiuro SED tęskni za owym „monolitem”, który był i bezpowrotnie minął.

Dlatego każdy nowy podmuch rewizjonizmu z krajów ościennych acz „zaprzyjaźnionych” wywołuje natychmiast ostrą reakcję tutejszych kacyków, oraz ostre pogotowie alarmowe mędrców w kwestiach ortodoksji doktrynalnej. Tak było za czasów rewolucji węgierskiej, w okresie polskiego wrzenia intelektualnego, tak jest obecnie w stosunku do zamętu ideologicznego, szerzącego się w Czechosłowacji i płynącego poprzez bratnią granicę na wschodnio-niemieckie ugory. Sprawa jest tym bardziej groźna, że grunt w pewnym sensie nie jest już tak znowu dziewiczy. Gleba została na tyle użyźniona w ciągu poprzednich kryzysów, które od czasu śmierci Stalina nieomalże permanentnie wstrząsają Niemiecką Republiką Demokratyczną, że każde nowe nasienie rewizjonistyczne bardzo szybko kiełkuje i puszcza podziemne pędy.

Po znanych nam protestach, czy mniej lub bardziej udanych próbach stawiania aktywnego oporu rządowi aparaczyków partyjnych w nauce i literaturze, doszła obecnie nowe i już głośniejsza afera z profesorem Havemannem. Po rewolcie grupy Haricha, odejściu profesorów Blocha i Mayera, obecnie, na początku 1964 roku, aparcyzycy z Politbiura i Komisji Ideologicznej SED rozpętali ofensywę przeciwko kierownikowi sekcji chemii fizycznej w Akademii Nauk i dyrektorowi Instytutu Chemii na fakul-

tecie nauk matematyczno-przyrodniczych, profesorowi Robertowi Havemannowi.

Zarzucono mu, iż w wykładach na uniwersytecie im. Humboldta, we Wschodnim Berlinie, wystąpił w duchu rewizjonizmu z postulatami przywrócenia w Niemczech Wschodnich całkowitej, niczym nieograniczonej wolności. Biuro polityczne potępiło w specjalnej rezolucji odchylenie rewizjonistyczne wybitnego fizyka, wykłady jego zostały zawieszono, chciano go nawet przenieść z Berlina gdzieś na prowincję, potem zaś usunięto go z partii i wreszcie odebrano mu katedrę.

Powodem awantury były wykłady Havemanna, przeznaczone dla słuchaczy ze wszystkich fakultetów, na temat: „Problemy filozofii z punktu widzenia nauk ścisłych”. Stały się one w ciągu kilku tygodni sensacją nie tylko dla studentów uniwersytetu we Wschodnim Berlinie. Co tydzień pod rozmaitymi pretekstami przyjeżdżali nad Szprewę studenci z uniwersytetów w Lipsku, Jenie i Halle. W auli, która może pomieścić 1400 osób, podczas dwóch godzin wykładów Havemanna kłębiło się ponad dwa tysiące młodzieży.

Tym razem sprawę rewizji urzędowej ideologii podniósł nie literat czy poeta, nie filozof, ale fizyk i chemik a zarazem specjalista w zagadnieniach atomowych. Robert Havemann, przedwojenny komunista, którego hitlerowcy w czasie wojny skazali na karę śmierci i który cudem tylko ocalał z celi skazańców, dokonał generalnego ataku na pozycję ortodoksyjne.

„Droga ludzkości ze świata konieczności w świat wolności jest trudna i pełna sprzeczności” — twierdził Havemann podczas wykładu w połowie grudnia ubiegłego roku. „Sposób życia ludzi prymitywnych nastroczał mało okazji do korzystania z wolności. Będąc ciągle zagrożony przez siły natury, człowiek pierwotny był zmuszony stale prowadzić trudną walkę o byt. Nie był więc wolny od głodu i biedy, nędzy i chorób. Nie mało grup ludzi pierwotnych wyginęło całkowicie w tej walce z naturą. W ogóle można powiedzieć, że właściwie stał się cud, iż człowiek, istota tak słaba w porównaniu z innymi stworzeniami, które mu zagrażały, zdołał się temu wszystkiemu oprzeć i przeżyć. Pod jednym względem pierwotne społeczeństwo ludzkie miało jednak przewagę nad naszym. Nikt nie miał w nim przywilejów. W społeczeństwie tym panował swego rodzaju komunizm. Ale był to komunizm nędzy i głodu. Polegał on na wspólnocie w obliczu niebezpieczeństwa i nędzy”.

Profesor Havemann przedstawiał swoim studentom proces poszerzania się zasięgu wolności, która początkowo stanowiła przywilej nielicznych. „W sposób naturalny wyłoniła się naprzód mała grupa wyzyskiwaczy. Ale tylko tą drogą był możliwy postęp ludzkości. Podział ubogich zdobywczy między wszystkich byłby je, praktycznie rzecz biorąc, unicestwił. Tylko nierówny podział powstałych dóbr przyczynił się do rozwoju kultury”.

Ale jednocześnie, wraz z zanikiem społeczności prymitywnej, człowiek zaczął tracić rozeznanie w szczegółach życia społecz-

nego. „Czym więcej człowiek uczył się panowania nad rzeczami, tym bardziej wpadał w niewolę tych rzeczy. W ten sposób powstało to, co Marks, ale też i inni przed nim, nazwali alienacją człowieka”.

Havemann nie zgadza się z oficjalną terminologią panującą w państwach i nauce bloku wschodniego na temat periodyzacji społeczności ludzkiej. Jak wiadomo, terminologia urzędowa twierdzi, iż ludzkość przeszła poprzez epokę społeczeństwa pierwotnego, niewolniczego, feudalnego i burżuazyjno-kapitalistycznego. Jego zdaniem były formacje, gdzie społeczności niewolniczej nigdy nie było, tak samo jak istnieją kraje, w których feudalizm przybierał formy zupełnie nieomal nieznane w Europie Środkowej.

Jako wybitny fizyk, Havemann zwraca uwagę na trudność przewidywania i odkrywania prawidłowości czy też w ogóle praw rozwoju ludzkości. Według niego „proces historyczny różni się od procesu w naturze swoją jednorazowością. W tej właśnie jednorazowości i nieodwołalności historycznego rozwoju tkwi główna trudność w ustalaniu praw tego przebiegu. I to jest jedną z przyczyn trudności, które powstają gdy się chce odkryć w jaki sposób te stosunki winny ulegać zmianom, tak aby bez naruszania i odrzucania prawidłowości procesów społecznych, ale właśnie przy ich pomocy, dokonywać świadomie przemian i dążyć do dalszego rozwoju”.

Havemann odrzuca pogląd, iż rzekomo ludzie przed odkryciem marksizmu nie mieli możliwości zorientowania się w stosunkach społecznych. „Byłoby też naiwnością myśleć, że my posiadamy możliwość traktowania skomplikowanych społecznych realiów bez trudności, zupełnie jasno i bezproblemowo”. Natomiast zapisuje na plus marksizmowi, iż udało mu się „dojrzeć, że historyczne procesy polegają nie na ludzkiej podłości i w ogóle na indywidualnych cechach moralności jednostek. Dlatego nieludzkich zjawisk w stalinowskiej epoce nie można wyjaśniać właściwościami osobistego charakteru Stalina. Chodziło raczej o wydarzenia w świadomości ludzi, masy i jednostek. Nie znaczy to jednak, że stalinizm odpowiadał historycznej konieczności.

Havemann mówił studentom, że widzi w stalinizmie „tragiczną możliwość” w rozwoju historycznym. Zresztą przykład wypadków po rewolucji październikowej stanowi według Havemanna częsty w historii dowód na to jak „rewolucja, która walczyła o wolność, równość i społeczną sprawiedliwość, zamieniła się we władzę absolutną jednostki... Bonapartyzm stanowi niebezpieczeństwo dla każdej rewolucji. Rewolucja, która walczyła w imię wolności, zmienia się po zdobyciu władzy. W ten sposób powstaje przejściowo taka sytuacja, iż walka przeciwko ciemnościom przemienia się w nowe jarzmo niewoli”.

W związku z tym Havemann protestuje przeciwko wszechwładzy tak zwanej ideologii. Przypominał o tym, że już Marks i Engels wykpił tę chorobę Niemców w pracy pt.: „Die deutsche Ideologie”. Dlatego, jego zdaniem, należy stwierdzić, że jeśli teraz ktokolwiek mówi o ideologii w sensie pozytywnym, to jest to

„nadużyciem” w stosunku do słowa „ideologia”. Używanie też terminów w rodzaju „Komisja ideologiczna” w odniesieniu do gremium, które powinno rozwijać stopień uświadomienia społecznego, jest „contradictio in adjecto”. Bo według Havemanna, celem ruchu komunistycznego winno być „usunięcie jakiegokolwiek ideologii”. Natomiast na miejsce „ideologii, czyli złudzenia typowego dla każdorazowej społeczności, winno przyjść uświadomienie”.

Z naciskiem stwierdza Havemann, że nie nauki przyrodnicze winny się podporządkować naukom społecznym lecz na odwrót, gdyż nauki przyrodnicze są starsze i daleko bardziej rozwinięte. Właśnie na skutek ignorowania tego faktu w bloku wschodnim powstała stagnacja w naukach społecznych. Przez lekceważenie nauki nastąpił zastój w socjologii, ignorancja w cybernetyce.

Najfatalniejszym jednak zjawiskiem, niewołącym wolność jest, zdaniem Havemanna, „mechaniczno-materialistyczne myślenie przyczynowe”, typowe nie tylko w stosunku do „reakcyjnych” nosicieli, ale i dla „progresywnych” przedstawicieli tej idei. Jest to fetyszizm planowania. Osobnikiem tego typu „całe, pełne przeciwieństw, kompleksowe życie społeczeństwa przedstawia się jak jakaś olbrzymia maszyna”. Jest to utopijna formacja myślowa. Z takim myśleniem nie sposób „włączać się w procesy swobodnie i twórczo, lecz można tylko operować wulgarnie i mechanicznie. „Bo wolność ma tylko tam prawo być nazywana wolnością, jest tylko tam godna wysiłków” — mówił Havemann do rzesz studentów — „i jest tylko wówczas moralna, jeśli nie jest wolnością dla kilku, lecz dla wszystkich, gdy każdemu człowiekowi daje szanse podejmowania decyzji według własnej woli i według własnych życzeń”.

BERLIŃCZYK

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Kraj

Obchody, pochody, zachody

Obchody

Za parę miesięcy, w dwudziestolecie ogłoszenia manifestu tzw. Komitetu Wyzwolenia Narodowego, tj. 22 lipca, wypadnie zapewne kulminacyjny punkt obchodu dwudziestolecia istnienia „Państwa Ludowego” w Polsce.

Trwają już na szeroką skalę zakrojone przygotowania. Załogi poszczególnych zakładów produkcyjnych przyjmują na siebie „dobrowolne” zobowiązania, że „osiągną”, że „zrealizują”, że „przekroczą”, lub co najmniej, że „wykonają”. Przygotowywane są niekończące się „gomułogodziny” pogadanek, prelekcji i referatów, gdzie przy pomocy mniej lub więcej podfałszowanych danych statystycznych przedstawiane będą osiągnięcia „władzy ludowej”. Ukazały się nakładem MON-u opisy bojów partyzanckich, których celem jest stworzenie bądź utwierdzenie starannie montowanej legendy o roli tych walk dla swobodzenia Polski spod okupacji niemieckiej. Przy okazji wyciąga się na piedestał postacie wybitniejszych partyzantów, otwierając im drogę do zaszczytów partyjnych i rządowych, które w ciągu 1964 roku mogą ulec nowej redystrybucji.

Gorączkową działalność w akcji przygotowania obchodu rozwija przewodniczący Rady Państwa, Zawadzki, co też nie jest pozbawione realnej kalkulacji politycznej. Ponieważ IV Zjazd PZPR odbędzie się w czerwcu, to może być rzeczą niewygodną ruszanie dostojnej osoby „prezydenta” Zawadzkiego, reprezentującego majestat Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z Biura Politycznego Partii. Nowe biuro polityczne ukonstytuuje się zaraz po zjeździe, czyli tuż przed kulminacyjnym punktem obchodów dwudziestolecia. Czy dzięki tak dziwnemu zbiegowi okoliczności Zawadzki miałby przetrwać? Jeszcze kiedy przed rokiem blisko, w okresie XIII Plenum knajpy warszawskie rozbrzmiewały głośnym gwarem, tonących w oparach wódki zwyczajców Zambrowskiego, to

przysięgano sobie że w przyszłym, tym pozjazdowym, Biurze Politycznym alfabet będzie skrócony i nikogo na literę „Z” nie będzie. Nazwisko Zawadzkiego nie powtarza się i na ostatnio spisanych karteczkach, zawierających przewidywania aktywistów partyjnych co do przyszłego składu Biura. Niespodzianki chodzą jednak po ludziach, może więc i Zawadzki...

Jeszcze rok temu sprawa obchodu dwudziestolecia nie miała wydźwięku politycznego. Miała to być wielka szopa dla publiczności i nic poza tym. Wszystko się jednak zmieniło przez fatalne dla reżymu okoliczności w jakich ten obchód wypada: wzrost cen towarów i usług, a w jego konsekwencji — spadek płac realnych, liczne redukcje, zarówno w biurach, jak i w zakładach fabrycznych (1), widzialny już dla każdego bałagan w planowaniu, bałagan w zarządzaniu przemysłem, bałagan w organizacji produkcji rolnej, bałagan, bałagan, bałagan...

Jako antidotum na bałgan jest tylko jedno: zamordyzm. Ale jest to zamordyzm, który nie zmniejsza bałaganu, tylko go powiększa, bo chodzi w rzeczywistości o porachunki między klikami partyjnymi, o zajęcie pozycji wyjściowych w perspektywie IV Zjazdu partii.

Narzucone przez „czynnik decydujący” na XIII Plenum *treuga Dei* między klikami i kliczkami wewnątrzpartyjnymi (przy użyciu licznych przykładów jak to paryska „Kultura” uprawia „dywersję”, obliczoną na dyskredytację władzy ludowej i osłabienie roli partii w społeczeństwie) — skończyło się. Chodzi przecież o to, kto w najbliższej przyszłości będzie decydował o dostępie do posad i synekur, który z magnatów partyjnych utrzyma się przy władzy, a który ją utraci, czy wreszcie kto się do niej dorwie. Walka ukryta przed oczyma niepowołanych, lecz niemniej zawzięta, rozgorzała znów z całą siłą, przykryta tylko pozornie dyscypliną partyjną i obowiązkiem narzuconym z góry utrzymania jednolitego frontu wobec, a w rzeczywistości — przeciwko społeczeństwu.

W tych okolicznościach obchody dwudziestolecia nabierają nagle nowego znaczenia. Idzie o to, by odwrócić uwagę od złej sytuacji gospodarczej, której nic nie usprawiedliwia, prócz nieumiejętności rządzących. Będzie więc mowa o tym, jak to było przed dwudziestu laty, jak było w okresie międzywojennym, a wiele od tego czasu stali, a wiele węgla itd. itd. — tak jak gdyby na całym świecie w ciągu dwudziestolecia powojennego nie nastąpiły zasadnicze przemiany dzięki którym kraje zamożne stały się krajami bogatymi, kraje biedne zamożnymi, a nawet najbiedniejsze podniosły bardzo znacznie swą produkcję przemysłową i co ważniejsze — stopę życiową ludności.

Najróżnorodniejsze „circenses” tylko na bardzo krótko mogą odwrócić uwagę społeczeństwa od braku chleba. Pisał o tym nie

(1) PRL liczy dziś około miliona bezrobotnych. Cyfrę tę kamufluje się m.in. tym, że zwalnia się w pierwszym rzędzie tzw. robotniko-chłopów.

kto inny jak Marks. A także Lenin. Nie inaczej będzie z fajerwerkami przygotowywanymi na Święto Lipcowe.



Obchody dwudziestolecia nie będą jedynymi obchodami roku 1964. Dziwnym zbiegiem okoliczności w roku tym wypada sześćsetlecie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Będzie to także okazja do obchodu. Obchodu, z racji którego zabijają żywiej serca Polaków w Polsce i na świecie — o ile... O ile zgłajchszaltowane coraz bardziej radio, prasa i telewizja nie robią z tego jakiejś potwornej szmiry, przy pomocy znanego krakowskiego karierowiczostwa. Może tak jak z filmu „Krzyżacy” dowiedzieliśmy się o decydującej roli „oddziałów smoleńskich” w bitwie pod Grunwaldem oraz o tym, że była ona właściwie zwycięstwem „całej Słowiańszczyzny”, to nagle dokonane zostanie odkrycie, że jednym z nieznanych dotąd dobrodziejów krakowskiej Alma Mater był np. Dymitry Donskij.

Pochody

Wydarzeniem roku 1964 w Polsce, w sensie politycznym nie będzie jednak żaden z obchodów, tylko IV Zjazd partii. Paradoks sytuacji polega na tym, że zjazd ten będzie wydarzeniem nawet wówczas kiedy — jak coraz powszechniej się mówi — nie dojdzie na nim do bardziej istotnych przesunięć w układzie sił wewnątrzpartyjnych. Brak zmian oznaczać będzie bowiem przecięcie lub odsunięcie na czas jakiś nadziei wszystkich tych, którzy przebieg zjazdu widzieli jako ostatni etap triumfalnego pochodu ku władzy.

Idzie tu przede wszystkim o tzw. „partyzantów”, gdyż oni właśnie w pierwszej linii wiązali swe nadzieje z wynikami IV Zjazdu. Jeszcze przed rokiem mogło wyglądać na to, że nic ich w tym dążeniu nie zatrzyma, zwłaszcza gdy dostali wreszcie głowę Zambrowskiego. Ale właśnie wtedy, tj. w okresie XIII Plenum, sprawy zaczęły się poważnie komplikować, a fatalną dla nich okazała się nie litera Z a litera S partyjnego alfabetu politycznego.

Pozycją szturmową „partyzantów” był w okresie przed XIII Plenum przede wszystkim Strzelecki, wyniesiony przez nich na stanowisko jednego z sekretarzy KC partii. Rozwinął on szeroką działalność na tzw. froncie kulturalnym przeprowadzając czystki w telewizji, obsadzając swoimi ludźmi redakcje czasopism i dzienników. Jego dziełem jest skasowanie „Przeglądu Kulturalnego” i „Nowej Kultury”, oraz założenie wilhelmińskiej „Kultury”.

W swojej nie liczącej się z nikim i niczym działalności, Strzelecki popełnił wiele błędów. Prymitywizm połączony z wodą sodową, która uderzyła mu do głowy, spowodowały, że zamiast w pozycji triumfatora na XIII Plenum znalazł się na cenzurowanym.

W kołach aparatu KC nie jest tajemnicą, że Strzelecki miał nieostrożność nastąpić na nagniotki Kliszki, czy nawet pośrednio — samego Gomułki. W rezultacie decyzje personalne na XIII Plenum nie zapadły bynajmniej jednostronnie na korzyść partyzantów. Wprost przeciwnie — w nieprzychylniej dla ich planów literze S wyrósł przed ich oczyma do roli sekretarza KC, Starewicz, który miał być jedną z pierwszych ofiar ich akcji „oczyszczającej”. W ręce Starewicza dostał się cały, zarządzany przedtem przez Strzeleckiego odcinek działalności na froncie kulturalnym, no i niektóre papiery.

Z papierów tych można było odszyfrować, jaki charakter miała działalność Strzeleckiego w telewizji, jakie miał zamiary co do radia, a także jak wyglądał jego plan bardzo ścisłego wzięcia za mordę prasy poprzez RSW „Prasa”, która jest wydawcą praktycznie niemal wszystkich gazet i czasopism, ukazujących się w Polsce. Strzelecki wyparł się wprowadzić inicjatywę pomysłu wywarcia na prasę nacisku najbardziej prymitywnym, najzupełniej administracyjnym, sposobem i wszystko się skupiło na autorze memoriału, jednym z dyrektorów „RSW Prasa”, ale wyszedł z tej sprawy z podciętym autorytetem, do tego stopnia, że wśród niektórych partyzantów toczono są dyskusje, w jakiej mierze Strzelecki może być jeszcze uważany za pozycję do wygrania, a w jakiej jest już tylko obciążeniem. Pozycji Strzeleckiego nie pomógł nawet artykuł wydrukowany w jednym z głównych organów prasowych Wielkiego Brata. Błogosławieństwo Moskwy nie jest bowiem już tak wszechstronnie leczącym balsamem jak dawniej. Strzelecki jest nieufnie obserwowany przez ważniejszych od niego i jeśli litera S miałaby się wzbogacić o nowego członka Biura Politycznego, to chyba nie o niego.

Przegrana (w pewnym zakresie) Strzeleckiego nie stanowi jeszcze bynajmniej o wyraźnym i jednostronnym zwycięstwie Starewicza. W niższych kołach partyzanckich twierdzą, że tak nienawistnie przedstawiony w książce Moczara łącznik radiowy, który odmówił zwrócenia się o pomoc do oddziałów radzieckich, dzięki czemu Niemcy mogli wyniszczyć otoczony oddział partyzantów, to właśnie Starewicz. Nie odpowiada to chyba prawdzie, ale jest charakterystyczne dla atmosfery, jaką w szeregach robi się dookoła Starewicza. Po pierwszym szoku jaki spadł na partyzantów po XIII Plenum, z powodu porażki Strzeleckiego i sukcesu Starewicza, nastąpiło ponowne zwanie oddziałów. Otoczono Starewicza w sposób, odbierający mu możliwość działania. Nowy kierownik Wydziału Prasy, na miejsce Starewicza przeprowadza po ciachu polecenia partyzantów.

W redakcjach przeprowadzane są więc czystki, a na stanowiska do obsadzenia delegowani są ludzie pozostający w rękach partyzantów, czy po prostu Bezpieczeństwa. M.in. szybką karierę zrobił J. Kolczyński, który jeszcze w czasie studiów w INS, a następnie w pracy w aparacie KC znany był jako informator Bezpieczeństwa. W wilhelmińskiej „Kulturze” dostał polecenie napisania artykułów ostrzegających przed dywersyjną działalnością

paryskiej „Kultury” i Radia Wolna Europa. W nagrodę za spełnioną misję mianowany został zastępcą redaktora naczelnego „Świata”, by zastąpić tam poprzednio wykonywującego rolę wtyczki aparatu Bezpieczeństwa jednego z redaktorów, który wysłany został za granicę. Redakcja „Świata” nie jest najważniejszą. Ale partyzanci w prasie, po zawaleniu się ich projektu opanowania czasopism i gazet poprzez RSW Prasa, postępują ostrożnie. Nie gardzą i mniejszymi pozycjami jak „Stolicą”, czy „Dokoła Świata”. A sam „Świat” nie taki znowu nieważny. Redaktorem naczelnym jest Arski, jego zastępcą — Brodzki — ludzie bliscy Cyrankiewicza. Niełatwo to orzech do zgryzienia, bo i nie takich on widział ze swojego fotela premierowskiego. Nie traci on spokoju, ani refleksu. Z zimną krwią opuścił Zambrowskiego, z którym przecież nie tak znowu dawno był w sojuszu. Z umizgami do partyzantów w sumie mu jednak nie wychodzi. Wygląda ciągle na to, że listę alfabetu członków Biura Politycznego partyzanci gotowi będą zwęzać nie tylko od końca, ale i od początku, a więc i od Z i od C.

Zachody

Tak więc triumfalnego pochodu partyzantów i ich szturm w czasie IV Zjazdu raczej chyba nie będzie. Czy jednak będzie to oznaczać że nic się nie zmieni? Wydaje się to mało prawdopodobne, chociaż zapewne sam czynnik decydujący, jak i niektórzy z jego najbliższych w gruncie rzeczy tego właśnie może by sobie życzyli.

Może zmiany nie będą tak duże i tak jednostronne, jak tego chciałyby zaangażowane w rozgrywkę grupy, ale zbyt dużo roboty techniczno-przygotowawczej do przeprowadzenia tych zmian zostało przeprowadzone, zbyt głęboko i silnie tkwi wola rozgrywki i zbyt duża jest stawka w podziemnej walce przeciwstawnych tendencji. Zbyt ponura jest sytuacja kraju a wreszcie — *least but not last* — zbyt wiele jest elementów niosących nowe sytuacje w wydarzeniach jakimi został objęty międzynarodowy ruch komunistyczny, żeby miało się skończyć całkiem „na remis”.

O innych sprawach, a przede wszystkim o XV Plenum — w następnej korespondencji.

Sprawy gospodarcze

Wspólny Rynek : efemeryda czy punkt zwrotny?

Prymat ekonomii

Waga, cóż dopiero prymat spraw ekonomicznych jest zjawiskiem nowym. W starożytności, w średniowieczu, nawet w Wieku Oświecenia „kondycja” ubogich wydawała się wszystkim, łącznie z reformatorami, wynikiem praw natury, zarządzeń Opatrzności. Rewolucje, przewroty sprowadzały się do stworzenia nowej klasy posiadającej, po wydziedziczeniu, wypędzeniu czy wymordowaniu poprzedniej. Myśl podniesienia standardu życia mas była obca najświatlejszym nawet władcom, bo stopa życiowa nie zmieniała się przez stulecia. Pobożne życzenie (bo nie zrealizowane) Henryka IV, by każdy Francuz miał w niedzielę kurę w garnku (innymi słowy, by każdy Francuz mógł raz na tydzień jeść mięso) znajduje się dotąd we wszystkich francuskich podręcznikach historii i wymownie świadczy, jak bardzo sama myśl taka było niezwykła, osłupiająca.

Ta mentalność tkwi dotąd we wszystkich krajach niedorozwiniętych: podejrzewam, że w krajach arabskich i murzyńskich, gdzie przewrotów jest bez liku, chodzi tylko o zamienienie jednej oligarchii, jednej klasy pasożytniczej drugą, a nie o choćby najskromniejsze reformy, najmnijszą chociażby próbę podniesienia stopy życiowej ludności, pomnażającej się zresztą w nieprawdopodobnym tempie (ludność Indii np. wzrosła o równo 71 milionów ludzi w ciągu ostatnich 10 lat, czyli „zjadła” cały teoretyczny przyrost dochodu społecznego). Ale i Europa pozbyła się tej mentalności bardzo powoli. Jest faktem, że w pierwszym okresie uprzemysłowienia, gdzieś do roku 1850, stopa życiowa proletariatu nie wzrastała wcale, może nawet była niższa, niż w wieku 18-ym — tyle tylko, że go było więcej, że ludność się mnożyła. Zupełnie jak dzisiaj w Azji, w Afryce, w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej. Myśl o stopie życiowej, a więc i o ekonomii, jako filarze

Artykuł dyskusyjny (Redakcja).

polityki, jako o celu działalności państwa, jako o mierniku znaczenia międzynarodowego zdobyła prawo obywatelstwa dopiero po drugiej wojnie światowej.

Wojskowi przewidują

Ale jest i drugi powód, który dzisiaj skłania polityków *tout court* (mówię o politykach poważnych, a nie o romantykach i fantastach) do koncentrowania swej uwagi i swych wysiłków na sprawach gospodarczych. Dawne mierniki potęgi i znaczenia — siły zbrojne i dyplomacja — zawiodą w epoce szybkich i głębokich zmian technologicznych. Znany wojskowy historyk angielski, Lydell Hart, przytacza w swych dziełach cały szereg kwiatków, świadczących o bezgranicznej głupocie najwybitniejszych wodzów angielskich w 19-y i 20-y wiek. Oto niektóre, na chybił — trafił:

Pierwszy Lord Admiralicji (minister marynarki) do swych kolegów w gabinecie w r. 1828: „Ich Lordowskie Mości *the Sea-Lords*, (czyli sztab morski) uważają za swój święty obowiązek zrobić wszystko, co jest w ich mocy, by przeszkodzić rozpowszechnieniu się statków i okrętów parowych, albowiem uważają, że wprowadzenie pary (przez Amerykanów) zmierza do zadania śmiertelnego ciosu supremacji morskiej Imperium (sc. brytyjskiego)”. Powtarzam — rok 1828, w 25 lat po pierwszych próbach Fultona.

Z tejże księgi mądrości admiralicji brytyjskiej. Rok 1917, styczeń. Lloyd George chce wprowadzić system konwojów, by przeciwdziałać atakom niemieckich U-Bootów. Admiralicja do premiera: „System łączenia kilku statków w konwojach nie może być przez nas zalecony na morzach, gdzie ataki nieprzyjacielskich łodzi podwodnych mogą wchodzić w rachubę” (Właśnie system konwojów uratował Anglię od wygłodzenia, i to już poczynając od maja tegoż 1917 r.).

Ciż sami Lordowie Morza, a więc sztab admiralicji, pisali do gabinetu w roku 1937, na dwa lata przed wybuchem drugiej wojny światowej: „Łódź podwodna już nigdy nie będzie w stanie nam zagrażać, jak to uczyniła w roku 1917. Niebezpieczeństwo łodzi podwodnych należy uznać dzisiaj za niestniejące i niemożliwe”. Wiemy, co się działo w czasie drugiej wojny światowej, kiedy U-Booty Raedera i Doenitza znowuż omal nie przypały Anglii do muru.

Rzecz jasna, War Office czyli ministerstwo wojny nie mogło pozostać w tyle za Admiralicją w swoich wizjach przyszłości.

Jeszcze w roku 1925, w liście do *Times'a* feldmarszałek Lord Haig, naczelny wódz angielski w latach 1915-1918, pisał *à propos* książki tegoż Hart'a o przyszłości wojny: „Mamy entuzjastów, którzy przepowiadają zanik kawalerii i dowodzą, że w przyszłych wojnach samolot, czołg i wóz opancerzony zastąpią konia... Jestem absolutnie przekonany, że w miarę upływu czasu Anglia się

przekona, iż koń, oczywiście dobry koń, okaże się równie konieczny dla prowadzenia wojny jak był nim zawsze w przeszłości”. To była prorocza opinia, już w roku 1925, najbardziej doświadczonego wodza, którego Anglia miała — chodzącego w glorii hrabiowskiego tytułu, orderu Podwiązki, buławy marszałkowskiej etc.

Tenże sam wielki wódz, wówczas jeszcze jako Sir Douglas Haig i dowódca *British Expeditionary Corps* we Francji, pisał do War Office w roku 1915: „Karabin maszynowy jest bardzo przereklamowaną bronią. Dwa karabiny maszynowe na batalion — to aż nadto”.

A sam ówczesny minister wojny, Feldmarszałek Lord Kitchener, wódz wstawiony walką z Derwiszami, oświadczył na pierwszym pokazie pierwszego czołgu w dziejach na poligonie w Aldershot w rok 1916: „Tak, to ładna mechaniczna zabawka”.

Oczywiście — to tylko jedna tysiączna wypowiedzi, które Lydell Hart zebrał. W innych krajach było nie lepiej, a gorzej. W najlepszym razie „fachowcy” zwracali uwagę na JEDNĄ nową broń. Już to było i jest dotąd uważane za sukces wyjątkowy: i tak płk de Gaulle trafnie ocenił wartość wojsk pancernych, jako broni specjalnej, natomiast nigdy nic nie napisał ani o roli lotnictwa bombardującego, ani nawet podtrzymującego. Dzisiaj każdy generał amerykański ma też swego konika: ten bomby wodorowe, ten rakiety, żaden nie obejmuje całości. Cywile zawsze lepiej ogarniali problemy wojskowe. Hitler przeforsował (niestety) dywizje pancerne i lotnictwo wspierające wbrew zaciętej opozycji szefa sztabu Becka i inspektora armii v. Fritscha, którzy obaj wierzyli tylko w piechotę.

Politycy też strzelają kulą w płot

Nie lepiej się udają przepowiednie politykom i dyplomatom. Weźmijmy przykłady pierwsze z brzegu. *Communauté* francuska z r. 1958 zaraz się rozleciała. Statut Cypru, ułożony po długich targach w Zurichu w r. 1960, przetrwał zaledwie cztery lata. Układ o Saarze z 1957 r. — tysiąc artykułów — okazał się w rok później zupełnie nierealny. Pakt bagdadzki był stale fikcją. Seato czyli pakt obrony południowo-wschodniej Azji pozostał zawsze martwą literą. Statut Triestu nie wytrzymał próby życia, trzeba było tego potworka podzielić między Włochy a Jugosławię. Statut dla Süd-Tirol vel Alto-Adige nigdy nie został zrealizowany. Wiemy aż zbyt dobrze, jaka była realna wartość postanowień jałtańskich o „wolnych wyborach” etc. Unia Bałkańska ani przez chwilę nie przestała być czysto papierowa. Ba, Unia Zachodnio-Europejska (*Western Union*), znegocjowana i zmontowana przez dwie najcięższe głowy Zachodu (przynajmniej tak wówczas mówiono), to znaczący Edena i Mendès-France'a w roku 1954, nigdy nie nabrała rumieńców: skończyło się na trzech posadach trzech generalnych sekretarzy, Anglika, Francuza i Niemca, którzy wszy-

scy trzej tak nic nie mieli do roboty, że rozjechali się do domów, a ich gabinety w Lancaster House w Londynie już od ośmiu lat stoją puste. Dawny, tradycyjny, klasyczny karusel wizyt, konferencji, przyjęć, rewizyt, uznania, de-uznania, zbliżenia, naprężenia, noty, sprostowania, protestu, odrzucenia protestu trwa, trwa jak najbardziej, personel dyplomatyczny wzrasta (w samym Londynie korpus dyplomatyczny akredytowany przy Dworze św. Jakuba wynosi przeszło sześć i pół tysiąca osób, figurujących na liście dyplomatycznej), ale co z tego? Kamienie młyńskie są ogromne, ale maki nie ma. Mielenie odbywa się w próżni.

Na tle ciemnicy zupełnej, w której dzisiaj się kręcą wojskowi, którzy w najlepszym razie mogą przewidzieć przebieg pierwszych sześciu godzin przyszej wojny światowej, na tle zupełnej impotencji nawet najzręczniejszej i najbardziej wyrafinowanej tradycyjnej dyplomacji, polityka gospodarcza i jej arkana wyrażają na REALPOLITIK. Świat dzisiaj wygląda zupełnie inaczej niż w roku 1947. Europa wygląda dzisiaj zupełnie inaczej niż w po wojnie. Co się zmieniło? Granice są takie, jak po Jałcie i Poczdamie. Rosja jest nadal największą w Europie potęgą wojskową. Zjednoczenia Zachodniej Europy jak nie było, tak nie ma. Ale ta zachodnia połąć z nędzarskiej stała się bogata. A wschodnia połówka była w nędzy i jest w nędzy. Oto różnica. Oto dlaczego problem Wspólnego Rynku wyrasta do roli centralnego problemu polityki europejskiej.

Duchowa filiacja idei Wspólnego Rynku

Myśl zjednoczenia Europy datuje się przynajmniej od czasów Cesarstwa Rzymskiego. Jeżeli ówczesne granice Rzymu nie przekroczyły Menu i Dunaju, to zapewne głównie ze względów klimatycznych: są wszelkie dane do przypuszczenia, że ówczesna Wschodnia Europa była dużo zimniejsza od dzisiejszej, że przeto Rzymianie uważali ją za rodzaj Syberii. Potem Karol Wielki — Charlemagne — próbował znowu Europę zjednoczyć. W dużej mierze udało się to Kościołowi w wiekach średnich. Próby Karola V i Ludwika XIV, przybrane w formy dynastyczne, były mniej udane, ale też, w teorii przynajmniej, zmierzały do stworzenia jakiejś Europy — kontynentalnej, bo bez Anglii; Zachodniej, bo bez Rosji; chrześcijańskiej, bo bez Turcji. Napoleon dążył w tymże kierunku, ale na większą skalę; można nawet podobne zamiary odczytać w niedołężnej i zygagowatej polityce „narodowościowej” Napoleona III. Koncert mocarstw, wymysłony w 1815 r. przez Metternicha, reaktywowany przez Bismarcka po r. 1870, potrafił *cahin-caha* (w tym kontekście zwrot ten jest dużo trafniejszy, niż gdy mowa o konstytucji Stanów Zjednoczonych) też dać Europie 44 lata pokoju. Ale dwie potworne wojny światowe, które z Europy zrobiły skrwawioną ścierkę, przekonały najsceptyczniejszych, że sam koncert mocarstw nie wystarczy. Zależność Europy od dwóch kolosów, zależność, która, jeżeli chodzi o Amerykę

nie była wynikiem jej politycznych zamiarów, lecz wynikała z natury rzeczy, to znaczy ze skłócenia Europy, skłoniła polityków i ludy do poglądu, że coś trzeba zrobić, że to co zostało z Europy trzeba jakoś zjednoczyć, że w okresie państw kontynentalnych tylko zjednoczenie może Europie przywrócić jej dawne miejsce w kolegium świata. Idea Europy uzyskała *a sense of urgency*, którego dawniej nie miała. Ten *sense of urgency* nie był zresztą wszędzie jednaki. Był słaby w Anglii, która uchroniła się przed inwazją i okupacją — i, jak zawsze, ludy są skłonne sądzić, że to co raz się udało, uda się i po raz drugi (my tak samo dotąd marzymy, że wyjątkowa koniunktura 1918 r., to znaczy jednocześnie zawałenie się i Niemiec i Rosji cudem jakimś się znowu powtórzy!), więc Anglicy nadal upierają się przy teorii, że Anglia może sama jedna, bez związków federalnych z resztą Europy, utrzymać swą pozycję imperialną i światową. Szwajcaria i Szwecja zdołały dwukrotnie uratować neutralność: więc marzą, choć z coraz słabszym przekonaniem, że znowu się to udać może.

Jeszcze jedną głęboką zmianę w mentalności narodów europejskich wywołała ostatnia wojna, mianowicie przekonała plus minus całą opinię europejską, dawne narzędzia dyplomacji europejskiej, to znaczy ambasady, narady ministrów spraw zagranicznych, wizyty głów państwa nie wystarczają dla posunięcia naprzód spraw europejskich, coś dopiero ich rozwiązania. Właśnie Anglia z uporem kontynuowała te tradycyjne wysiłki, i dzisiaj musi konstatować, że dają tylko bardzo nikłe rezultaty. Okazało się, że zalecane przez Londyn wizyty głów państwa niczego nie załatwiają, że rozmowy dyplomatów nie poruszają już opinii, że traktaty którym nie towarzyszą *stałe realizacje*, stałe postępy, wiotczącą i stającą się bardzo szybko traktatami papierowymi.

Europa także zwątpiła w alianse, specjalnie w alianse „egzotyczne”. Wszystkie przymierza angielskie na Bliskim Wschodzie, czy to z Grecją czy z Turcją, czy ostatnio choćby ze słabiutkim Cyprem runęły; tak samo z Bagdadem, z Jordanią, z Egiptem przed-Nasserowskim. Zawiodły próby tzw. zbliżenia, jak np. Anglii z Tito czy choćby Tito z Grecją i Turcją w tzw. Unii Bałkańskiej. Nasza stara Europa widziała już wszystkie możliwe kombinacje dyplomatyczne, włączając w to najdziwniejsze, jak kombinację hiszpańsko-holenderską Filipa II, francusko-szwedzką kardynała Richelieu i wiele innych równie bezsensownych. Widząc plajtę dyplomacji Europejczycy doszli do wniosku, że Europie przyszłości można budować tylko albo na wspólnej „ideologii”, albo na wspólnych interesach ekonomicznych. Sowiety wybrały pierwszą drogę (plus policję, terror i hegemonię wojskową), Zachodnia Europa — drugą.

Laufry Wspólnego Rynku

Zaraz po 1945 r. namnożyło się organizacji plus minus politycznych i „ideologicznych”, które miały pracować na rzecz Zjed-

noczonej Europy. Oto krótka lista, bynajmniej nie wyczerpująca: *United Europe Movement*, *Conseil de l'Europe*, *Ligue Européenne*, *Nouvelles Equipes Internationales* (ruch katolicki), *Mouvement Socialiste pour les Etats Unis d'Europe*, Unia Federalistów Europejskich, Związek gmin i municypalności europejskich, Europejska Unia Parlamentarna, Komitet Akcji na rzecz Jedności Europejskiej etc. Niektóre z nich znikły, inne trwają i działają po dziś dzień. Ale wpływ tych Lig, Związków i pseudoparlamentów był i jest niewielki.

Czysto polityczne próby tworzenia Europy spotkał ten sam los, wszystkie były *morts-nés*. Kto dzisiaj pamięta, że rzekomo „wybitny” Bevin znegocjował bodajże w 1947 r. jakiś pakt czy alians Anglii, Francji, Włoch, Belgii i Holandii, który miał bronić Europy przeciw „agresji niemieckiej”? Nigdy później o tej fikcji nie słyszano. EDC (*European Defence Community*), która miała początkowo obejmować także Anglię, a po jej odmowie już tylko dzisiejszą Szóstkę, zginęła bez chwały latem 1954, zamordowana w parlamencie francuskim wspólnymi wysiłkami Mendèsa i gaullistów. Unia Zachodnio-Europejska z r. 1954 pozostała zawsze tworem papierowym. Co więcej, Benelux, czyli Unia celna między Belgią, Holandią i Luksemburgiem nigdy nie zamieniła się w rzeczywistość. Tak samo nikt dzisiaj nie pamięta, że w 1947 roku Robert Schuman i de Gasperi podpisali układ o unii celnej włosko-francuskiej. Znowuż ten traktat, choć ratyfikowany, nigdy się nie doczekał choćby początku realizacji.

Pierwsze konkretne kroki

Historycy Wspólnego Rynku zwykle zaczynają dzieje praktycznych posunięć, które doprowadziły do powstania Wspólnego Rynku od tzw. planu Schumana, czyli Wspólnoty Węgla i Stali. Jest to błąd. Pierwszym krokiem na drodze gospodarczego zjednoczenia Zachodniej Europy był PLAN MARSHALLA (r. 1947) i organizm specjalnie powołany do życia (r. 1948) dla jego realizacji OEEC (inicjały angielskie) dla rozdziału hojnej pomocy amerykańskiej. Drugim krokiem było stworzenie (w r. 1950) *European Payments Union*, znowuż w ramach planu Marshalla, która stanowiła załączek nowego systemu monetarnego Europy. Trzecim krokiem wreszcie były posunięcia samych rządów europejskich, które doprowadziły do liberalizacji turystyki. Wspólny Rynek turystyczny wyprzedził o dobrych pięć lat Wspólny Rynek *tout court*, stanowił wzór, zachętę, i przykład.

W przeciwieństwie do UNRRA, która ratowała Europejczyków przed śmiercią głodową, a więc była pomocą humanitarną, a nie gospodarczą, Plan Marshalla i OEEC miały postawić na nogi zniszczoną, zrujnowaną gospodarkę europejską. Żaden plan pomocy w dziejach świata nie był nigdy zakrojony na tak wielką skalę, żaden się też tak nie udał. Ale był to z natury rzeczy plan

czysto amerykański, finansowany przez Amerykę, obmyślony przez Amerykę, w dużej mierze narzucony przez Amerykę. Umożliwił on odbudowę ruin, inwestycje, odbudowanie walut i rezerw dewizowych, odbudowę handlu europejskiego, walut europejskich, jakichś załączków europejskiego systemu kredytowego. Bez tej hojnej pomocy Wujka Sama odbudowa i regeneracja Europy potrwałaby znacznie, ale to znacznie dłużej: bez niej nie mogłoby być mowy, byśmy dzisiaj mieli na Zachodzie Europy ten standard życia, tę stopę życiową, z której dzisiaj korzystamy, jednocześnie wymyślając a raczej pyskując na Amerykanów od rana do wieczora. Natomiast rozluźnienie barier dla turystyki, szybkie wyzyskanie tego źródła bogactwa, które na pewno pozostanie nieomal monopolem Europejczyków — to już zasługa rządów europejskich. Tak samo długa droga krzyżowa rozluźniania jakże szkodliwych sztucznych kursów walut, przepisów i barier dewizowych — to znowuż, po inicjalnym zastrzyku dolarów, głównie zasługa rządów europejskich i to kontynentalnych, bo City od pierwszej chwili się od Europy odwróciła, skupiając całe swe zainteresowanie na avoirach dolarowych i na finansowaniu *Commonwealthu*, a także Środkowego Wschodu (nafta), słowem wracając do okropnej polityki międzywojnia, kiedy to Londyn stale wypompowywał kapitały i nawet płynne rezerwy z Europy, by je lokować w Nowym Yorku, w Kanadzie, w Rodezji, w Australii, w Nowej Zelandii, nawet w Jamaice. Dzisiaj kiedy Anglicy tak załamują ręce nad tym, że ich „nie wpuszczono” do Europy, trzeba jednak uwzględnić, że tę Europę Anglicy do bardzo niedawna bojkotowali nie tylko handlowo, ale także kredytowo, bankowo, kapitałowo, ba nawet turystycznie — iluż Anglików faworyzowało *cruises to the West Indies* w czasach gdy nawet Riviera, nawet Italia witały każdego turystę z funtami, jak Krezusa, jak zbawcę!

Plan Schumana

Z planem Schumana wchodzimy do okresu, który łączy się już bezpośrednio z powstaniem Wspólnego Rynku. Plan Marshalla, *Union des Payments Européens*, OEEC obejmowały omal wszystkie państwa Zachodniej Europy na Zachód od Żelaznej Kurtyny. Plan Schumana natomiast ogranicza się do Francji, Niemiec, Włoch, Belgii, Holandii i Luksemburga. To jest fundamentalna i zasadnicza różnica, i różnica, która okazała się trwała, skoro po dziś dzień Szóstka istnieje, jako odrębna część Europy. Dlaczego ten podział, i dlaczego okazał się trwały?

Powód jest oczywisty. Anglia została natychmiast zaproszona przez Schumana oraz Monneta, istotnych twórców Wspólnoty Węgla i Stali, na członka założyciela: to Anglia, i to już Anglia konserwatywna, za drugiego premierostwa Churchilla, która brutalnie odmówiła udziału. Dlaczego inne państwa europejskie — poza Szóstką — nie przystąpiły? Tu sprawa jest bardziej skom-

plikowana. Poza Szóstką i Anglią — i oczywiście państwami zakurtynowymi, satelickimi, którym Rosja odebrała niepodległość i zabrała należeć do Europy, choćby tylko ekonomicznej — nie było, i dotąd nie ma wielkich producentów czy to węgla, czy to stali. Poza tym wpływ Anglii na Skandynawię okazał się przełożony. A Hiszpanii sama Szóstka nie chciała: przecież nawet plan Marshalla nie obejmował Hiszpanii, tak silny był wówczas bojkot reżymu Franco.

Plan Schumana jest jeszcze z innego powodu — poza geograficznym — bardzo ważny: wprowadził on drugie *novum* w postaci WŁADZY, czuwającej nad realizacją i funkcjonowaniem tej Wspólnoty. Tę władzę wyposażono w szereg atrybutów ponadnarodowych, i dano jej szumny tytuł *La Haute Autorité*. Antycypując powiem już teraz, że chociaż zakres władzy Komisji Wspólnego Rynku i jej tytuł są dużo skromniejsze, efektywny wpływ Komisji Brukselskiej okazał się bez porównania większy, niż *Haute Autorité*. Dlaczego? Częściowo, ponieważ kompetencje Komisji Brukselskiej okazały się dużo szersze, choć bez atrybutów ponadnarodowych a częściowo dlatego, bo prezes komisji Brukselskiej, prof. Dr Walter Hallstein, okazał się człowiekiem dużo zręczniejszym, niż prezesi *Haute Autorité*: pp. Jean Monnet, René Meyer, jakiś Belg, którego nazwiska nie pamiętam, a teraz Włoch, p. Del Bo. Ludzie „robią” instytucje, zwłaszcza nowe. Pierwszy prezes amerykańskiego Sądu Najwyższego (*Supreme Court*) nazywał się Marshall, on przewodniczył temu ciału przez 20 lat, i to on rozbudował kompetencje stróża Konstytucji tego Sądu Najwyższego: bez niego jest wysoce wątpliwe, czy Sąd ten mógłby unieważniać ustawy Kongresu, jako antykonstytucyjne. A tymczasem za V-jej Republiki dość błada indywidualność p. Léon Noël'a, prezesa nowego *Tribunal Constitutionnel*, sprawiła, że kompetencje tego Trybunału w praktyce się ulotniły.

Dzisiaj, retrospektywnie, plan Schumana a więc Europejską Wspólnotę Węgla i Stali trzeba by określić mianem jeżeli nie fiaska, to przynajmniej niewypału. W porównaniu ze Wspólnym Rynkiem znaczenie i wpływ tego organizmu były i są niewielkie. Plan Schumana ma znaczenie głównie, jako warsztat doświadczalny dla Wspólnego Rynku. Nic więcej. Na przykładzie tej Wspólnoty przekonano się dowodnie, że operowanie SEKTORAMI nie daje pożądanych rezultatów. Początkowo, po Planie Schumana, istniały plany dalszych „kikutowych” organizacji: była więc mowa o *plan vert*, Planie Rolniczym, Planie Zdrowia i innych. Ale już po dwóch latach działalności pierwszego załóżka europejskich władz gospodarczych, promotorzy teorii *Economie d'abord* dali spokój cząstkowym rozwiązaniom, zaczęli myśleć o wszechogarniającym Wspólnym Rynku.

Ta względna przegrana nie była winą Schumana, Monnet'a, Meyera, czy Del Bo. Po pierwsze, relatywne znaczenie stali w ekonomii zmalało. Stal, hutnictwo, tym bardziej węgiel przestały zajmować sytuację kluczową, która była ich udziałem aż do jeszcze w 1952 r.

Wspólnota Stali była w gruncie rzeczy tylko nowym wydaniem (lepszemu) przedwojennego kartelu stali, który był zawsze w swej istocie Kartelem francusko-niemieckim. Kartel ten został w planie Schumanna wznowiony i ulepszony: treścią i celem jego było, by nieuniknione tarcia i rywalizacje hutników francuskich i niemieckich nie odbijały się na współżyciu pokojowym Niemiec i Francji. To zadanie zostało spełnione. Ale współzależność hut francuskich i niemieckich radykalnie zmalała, i to nie z winy czy chęci obu partnerów. W roku 1950, kiedy zaczęto pertraktację o plan Schumanna, hutnicy francuscy uważali, że nie dadzą sobie rady bez koksu Ruhry: chcieli sobie zapewnić te dostawy koksu za wszelką cenę. W tymże czasie hutnicy Ruhry sądzili, że nie dadzą sobie rady bez dostaw lotaryńskiej rudy żelaznej: chcieli sobie te dostawy zapewnić za wszelką cenę. Dzisiaj nowoczesne metody pozwalają koksować gorszy węgiel lotaryński — stąd zależność hut francuskich od dostaw koksu z Ruhry bardzo zmalała. Jeszcze bardziej zmalała zależność fabrykantów Ruhry od lotaryńskich złóż rudy żelaznej: te należą dzisiaj do droższych, można je z powodzeniem zastąpić rudą z Labradoru, Mauretanii, Szwecji, etc. Poza tym obie koncentracje przemysłu ciężkiego, i w Ruhrze i w Lotaryngii, straciły na znaczeniu: nowe huty, nowe stalownie powstają w Dunkierce i koło Bremy, i stare związki między zagłębiem lotaryńskim a zagłębiem Ruhry są dla tych nowych gigantów dużo mniej cenne, dużo mniej interesujące.

Jeszcze gorszy los spotkał Wspólnotę Węgla, zainicjowaną przez plan Schumanna. W roku 1950 węgiel stanowił około 80% energii i w Niemczech, i we Francji. Dzisiaj ten udział węgla w sumie ogólnej energii zmalał we Francji do blisko 50%, w Niemczech wciąż wynosi około 65%, ale udział węgla w zasobach energetycznych NRF też spada. We Włoszech węgiel reprezentuje już tylko 30% totalnej energii, i ten „brak” węgla z nieszczęścia stał się atutem: Włochy mają dzisiaj tańszą energię, niż ich konkurenci, posiadający „bogactwa” węglowe, i tym się częściowo tłumaczy szybsza ekspansja przemysłowa Włoch, niż Niemiec i Francji, bo Włochy mają tańszą energię, a koszt energii wpływa poważnie na rentowność inwestycji. Wspólnota węgla nie ma dzisiaj sensu — musi ją zastąpić wspólnota energetyczna, lub co najmniej wspólna polityka energetyczna, obejmująca węgiel, energię wodną i przypiływów morskich, gaz ziemny rodzimy lub sprowadzany gazociągami od partnerów (np. z Holandii), albo z zewnątrz (Sahara), naftę i produkty naftowe, znowuż rodzime lub sprowadzane z zewnątrz, energię atomową, może jeszcze zupełnie nieznane w praktyce formy energii, jak wiatrów, słońca etc.

Zamierzone połączenie Wspólnoty Węgla i Stali oraz Euratomu z Wspólnym Rynkiem, (władzy tych trzech organizacji mają być zunifikowane już za rok, same instytucje za dwa lata) jest oczywiście krokiem pożądanym i koniecznym. Euratom, jak dotąd okazał się zupełną fikcją.

U źródła rokowań o Wspólny Rynek

Il n'y a que le premier pas qui coûte. Plan Schumanna był tym pierwszym krokiem. Na tym polega jego historyczne znaczenie. Przeceniano wówczas jego skutki i doniosłość — przypisywano *Haute Autorité*, w szczególności jej raczej teoretycznym cechom 'supranarodowym', skutki, które w rzeczywistości były w pierwszym rządzie skutkami wysokiej koniunktury, *boom'u*, który właśnie około 1953 roku zadomowił się na dobre i na stałe na kontynencie zachodnio-europejskim. Czynnikiem, który może najbardziej się przyczynił do przecenienia skutków skromnych początków „europejskich” Wspólnoty Węgla i Stali, był entuzjazm rządu Stanów Zjednoczonych i opinii amerykańskiej dla wszystkiego, co maszerowało pod sztandarem Zjednoczonej Europy. Bez tego poparcia Waszyngtonu, moralnego i politycznego, oraz bez przyływu amerykańskich kapitałów w ślad za tym poparciem — ani plan Schumanna, ani Wspólny Rynek nie ujrzałyby może życia, a w każdym razie rozwój ich byłby znacznie powolniejszy.

W roku 1955, kiedy to (w czerwcu) zebrała się po raz pierwszy w Messynie na Sycylii konferencja ministrów spraw zagranicznych „Szóstki” dla opracowania planu stworzenia Rynku Europejskiego, był jeszcze dodatkowy powód i dla zapamiętałych „Europejczyków”, i dla rządu amerykańskiego, by zdążyć do uzyskania szybkiego i jaskrawego (*retentissant*) efektu. Tym powodem było odrzucenie Europejskiej Wspólnoty Zbrojeniowej, które zadało cios nadziejom na bliską federację polityczną Europy. Historia się powtarza. Dzisiejsze próby przyspieszenia Unii Celnej Szóstki, harmonizacji w dziedzinach energetyki, transportu, podatków, polityki socjalnej i przede wszystkim polityki koniunkturalnej — to są rezultaty bankructwa — chwilowego — wszystkich prób unifikacji politycznej, czy to planu Foucheta, czy też sugestij belgo-holenderskich w oparciu o przystąpienie Anglii do Wspólnego Rynku.

W roku 1955 przed twórcami Wspólnego Rynku i ich amerykańskimi suflerami stały dwa konkretne zagadnienia, oraz odwieczne rojenia o zjednoczeniu Europy. Konkretnym problemem numer jeden była liberalizacja obrotów handlowych, czyli powrót do 19-wiecznego wolnego handlu. W roku 1955 odbudowa Europy z gruzów powojennych była ukończona. Zarówno produkcja przemysłowa i rolna, jak i stopa życiowa sprzed wojny były już osiągnięte i przekroczone. Było już wówczas rzeczą jasną i pewną, że Niemcy kadłubowe są organizmem zdolnym do życia i do odegrania czołowej roli w gospodarce europejskiej. Pomoc Marshallowska była już w trakcie poważnej redukcji, utrzymywała się już tylko marginesowo — w Berlinie Zachodnim, w Trieście, w Austrii, w Grecji, w Turcji: Europa stała już plus minus na własnych nogach. Handel międzyeuropejski już był w stanie wyraźnej ekspansji, waluty były plus minus ustabilizowane. Ekonomię

europejscy i amerykańscy zgodnie uważali, że w tej sytuacji najpilniejszą potrzebą było obniżenie celi, a specjalnie zniesienie kontyngentów i zakazów przywozów. Trzeba było stoczyć wielką batalię ze starym wrogiem: protekcjonizmem europejskim, który tak groźnie, tak ponuro zaważył na losach naszej części świata.

Troską numer Dwa był stan Francji. Francja była jedynym wielkim państwem Zachodniej Europy, która do 1955 roku nie zdołała ustabilizować swej waluty, swych finansów, ani poważnie zliberalizować swych obrotów zagranicznych. Frank francuski był wówczas nadwartościowy, jaką taką równowagą Francja ratowała systemem kontyngentów, zakazów przywozu, subwencji dla eksportu, szykanami administracyjnymi, kontrolą dewiz, *clearing*'ami, oraz faktycznym monopolem handlu zagranicznego ze „sferą frankową”, która wówczas obejmowała także Indochiny, kolonie w Indiach jak Pondichéri, no i naturalnie cały Maghreb, wszystkie kolonie w Afryce etc.

Anglia pozostawała niedaleko w tyle za Francją, jeżeli chodzi o ograniczenia handlu zagranicznego, procent jej obrotów z *Commonwealth*'em był jeszcze wyższy, niż Francji ze swym Imperium, a więc można było twierdzić, że Anglia była gospodarczo jeszcze mniej związana z Europą niż Francja. Ale ten stan wydawał się wówczas normalny, łatwiej się z nim godzono. Ekspertom europejskim chodziło bardziej o zyskanie Francji niż Anglii dla nowej próby integracji europejskiej.

Obok tych kapitalnych momentów gospodarczych, starzy „Europejczycy” chcieli też upiec swą pieczeń. Role były wówczas akurat odwrotne, niż dzisiaj. Dzisiaj Francja woła najgłośniej o integrację rolniczą, socjalną etc., natomiast jest najbardziej oporna wobec wszystkich objawów integracji politycznej, specjalnie domieszk „supranarodowości”. Wówczas jednak — w r. 1955 pozostali partnerzy musieli ciężko, krok za krokiem, walczyć z Francuzami, gdy chodziło o ustalenie rozkładu jazdy rozbrojenia celnego, i by ich dla tych tez zdobyć, raz po raz dodawali do zakresu działania Rynku nowe elementy, już nie związane ze sprawą celi, byle tylko Francuzów „przekupić”.

Traktat rzymski, podpisany w Rzymie 25 marca 1957, po niespełna dwu-letnich rokowaniach, był dziełem przede wszystkim Spaaka, który nadzorował redakcję i był wielkim pośrednikiem. Ale już w czasie rokowań kierownicza rola Francji i Niemiec w nowym ugrupowaniu wyraźnie się zaznaczyła. Ostateczny kompromis doszedł do skutku u końca 1956 r. w drodze bezpośrednich rozmów w cztery oczy między ówczesnym premierem francuskim, socjalistą p. Guy Mollet, a kanclerzem Adenauerem. By powstać, Rynek musiał uzgodnić całą Szóstkę, a poza tym, w łonie tej Szóstki, musiał nadto korzystać ze specjalnej zgody dwóch najpotężniejszych swych członków. Można więc twierdzić, że traktat francusko-niemiecki z 22 stycznia 1962, podpisany przez Adenauera i de Gaulle'a nazajutrz po rozleceniu się rozmów z Anglią, nie wnosił nic nowego, był tylko spisaniem stanu faktycznego, istniejącego od początku. Ale czasem bywa lepiej rzecz

rozumiejących się same przez się nie mówić zbyt głośno, i broń Boże nie spisywać. Do nich należy hierarchia wspólników, dygnitarzy, wielkich rodów i wielkich mocarstw. Wszyscy wiedzą, że Rosja i Ameryka są dzisiaj dwoma super-mocarstwami, a gdy tylko próbują konferować we dwójkę, bez obecności swych partnerów, powstaje *un beau tollé*. Cała Szóstka wie, że w praktyce Francja i Niemcy rządzą Wspólnym Rynkiem, ale godzą się z tą sytuacją tylko wówczas, gdy mogą udawać, że właśnie tak nie jest.

„Europejczycy” redagowali traktat Wspólnego Rynku, zahipnotyzowani dwoma wielkimi historycznymi precedensami. Pierwszym był *Zollverein*, który doprowadził, a przynajmniej niezmiernie się przyczynił do zjednoczenia Niemiec. Rozumowano więc następująco: gdy nastąpi *Zollverein* Szóstki, automatycznie nastąpi jej zjednoczenie, a potem do tego załączka doszlusuje cała wolna Europa. To rozumowanie było tak rozpowszechnione, że wszyscy ci, co nie chcieli czy obawiali się Zjednoczonej Europy byli z miejsca idei Wspólnego Rynku przeciwni: i to zarówno Sowiety, jak pragnąca iść własnymi drogami imperialnymi Anglia, jak doktrynialnie przywiązana do absolutnej neutralności Szwajcaria.

„Europejczycy” postarali się wprowadzić do traktatu o Wspólnym Rynku maksimum instytucji o charakterze „ponadnarodowym”: Komisję Wspólnego Rynku, Radę Socjalną i Ekonomiczną, Trybunał Wspólnorynkowy, Fundusz socjalny, fundusz inwestycyjny, bank inwestycyjny etc. Z wyjątkiem Komisji Wspólnego Rynku, wszystkie pozostałe instytucje nie wykazały żadnej żywotności, są to fikcje. Ale żywotność jednej tylko instytucji — Komisji Brukselskiej — uratowała koncepcję europejską i zrobiła z Rynku coś znacznie większego, niż sekretariat handlowy czy biuro rozrachunkowe.

Wreszcie „Europejczycy” chcieli wzorować się na Stanach. Przez cały 19-y wiek Europa wydała olbrzymie zasoby energii, bogactw, krwi na wzmocnienie relatywnej pozycji poszczególnych państw, na *power politics*. W rezultacie tych kolosalnych wysiłków wszystkie państwa europejskie straciły na znaczeniu, cofnęły się, osłabły, a przede wszystkim zubożały. Tymczasem przez tenże okres czasu Stany Zjednoczone tak dobrze jak nie prowadziły żadnej polityki zagranicznej, tylko wzbogacały się. I bogactwo dało im w końcu pierwsze miejsce na świecie, potęgę, o której żadnemu mocarstwu europejskiemu nigdy się nie śniło. „Europejczycy” chcieli naśladować ten przykład. Myśleli, a nawet mówili: „Niech Stany i Sowiety, czy także Anglia bawią się w szachy dyplomatyczne, w zbrojenia, w prestiże; my tutaj przykucnąwszy na boczku, będziemy siedzieć cicho, będziemy handlować, będziemy się wzbogacać, a po upływie 15 czy 20 lat Europa Zjednoczona nagle zjawi się na scenie międzynarodowej, jako mocarstwo numer jeden, jako arbiter świata”. Tylko, rozumowano dalej, nie można z tym programem ani występować, ani go propagować. Jego realizacja nastąpi automatycznie, niepostrzeżenie. A

gdy konkurenci się spostrzegą, będzie za późno. Jak w wypadku Stanów.

Czym się różni Wspólny Rynek od Free Trade Area?

Traktat Rzymski był w zasadzie traktatem rozbrojenia celnego. Tylko etapy rozbrojenia celnego i zniesienia kontyngentów są dokładnie ustalone: wszystkie inne sprawy są ujęte ramowo i ogólnikowo. Stanowisko Anglii i 6 (późniejszych) członków *Free Trade Area* było więc logiczne: „po co, mówili, obarczać się długim i skomplikowanym traktatem, kiedy te same cele możemy osiągnąć układem o kilku artykułach i paragrafach, który by tylko ustanowił zasady stopniowego znoszenia ceł i kontyngentów? Wy, Wspólnorynkowcy, z całą waszą frazeologią 'ponadnarodową', z waszymi 'europejskimi' instytucjami, wprowadzacie tylko zamieszanie, i utrudniacie realne osiągnięcia!”.

A jednak przebieg wypadków wykazał, że jest kolosalna różnica między Wspólnym Rynkiem a *Free Trade Area*, że pierwszy stanowi rewolucję, druga wegetuje. Dlaczego?

Były od początku trzy fundamentalne różnice. Po pierwsze Wspólny Rynek stanowił obszar terytorialnie ZWARTY. *Free Trade Area* obejmuje obszary bardzo od siebie oddalone. Bliskość geograficzna jest i powinna być podstawowym elementem handlu i zbliżenia gospodarczego. Wyjątkowa pozycja Anglii, jej przewaga morska i handlowa zaciemniały ten stan rzeczy przez sto lat czy więcej, ale dzisiaj naturalny porządek rzeczy powraca do swych praw. Koszty transportu obciążają handel, zmniejszają jego rentowność. W ślad za Anglikami cały szereg narodów w Europie uwierzył, że handel zamorski, zaoceaniczny ma specjalne, właściwie magiczne zalety. Mając do wyboru handlować z Hamburgiem czy nie tylko Hong Kongiem (Imperium!) ale także z Yokohamą, Anglik bez chwili wahania wybierał Yokohamę. Przykład ten działał zaraźliwie. Oczywiście istnienie ograniczeń dewizowych i kontyngentów może usprawiedliwiać podobne odchylenia od sytuacji naturalnej. Póki Sowiety mają monopol handlu zagranicznego i niewymienialną walutę rublową, póki hołdują zasadzie *clearing'u*, póty, oczywiście, Polska powinna unikać handlu z Rosją jak ognia, choć w warunkach normalnych handel ten powinien się Polsce dużo lepiej rentować, niż z Anglią czy Francją.

Jeżeli chodzi o zwartość terytorialną, to Wspólnemu Rynkowi najbardziej potrzebne byłoby przystąpienie Szwajcarii, potem Austrii. Brak Szwajcarii we Wspólnym Rynku utrudnia kolosalnie przede wszystkim politykę kapitałową, kredytową, uniemożliwia stworzenie wspólnej waluty, utrudnia także wspólną politykę koniunkturalną, bo wpływ Szwajcarii na koniunkturę w Europie jest ogromny. Największym partnerem Szóstki jest — po Stanach — wcale nie Anglia, ale właśnie Szwajcaria. W pewnym sensie Szwajcaria jest nawet ważniejsza od Stanów, bo w obrotach towarowych ze Stanami Szóstka ma deficyt dwóch i pół

miliarda dolarów rocznie, a ze Szwajcarią ma półtora miliarda dolarów nadwyżki rocznej. Stany są dostawcą, a Szwajcaria odbiorcą Wspólnego Rynku. Po Szwajcarii najważniejszym partnerem Szóstki jest Szwecja, a Anglia figuruje dopiero na czwartym miejscu. Prasa stale przesadza znaczenie Anglii dla Wspólnego Rynku.

Drugi kolosalnie ważny moment — to istnienie władzy Wspólnego Rynku w postaci Komisji Brukselskiej. *Zollverein*, symbioza gospodarcza 48 Stanów Ameryki Północnej odbyła się automatycznie, przy minimalnym współudziale władz. Był to okres panowania businessmana, nie potrzebował on urzędników, władz, ustaw, wystarczał mu ustrój liberalny, i sądy. Dzisiaj ekonomia europejska jest omal wszędzie *une économie mixte*, państwo jest wszędzie największym pracodawcą, producentem, bankierem, poza tym państwo interweniuje, i ludność żąda tej interwencji, żąda od państwa i pełnego zatrudnienia, i poprawiania podziału dochodu społecznego przez interwencje podatkowe, itd. „Czysty” przedsiębiorca jest przez opinię europejską często utożsamiany z geszefciarzem, natomiast tejże opinii imponuje *technokrata*, to znaczy specjalista, mający wiadomości techniczne i także ekonomiczne, mający doświadczenie zarówno w służbie państwowej, jak i w przedsiębiorstwach prywatnych. Technokrata jest *hybrydą*, siedzi na dwóch stołkach, państwowym i prywatno-kapitalistycznym, raz jest ministrem czy dyrektorem upaństwowionego przedsiębiorstwa, raz prezesem wielkiego prywatnego koncernu.

Free Trade Area wywodziła się z 19-wiecznej myśli ekonomicznej: znieść cła i konie. Cały traktat brukselski wychodzi z założenia że nie wystarczy samo obniżenie celi, trzeba ponadto całą ekonomię organizować, retuszować, nią kierować, ją kształtować. Biura Komisji Hallsteina na rue de la Joyeuse Entrée w Brukseli mają już dzisiaj przeszło 5 tysięcy urzędników, biura *Free Trade Area* w Genewie mają ich 160!

Biura genewskie są dziennikiem podawczym, biura brukselskie są sztabem. A znaczenie sztabów wszędzie stale wzrasta. „Kapitan przemysłu” w 19-ym wieku — to był spekulant; dzisiaj Standard Oil, Krupp czy Imperial Chemicals, czy Renault czy Montecatini muszą mieć olbrzymie sztaby, by podołać rozlicznym zadaniom. Bez komisji brukselskiej Wspólny Rynek by zapewne nigdy się nie rozwinął, tym bardziej nigdy by się nie skonsolidował. Bez niej popadłby zrazu w anarchię, potem w kłótnię, wreszcie by zamarł.

Warto by cały rozdział poświęcić tej komisji brukselskiej, jej składowi personalnemu, jej kompetencjom, jej polityce i jej przewodniczącemu. Może poszedłbym za daleko, gdybym porównał Hallsteina z Franciszkiem Józefem, ale istnieje pewna analogia: mimo dynastii, mimo mężów stanu, stara monarchia austriacka by nie przewyciężyła tylu burz bez starego cesarza. Bez skromnego cichego prof. Waltera Hallsteina komisja Wspólnego Rynku nie dałaby rady tylu tarciom.

Blady, bezbarwny, niepokąźny stary kawaler, który od początku steruje barką Wspólnego Ryku, czerpie swe siły z wielkiej zręczności i wyjątkowego taktu, ale (jak zawsze) przede wszystkim z kilku prostych reguł, których stale i z uporem się trzyma. Utrzymuje on równowagę między Francją a Niemcami: zdaje sobie sprawę, że bez stałych kompromisów francusko-niemieckich Wspólny Rynek musi się załamać. Utrzymuje balans między nieuniknioną, bo opartą na rzeczywistości, przewagą Niemiec i Francji a oficjalną, i psychologicznie konieczną, równością wszystkich państw członkowskich. Utrzymuje także balans pomiędzy tendencjami interwencjonistycznymi i planifikacyjnymi, dzisiaj w znacznej części reprezentowanymi przez Francuzów, a tendencją bardziej liberalną, wolno-handlową, reprezentowaną w pierwszym rzędzie przez Holendrów i Niemców. Utrzymuje balans pomiędzy dwoma niezbędnymi postulatami: rozszerzenia Rynku i zachowania jego odrębności wobec pozostałego świata, bo w pierwszym wypadku doprowadziłby do wojny gospodarczej z resztą Europy i resztą świata, a w drugim by się rozplynął i zanikł. I wreszcie Hallstein rozumie — czego Anglicy dotąd zrozumieć nie chcą — że narody mają pewne bziaki psychologiczne, i że te urojenia mogą być tak silne, iż trzeba je traktować, jakby były uzasadnione. Takim urojeniem jest wiara Francuzów, a obecnych ich rządów w szczególności, że rolnictwo ma dla Francji specjalne i kardynalne znaczenie. Hallstein stale i systematycznie popiera, i każe całej komisji popierać, żądania rolnicze Francuzów, choć zdaje sobie na pewno sprawę, do jakiego stopnia te postulaty rolnicze są mirażem. Ale rozumie on że uganie się za tymi mirażami, musi być częścią ceny, którą trzeba zapłacić za odwrót Francji od protekcjonizmu celnego. Największym sukcesem Wspólnego Rynku jest w ogóle zwycięstwo nad protekcjonizmem, ale ten sukces jest specjalnie doniosły na odcinku francuskim, bo we Francji protekcjonizm był i jest dotąd najbardziej zakorzeniony, największe tam poczynił spustoszenia, najwięcej w Paryżu wywołuje tęsknot.

Wreszcie Wspólny Rynek samym zakresem swych planów wywołał zmiany nastawień, kalkulacji i ruchów kapitałów, których sama unia celna nie wywołała w „Siódemce”. Gospodarowanie, inwestycje, kredyty — to są antycypacje. Powstanie Wspólnego Rynku wywołało antycypacje u przedsiębiorców, które wyszły daleko poza i ponad konkretne osiągnięcia władz brukselskich. Ale z tych antycypacji może najważniejsze były amerykańskie. Ruch kapitałów między państwami Szóstki jest dotąd niewielki, a przynajmniej jest mało widoczny: bo są liczne układy kartelowe i są liczne partycypacje, które są połączone z ruchami kapitałów, ale te są trudno uchwytne. Natomiast wielkie banki udzielają nadal rzadko i mało kredytów firmom partnerów, emisji obligacji nie ma, nawet banki emisyjne Sześciu (raczej pięciu, bo Luksemburg nie ma własnego banku emisyjnego) woła współpracować w ramach Międzynarodowego Funduszu Monetarnego czy też tzw. Komitetu Dziesięciu, niż we własnym

gronie. Natomiast kapitały amerykańskie, ponieważ także szwajcarskie i angielskie rzuciły się do krajów Szóstki, próbując się w niej zadomowić, dyskontując z góry powstanie zjednoczonego obszaru gospodarczego o 170 milionach ludności. Ta migracja kapitałów do Szóstki może tyleż zdziałać dla konsolidacji postępów Wspólnego Rynku, co obniżanie taryf. A w każdym razie ten dopływ kapitałów z zewnątrz, który należy oceniać na kilka miliardów dolarów, okazał się nieporównanie ważniejszy od Rady Socjalnej i Gospodarczej (która nie zbiera się nigdy), od Trybunału Wspólnego Rynku (który nie zebrał się ani razu), od Banku inwestycyjnego (który nie udziela żadnych kredytów), od Funduszu Socjalnego (który istnieje na papierze) itd.

Co Wspólny Rynek dokonał, czego dotąd nie dokonał?

Wielkie osiągnięcie (jak dotąd) Wspólnego Rynku — to obniżenie celi i zwłaszcza zniesienie kontyngentów. Cła na towary przemysłowe zostały obniżone dotąd o 60% w stosunku do punktu wyjścia w r. 1957. W praktyce cła te są wyższe. Czytałem ostatnio w *Le Monde* list syndykatu Importerów samochodów osobowych do Francji, który podaje następujące cyfry: w teorii cło na wozy osobowe wynosi obecnie 12 i pół procent dla wozów z Szóstki, 25 i pół procent — dla wozów spoza Szóstki. W PRAKTYCE cło to jest obliczone nie od wartości sto, ale od wartości sto trzy (dlaczego?), i, co ważniejsze, do cła są dodawane opłaty manipulacyjne, stemplowe, *taxe à la valeur ajoutée* (czyli taksa wyrównująca różnice podatkowe etc.). Tak więc w rzeczywistości samochody z Szóstki płacą na granicy nie 12 i pół procent, ale 41%, a samochody spoza Szóstki — 58%!!! Między 12 a 41% jest spora różnica. Tak samo i, co ważniejsza, kontyngenty dotąd nie zostały w pełni zniesione, ani w stosunku do partnerów, ani tym bardziej w stosunku do państw trzecich. Gdy chodzi o produkty agrarne, obniżki cel są jeszcze mniejsze, kontyngentów jest dużo więcej, wyjątków jest też więcej. Wreszcie istnieją *clauses de sauvegarde*, których rządy Szóstki stale nadużywają: Francja zamknęła swe granice w rb. przed lodówkami włoskimi, bo uważała, że chodzi o nielojalną konkurencję, Niemcy zrobili to samo dla jabłek włoskich etc. Z całą pewnością zmniejszenie cel a więc protekcjonizmu jest mniejsze niż się na pozór wydaje.

Ale tak samo na pewno, zmniejszenie cel wewnątrz Rynku miało efektywnie miejsce, i tak samo na pewno system kontyngentów został bardzo poważnie rozluźniony. Postęp jest, i idzie w dobrym kierunku. To jest zysk, to jest plus, i to nie tylko Wspólnego Rynku. Dobry przykład, tak samo jak zły przykład, jest zaraźliwy. Gdy cały świat zaczął budować mury celne w latach Wielkiego Kryzysu, nawet Belgia, nawet Szwajcaria poszły za tą zgubną modą. Obecnie Siódemka rozluźnia swe bariery, obniża swe cła w ślad za Szóstką. A co oznacza *Kennedy Round*?

Oznacza, że w ślad za Wspólnym Rynkiem Ameryka chce także obniżyć swe cła, znieść kontyngenty na podstawie wzajemności.

Jeżeli propozycja Hallsteina zniesienia wszystkich cel i kontyngentów wewnątrz Wspólnego Rynku do końca 1965 r. (*intra-communautaires*) zostanie definitywnie akceptowana i zrealizowana, to będzie to wielki krok naprzód. Wszelako nawet całkowite zniesienie tych cel nie będzie oznaczać, że sprawa ta jest załatwiona. Obok cel istniało w r. 1958 przeszło 350 różnych OPŁAT wewnątrz Szóstki, związanych z przekraczaniem granic przez towary. Dziś jeszcze przeszło 150 tych opłat pozostaje w mocy. Są różnice podatkowe, są różnice w kosztach transportu, są formy subwencjonowania eksportu czy produkcji — i wszystko to FAŁSZUJE KONKURENCJĘ, i to nie o wiele mniej, niż cła (ale mniej niż zakazy przywozu i wywozu, kontyngenty i przepisy dewizowe). Nawet po zniesieniu cel, będą istnieć FORMALNOŚCI eksportowe, choćby dla celów statystycznych, z powodu różnicy walut etc. Otóż póki eksport będzie wymagał specjalnych formularzy etc., póty będzie *de facto* domeną wielkich firm. Mała firma, mała fabryczka, prosty rzemieślnik, mały sklepik, chałupnicy nie mogą eksportować, bo to dla nich za trudne, za skomplikowane. Dopiero gdy wysłanie kobiałki z Camembert z Normandii do Ruhry będzie równie proste, jak wysłanie tejże faski sera do Montélimar, mały człowiek, chłop, rzemieślnik, drobny kupiec będą w stanie korzystać z dobrodziejstw eksportowych Wspólnego Rynku.

Ale oprócz cel?

Obniżanie cel nie jest celem samym w sobie: tym celem jest usprawnienie konkurencji, która ma obniżyć ceny towarów, udoskonalać podział pracy, umożliwiać lepsze zaopatrywanie potrzeb. By stworzyć w łonie choćby Szóstki doskonałą konkurencję, choćby taką, jaka istnieje w łonie Stanów Zjednoczonych czy Konfederacji Szwajcarskiej, gdzie Kantony są miniaturowymi państwami, trzeba skasować liczne inne impedimenta, które konkurencję deformują. Pod wpływem Francuzów Traktat Rzymski pomyślał o deformacjach wynikających z ustawodawstwa socjalnego, z poziomu płac i z sytuacji rolnictwa. W praktyce wysoka koniunktura sprawiła, że różnice płac się kolosalnie wyrównały od 1938 r., bo wzrosły dużo szybciej w Niemczech, we Włoszech i w Holandii, niż we Francji i w Belgii, które sześć lat temu stały na czele *du peleton européen*. Tak samo ustawodawstwo socjalne się plus minus wyrównało, i to bez nacisku ze strony Wspólnego Rynku: sam nacisk Związków Zawodowych wystarczył. Ale różnice podatkowe są nadal ogromne. Ale ukryte subwencje dla przemysłu są stałą okazją tarć. Ale ceny żywności, a więc kosztów utrzymania, wykazują nadal wielkie różnice. Ale wydatki nieprodukcyjne, to znaczy w pierwszym rzędzie na zbrojenia, wykazują nadal odmienne tendencje. To samo można po-

wiedzieć o transporcie. Np. we Francji transport wodny śródlądowy obejmuje 2% przewozów, w Niemczech 31%, we Włoszech zero, w Holandii blisko 60%! Takież są różnice jeżeli chodzi o energię, a także jej koszt.

Porozumienia kartelowe konkurencję w łonie Rynku szalenie obciążają. Jest rzeczą pewną, że jest ich bardzo dużo, i ciągle ich przybywa, zwłaszcza między przemysłem francuskim i niemieckim: w tej drodze Francuzi, jako słabsi, zabezpieczają się przeciwko konkurencji mocniejszego i bardziej dynamicznego przemysłu niemieckiego. Chwilowo te porozumienia wytwórców i sprzedawców były i są nadal potrzebne, bo bez nich opozycja francuska przeciw rozbrowieniu celnemu i kontyngentowemu byłaby bez porównania silniejsza, mogłaby rozwalić cały Wspólny Rynek. Ale na dłuższą metę oczywiście trzeba te kartelowe i in. siuchty zlikwidować: dopiero wtedy Wspólny Rynek przestanie być Rynkiem przedsiębiorców, le *Marché Commun des Patrons*, którym na pewno jest obecnie, a stanie się Rynkiem konsumentów, jak np. rynek amerykański. A tymczasem w tej kapitalnej dziedzinie władze brukselskie nie robią absolutnie nic. Istnieje specjalna sekcja Komisji, która zajmuje się kartelami i ograniczeniami konkurencji. Na jej czele stoi członek Komisji (jeden z wielkiej Dziewiątki), Niemiec, dr Hans von der Groeben. Ma on być wielkim specjalistą od prawa patentowego, ale dotąd jego dział absolutnie żadnej sprawy nie załatwił. Na wszelkie pytania czy krytyki v.d. Groeben niezmiennie odpowiada: *Nos études ne sont pas terminées*. I przytacza fakty: istnieje dzisiaj 35 tysięcy układów, karteli i porozumień sprzedaży między firmami należącymi do Wspólnego Rynku. Normalnie ekspert potrzebuje dwóch lat, by naprawdę dokładnie się zorientować w znaczeniu i sensie umowy kartelowej, i to w granicach jednego kraju i jednego ustawodawstwa, a dział pana v.d. Groeben ma do czynienia z sześciu ustawodawstwami i sześciu prawami patentowymi. Na tę całą gigantyczną pracę sekcja p. v.d. Groeben ma wszystkiego 160 urzędników, którzy są przepracowani, ale dotąd zbadali najwyżej około 500 porozumień na 35.000! A Rada Ministrów Wspólnego Rynku od sześciu lat odmawia kredytów na pomnożenia etatów tego działu!

Otóż to wszystko nie jest przypadek. I Hallstein, i Groeben, i Rada Ministrów wiedzą doskonale o co chodzi. Chodzi o to, że dzięki tym układom i machlojkom nie ma w łonie Szóstki bankructw na skutek obniżki ceł i zniesienia zakazów przywozu, wzgl. kontyngentów. Gdyby v.d. Groeben na serio się zabrał do walki z kartelami i znowami firm, to by to tu, to tam ktoś plajtnął, okazałoby się, że w takim to a takim dziale, dajmy na to plastyków czy maszyn, Francja nie jest w stanie konkurować z Niemcami, czy Belgia z Francją itd. Więc wszyscy po cichu chcą sprawę odłożyć. Niech się Wspólny Rynek wzmocni, stężeje, powiadają sobie politycy i ministrowie, a także Komisarze, a wówczas coś się tu zrobi. To rozumowanie może być słuszne. Ale oczywiście, póki nie mamy Wspólnego Rynku konsumentów, nabyw-

ców, póty nie można mówić, że organizm brukselski przeszedł *the point of no return*, że jest *irréversible*. Jest nadal kolosem na glinianych nogach, a grunt pozostaje grząski i niepewny. Nadal spełnia swe zadanie tylko połowicznie.

Ale z tym wszystkim Wspólny Rynek jest największym dynamo gospodarczym naszych czasów, dużo większym od *Free Trade Area*, od mikroskopijnych prób Komekonu, czy w Afryce, czy w Azji, czy nawet O.A.S. (Organizacji Państw Amerykańskich), co jest dziwne, bo środki Stanów są kolosalne, a między Ameryką Północną a Łacińską istnieje zwartość geograficzna i do pewnego stopnia rasowa.

Sądzę, że gdyby de Gaulle chciał nagle i niespodziewanie stoperdować Wspólny Rynek (31 stycznia twierdził *ex post*, że byłby to zrobił, gdyby w grudniu Rada Ministrów W.R. nie akceptowała plus minus jego dezyderatów w sprawie trzech układów agrarnych) i zlikwidować Komisję Brukselską, to by napotkał na kolosalny sprzeciw nie tylko u partnerów, ale i wewnątrz samej Francji, i musiałby się cofnąć. Ale Wspólny Rynek można zlikwidować systemem zastosowanym do Euratomu: na jego prezesa został powołany b. gaullistowski minister spraw wewnętrznych, p. Chatenet, prawnik, nie mający pojęcia o sprawach atomowych, i cały Euratom zasnął, nie robi absolutnie nic. Istnieje program atomowy francuski, błędny czy dobry, ale istnieje: natomiast nawet cienia programu atomowego wspólnego rynkowego nie ma. Euratom zamiera, raczej zamarł. Jak dotąd, Francja miała dość sił, by zahamować rozwój Komisji w kierunku pomnożenia liczby jego członków: na jak długo, to się jeszcze okaże. Ale nie jest w stanie, jak dotąd, opóźnić demobilizacji celnej i kontyngentowej, a zobaczymy, czy potrafi się skutecznie oprzeć próbom stworzenia wspólnej polityki koniunkturalnej, która w tej chwili jest kluczem do całej przyszłości, jest zagadnieniem numer jeden. Gdy jako tako ustabilizowano waluty, trzeba było pomyśleć o handlu międzynarodowym; gdy ten jako tako posuwa się bez kul, trzeba pomyśleć o wspólnej polityce koniunkturalnej, która obejmuje też kredyt i budżet, i politykę płac, i wydatki nieprodukcyjne. Polityka ekonomiczna ma pewną wewnętrzną logikę, której nie można dowolnie neglizować. Na tej logice wewnętrznej polega zresztą wyższość ekonomiki nad ekonomią. Na tej logice opierają swe rachuby przeciwnicy socjalizmu i komunizmu. Bo jeżeli wszystko MOŻNA zrobić, dlaczego nie spróbować socjalizmu, dlaczego miałby się nie udać?

Umysł ludzki tęskni do monizmu i do praw naturalnych, bo nie chce się godzić z poglądem, że o wszystkim decyduje przypadek: kult wielkich ludzi jest częścią teorii przypadku, tak obmierzej wszystkim tym, którzy mają pretensje do intelektualizmu. Dzisiaj zwątpiliśmy w „naturalność”, „nieuniknioną” praw konstytucyjnych, socjologicznych, ale wierzymy dotąd w istnienie pewnych praw ekonomicznych, np. że wolna konkurencja jest dobroczynna, że wielkie rynki są lepsze od mniejszych, że wzrost obrotów, handlowych, turystycznych i usług, w końcu podwyż-

sza stopę życiową, że — co najważniejsze — dobrobyt czyni ludzi lepszymi i bardziej pokojowymi. Stąd idea Wspólnego Rynku stała się nie tylko ramą dla gry wielkich interesów, ale i pasją intelektualną, ma swych fanatyków i wyznawców. Z dnia na dzień ta idea nie zniknie.

„Gueguerre” Wspólnego Rynku z de Gaullem?

Gueguerre oznacza „wojenkę”, raczej komiczną, niż groźną. Coraz częściej ten termin można spotkać nawet w prasie gaullistowskiej, jak „Paris Presse” dla określenia dzisiejszych stosunków francusko-amerykańskich. Prasa, światlejsza od dyplomatów, odróżnia pozory od rzeczywistości.

Konflikty z de Gaulle'm są częścią nieuniknionych w łonie Rynku antagonizmów i konfliktów interesów między Francją a Niemcami. Są one nieuniknione, ponieważ Niemcy są najpotężniejszym członkiem Wspólnego Rynku, największym rynkiem zbytu w łonie Szóstki, a więc muszą nadawać ton jej polityce, i na to nie ma rady. Ale jednocześnie Niemcy muszą się najbardziej liczyć z Francją, i to zarówno z interesami Francji, jak i z jej urojeniami. Zadaniem Komisji Brukselskiej jest właśnie służenie w roli maklera francusko-niemieckiego: bez tego Rynek by się dawno rozleciał.

Ale oprócz sporów francusko-niemieckich, normalnych i naturalnych, de Gaulle wniósł elementy nowe, których autorzy traktatu rzymskiego nie przewidzieli i przewidzieć nie mogli. Spór o rolę rolnictwa w ekonomii Wspólnego Rynku nie jest pomysłem de Gaulle'a, ale ostrość i metody, z jaką sprawa ta jest stawiana, jest jego osobistym przyczynkiem do dziejów Rynku, Francja jest stale bardziej protekcyjnistyczna i bardziej płochliwa, niż jej partnerzy, stąd jej niechęć do rozszerzania Rynku jest większa. Ale opozycja przeciw temu czy innemu członkowi ze względów czysto politycznych nie jest specjalnością samej Francji. Ciche veto przeciw kandydaturze Hiszpanii stale, i to od początku, zakłada Spaak, i tak samo nie chodzi mu o sprawy gospodarcze, bo udział Hiszpanii w Rynku byłby ekonomicznie dla Szóstki, a zwłaszcza dla Francji bardzo pożądany, ale o względy „ideologiczne”. Jeżeli opozycja Francji przeciw udziałowi Anglii, zrozumiała historycznie, rozumiała na tle walki języka francuskiego z supremacją angielszczyzny, etc. została tak wyolbrzymiona, to dlatego, że de Gaulle ma wielkie talenty teatralne.

Dalej Francja dzisiaj jest bardziej „planistyczna”, mniej wolnorynkowa, niż Niemcy, i znowu na tym tle dochodzi do tarć, choć o innym charakterze. Znowuż nie trzeba utożsamiać tej walki z „prawicą” i „lewicą”. Adenauer łatwiej się godził z dawką planizmu, niż Erhard, który jest sentymentalnie, nie tylko intelektualnie, bardziej przywiązany do ideałów szkoły manchester-

skiej. Największym protekcyjnistą i zwłaszcza interwencjonistą we Francji był Edgar Faure, ten sam, który dzisiaj służy, jako ekspert zagraniczny de Gaulle'owi; natomiast między Pinay'em a Pompidou nie ma właściwie żadnych różnic gospodarczych, a obaj są na pewno dosyć bliscy poglądom Erharda. Mowy Pompidou wyglądają co dzień bardziej na „ściągaczkę” z mów Erharda: np. ostatnio premier francuski powiedział paryskiej Izbie handlowej, że największą pomocą jakiej rząd może udzielić eksporterom — to zapewnić im stałość waluty i stałość cen. Otóż Erhard od lat to samo trąbi w każdym przemówieniu. Pompidou, Couve i Giscard mogliby porozumieć się z Erhardem na tematy polityki wspólnorynkowej równie szybko i równie łatwo, co sam Pinay, a może szybciej i łatwiej niż mer St. Chamond.

O każdym z punktów spornych między Komisją Brukselską a de Gaullem musiałbym napisać cały artykuł: ograniczę się do kilku uwag. Weźmijmy rolnictwo. Obecne rządy francuskie źle ten problem stawiają. Nawet dla Francji eksport rolny wynosi zaledwie niecałych 10% jej totalnego eksportu: więc jakżeż można zrobić z tej kwestii sprawę najważniejszą? Kwestia eksportu rolniczego uległa we Francji zasadniczej ewolucji od czasu wycofania się z Algierii i Maghrebu: bo Algieria, Marok, Tunis były źródłami ogromnych nadwyżek zbożowych, wina etc., które Francja musiała uplasować. Francja kupowała za drogie pieniądze pszenicę Tunisu i Algierii, sprzedawała ją z ogromną stratą, i płaciła różnicę ze skarbu metropolii. Dzisiaj to się kończy, i to jest ogromna ulga.

Nadwyżki rolnicze Francji, które wydają się tak decydujące, są naprawdę poważne tylko w dziedzinie zbożowej, pszenicy i jęczmienia, to znaczy w dziedzinie, której rola maleje stale we Francji, i to już od 1900 roku. Od tego czasu Francuz zmniejszył swą konsumpcję chleba o dwie trzecie, natomiast zwiększył spożycie mięsa, nabiału, owoców, jarzyn. Dzisiaj Francuzi wydają 24 miliardy fr. na zakup mięsa, 17 mld. fr. na zakup napojów (wino!), 12 mld. fr. na zakup owoców i jarzyn, a tylko 9 mld. fr. na zakup chleba i produktów mącznych. Więc żadnego kryzysu rolnictwa francuskiego nie ma, jest tylko kryzys pszenicy, od biedy także jęczmienia i kartofli. Natomiast mięsa, zwłaszcza wołowiny, jest we Francji niedobór, czego dowodem jest stały wzrost ceny befsztyku, a także fakt, mało znany, że w roku ubiegłym Francja kupiła w Danii wieprzowiny na 100 mil. fr., bo własnej jej nie starcza! Problem rolnictwa francuskiego nie oznacza, że Francja ma zmusić Niemcy i Anglię do kupowania jej nadwyżek zboża po wysokiej cenie, bo w końcu to się zapewne nie uda, mimo wszystkich łamańców Brukseli z *prélèvements* etc., ale oznacza, że Francja musi się przestawić z gospodarki zbożowej na hodowlaną, bo każdą ilość wołowiny Francja potrafi sprzedać swym partnerom z Szóstki. W roku ubiegłym import mięsa francuskiego do Włoch wzrósł CZTEROKROTNIĘ. I oczywiście gotów wzrosnąć wielokrotnie więcej. Któryż Włoch nie marzy o *carne francese*? Tak samo Francja sprzedaje przetworów żywności, jak

np. konserw, biszkoptów, czekoladek, lodów, sucharków, soków owocowych etc. wielokrotnie mniej, niż mała Holandia.

Wielkim problemem naszej epoki jest dostosowanie się (*Anpassung*) do 20-go wieku. Poza Stanami najlepiej się to udaje Niemcom i Szwajcarii, ale w tej dziedzinie Włochy i Holandia (nie Belgia) wykazują dużo większe sukcesy niż Francja. Otóż problem rolny Francji — to, jak wiele innych, tylko problem dopasowania tego rolnictwa do potrzeb naszego stulecia. Jeżeli Francja chce pracować tylko dla bogatych, jak państwa Szóstki, to niech się przerzuca na hodowlę, na sadownictwo, na *culture maraîchères* czyli jarzyny i nowalie, w których jest albo powinna być bezkonkurencyjna, tak samo w winie, wódkach i likierach. A jeżeli chce sadzić pszenicę, to niech ją sprzedaje na kredyt albo darmo rozdaje *Thiers Monde* czy krajom „socjalistycznym”, jak to czyni Ameryka. Ale żadna dyplomacja, żadna *mises en demeure* nie mogą *à la longue* zmusić kogokolwiek, by kupował to, czego nie potrzebuje i na co nie ma ochoty. Rolnictwo istnieje po to, by ludzi żywić, a nie kupuje się żywności po to, by istniało rolnictwo.

Zresztą — to temat tak olbrzymi! Obecny nadmiar zboża na świecie istnieje przecie tylko dlatego, że dwie trzecie ludzkości niedojadają. Wystarczyło, by jeden producent cukru — Kuba — odpadł, by cena cukru na giełdzie londyńskiej poszła o równo 100% w górę w ciągu roku. Wystarczyło, by Sowiety zakupiły zboża za paręset milionów dolarów, by cena pszenicy wszędzie poszła w górę. Federacja chłopów francuskich zwraca uwagę, że gdyby eksport zboża z Francji tylko się podwoił, kanały i rzeki francuskie zostałyby zatkane, a w portach francuskich zabrakłoby miejsc. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby za kilka lat na rynku światowym nawet zboża (nie tylko mięsa, bo to jest pewnik) nastąpił wielki deficyt podaży, gdyby zaczęto się rozbijać o każdą tonę zboża. Ale i w tym wypadku nie wolno upatrywać w rolnictwie rozwiązania dla przyszłości Francji. Przestrzeń uprawna całej Szóstki wynosi zaledwie 2% ziemi uprawnej na całym globie. Szóstka, ba, cała Zachodnia Europa może mieć pretensje do tego, by być fabryką świata, uniwersytetem świata, miejscem wypoczynku świata, ale jego śpichlerzem? Nie, tego nigdy *à la longue* nie będzie.

Mój Boże, iluż to spraw w ogóle nie poruszyłem! Nie wiem, czy redakcja da mi po temu znowu okazję. Pragnę zakończyć stwierdzeniem, że ze wszystkich problemów, które stoją przed Wspólnym Rynkiem za najważniejszy uważam problem migracji, osiedlania się, problem, którego Bruksela dotąd nie poruszyła. Prymat zagadnień demograficznych wydaje mi się decydujący, znaczy on niepomniernie więcej, niż gospodarka, niż polityka, niż granice. Istotą historii amerykańskiej nie jest wojna domowa, ale naprzód wyróżnienie Czerwoskórych, a następnie olbrzymia imigracja z kontynentalnej Europy, która stworzyła zupełnie nowy naród, tylko pozornie związany z kolonistami angielskimi. Na obraz dzisiejszej Europy bardziej wpłynęły wędrowki ludów,

miejsce postoju i zatrzymania się barbarzyńców, niż wszystko, co potem nastąpiło. Jeżeli Wspólny Rynek doprowadzi do masowych migracji i do scalenia się Szóstki czy większej ilości krajów w drodze małżeństw i przemieszania się, to Europa zmieni się zasadniczo. I zmieni trwale. Jeżeli do tego nie dojdzie, jeżeli narody będą dalej mieszkac OBOK siebie, każdy plus minus na swym dawnym podwórku, może będziemy mieli gospodarkę europejską, może Unię Europejską, ale Europy, ale nowego trwałego podmiotu Historii nie będzie.

W. A. ZBYSZEWSKI

TOM XCII BIBLIOTEKI «KULTURY»

WE WŁASNYCH OCZACH

ANTOLOGIA WSPÓŁCZESNEJ LITERATURY
SOWIECKIEJ

Autorzy:

Aleksander SOŁŻENICYN, Włodimir MAKSIMOW, Aleksander JASZIN, Leonid STADNIUK, Fiodor ABRAMOW, Borys DIAKOW, Leonid SIOMIN.

W tłumaczeniu Józefa ŁOBODOWSKIEGO, Kazimierza OKULICZA i Zdzisława MIŁOSZEWSKIEGO.

Str. 524

Cena egz. 24 F (35 sh., dol. 5,00)

Aleksander Bogusławski

W dn. 6 grudnia 1963 r. zmarł w Warszawie, w wieku 77 lat, Aleksander Bogusławski (Jan Młot). Całe swoje życie poświęcił on ruchowi ludowemu. Należał do tych nielicznych wśród inteligencji, którzy od wczesnej młodości do grobu służyli wielkiej idei podniesienia chłopów polskiego do godności obywatela we własnym państwie i podniesienia jego oświaty oraz zamożności.

W rozwoju ruchu ludowego był czołową postacią, ale pozostawał raczej w cieniu, co wynikało z jego usposobienia.

Dziś już chyba najbardziej niechętni ruchowi ludowemu muszą przyznać, iż obecna postawa chłopów polskiego budzi szacunek i podziw nie tylko ogółu Polaków, ale i obcych. Jest to wynikiem pracy takich działaczy jak Bogusławski. Jego śmierć reżymowe ZSL skwitowało krótką notatką w prasie. Zasłużył sobie, aby na emigracji przypomnieć jego działalność.

Urodził się w chłopskiej rodzinie we wsi Biedaków powiatu Piotrków. Po skończeniu seminarium nauczycielskiego w 1907 r. przez pięć lat był nauczycielem na wsi. Od młodości wychowany na tajnym piśmie „Polak” w idei niepodległościowej i demokratycznej, wierny tym zasadom związał się w pracy politycznej z secesją Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, która kontynuowała dawny jego kierunek, zmieniony pod wpływem Romana Dmowskiego. Chcąc się poświęcić pracy dla ludu, w 1912 roku jedzie do Krakowa, co wówczas dla młodzieńca ze wsi było wyprawą „zagranicę”, i przed samą wojną kończy Polską Szkołę Nauk Politycznych, prowadzoną na wysokim poziomie przez sławnego prawnika Michała Rostworowskiego i profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej, dającą dobre przygotowanie dla działacza politycznego.

Bogusławski należał do najbliższych współpracowników

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Aleksandra Zawadzkiego (Prokopa) dopóki ten nie związał się z prusofilską polityką, pisuje do jawnych i tajnych organów Narodowego Związku Chłopskiego jak: „Lud Polski”, „Drużyna” oraz „Polska”, która kontynuuje tajnie ideę dawnego „Polaka”. Współpracuje też z pismem secesji „Tygodnik Polski”.

Wojna zmienia charakter jego pracy. Z ramienia Konfederacji Polskiej (taką nazwę przyjęła secesja ND popierająca Drużyny Strzeleckie) objął bardzo ciężką jak również i niebezpieczną w czasie wojny funkcję objazdowca po Polsce, aby organizować siły niepodległościowe i poparcie dla Legionów i POW. Ciężką, gdyż nastroje ówczesne nie były sprzyjające. Na terenie jednak Lubelszczyzny były one inne. Tu przez szereg miesięcy do zajęcia Lublina krążyliśmy po tych samych terenach w tej samej sprawie, wcale się nie znając do czasu wkroczenia Legionów w lipcu 1915 roku. On w środowisku społecznie umiarkowanych, ja zaś wśród Zaraniarzy, PPS i Związku Chłopskiego.

Od momentu uwolnienia Lublina staje do pracy prasowej. Redaguje szereg wydawnictw oraz tygodnik „Polska Ludowa” wraz z Jadwigą Marcinowską (wybitną działaczką niepodległościową, literatką, tłumaczką z angielskiego książki „Przeminęło z wiatrem”), a później z Marią Dąbrowską. Następnie przez lata 1917-18 jest redaktorem „Wyzwolenia” w Warszawie. To jedyne w tym czasie niepodległościowe pismo ludowe w byłym zaborze rosyjskim, jako organ PSL przechodziło kryzys finansowy, gdyż zwycięstwa niemieckie i walki orientacyjne osłabiały nastroje niepodległościowe, toteż pismo chłopskie, oparte tylko na prenumeracie, nie mogło się utrzymać. Stronnictwo byłoby zmuszone je zawiesić, gdyby nie upór i ofiarna praca Bogusławskiego i jego żony, którym zawdzięczaliśmy utrzymanie gazety.

Jako redaktor miał takt, tak niezbędny w tych trudnych czasach różnorodnych orientacji, zwłaszcza, że PSL składało się z kilku członów różnego światopoglądu — od byłych ND-ków do Zaraniarzy. Rozpoczynająca się walka kleru z nowym i rozwijającym się chłopskim stronnictwem wymagała z naszej strony odpowiedniej odprawy, takiej, aby nie zrażać nieuświadomionej jeszcze masy chłopskiej. Bogusławski umiał utrzymać właściwą postawę.

Brał udział we wszystkich poczynaniach PSL-Wyzwolenie. On należał do pierwszych jego założycieli, On redagował pierwszy program stronnictwa i referował go na pierwszym zjeździe w Lublinie w czerwcu 1916 r., On występował w różnych ważnych spotkaniach międzypartyjnych. W czerwcu 1918 roku na zjeździe inteligencji ludowej w Krakowie referował stanowisko PSL-Wyzwolenia, a później w Krakowie we wrześniu tegoż roku przy udziale W. Witosa, Tetmajera i innych referował zagadnienie zjednoczenia ruchu ludowego. Należał do tej kategorii działaczy politycznych sprzed pierwszej wojny światowej, których do działalności politycznej skłaniały wyłącznie ideowe pobudki, chociaż nie mieli usposobienia i upodobania do ścisłej akcji politycznej.

Jego zainteresowania to publicystyka, sprawy gospodarcze, samorządowe i młodzieżowe.

Toteż już w Sejmie Ustawodawczym, do którego wszedł, oraz w następnych poświęcił się głównie sprawom swych upodobań i zdolności, wchodząc do odpowiednich komisji. Tak samo w późniejszych latach po wyjściu z sejmu redagował tygodnik „Samorząd”, pracując we władzach Zarządu Związku Sejmików.

Ale gdy przyszły dla ruchu ludowego chwile ciężkie, gdy sanacyjne rządy przed wyborami 1935 r. chciały ostatecznie rozbić ruch ludowy i terrorem oraz obietnicami spowodowały zdradę tej miary działaczy jak Maksymilian Malinowski, Jan Woźnicki, Michał Róg — Bogusławski jeden z pierwszych stanął przy działaczach wiernych idei ludowej. W odtworzonych władzach SL bierze czynny udział, chociaż mógł mieć obawy, iż „długie ręce” rządowe mogą odebrać mu warsztat pracy i pozbawić środków do życia.

I znów nowy okres pracy w czasie wojny. Konspiracja i udział w zmaganiach z najazdem niemieckim w ramach ruchu ludowego.

Wreszcie przyszedł nowy okres próby charakterów w latach 1945-47. Gdy komunistyczne rządy w Polsce, przerażone rozwojem i potęgą PSL, rozpoczęły walkę nie przebiegającą w środkach: nadużycia wyborcze, aresztowania, napady, skrytobójcze morderstwa wybitnych działaczy ludowych — odpadali słabsi. Bogusławski trwał. Po mnie objął Wydział Prasy i Propagandy PSL, chociaż był świadom, iż jest w przedsiönku do więzienia. Po wyjściu z więzienia wrócił do pracy. A po zlikwidowaniu PSL-u usunął się od polityki i pisał pamiętnik. Dopiero po tzw. październiku, w tych jak zdawało się zmienionych stosunkach, wziął udział w pracy ściśle rzeczowej w Zakładzie Historii Ruchu Ludowego.

Archiwum ZSL ma pamiętnik Aleksandra Bogusławskiego bardzo obszerny obejmujący lata od 1894 do 1939. Wydawane przez ZSL od 1959 „Roczniki Dziejów Ruchu Ludowego” w dwóch pierwszych rocznikach podały część jego pracy według systemu przyjętego przez reżym, zaopatrując licznymi przypisami, nieraz wypaczającymi tekst pamiętnikarza. Wyławiają ustępy dla siebie przydatne, opuszczając niewygodne. A mimo to, w tym co zamieszczono w „Rocznikach”, nie ma ani jednego zwrotu, który byłby ukłonem w stronę reżymu, co z różnych względów stosują dziś piszący w Polsce. Ale wobec pogarszających się stosunków wydawniczych w Polsce od dwóch lat już przerwano drukowanie pamiętników Bogusławskiego, tak jak uczyniono to z pamiętnikami Wincentego Witosa.

Jak się można zorientować ta obszerna praca Bogusławskiego nie jest zwykłym tylko pamiętnikiem, ale również historią ruchu ludowego, w pierwszym rzędzie b. zaboru rosyjskiego. Jest on jednym z kilku tylko osób, które znały te zagadnienia dokład-

nie, a ponadto jako redaktor szeregu pism ludowych zebrał dokumentarny materiał drukowany.

Nie wątpię, iż przyszłe pokolenia będą ciekawe dziejów chłopskich w okresie ich walki o Polskę niepodległą i prawdziwie ludową. Aleksander Bogusławski zostawił spuściznę bogatą. Oby się tylko dochowała!

Cześć Jego pamięci.

Kazimierz BAGIŃSKI

TOM XCIX

BIBLIOTEKI “ KULTURY ”

WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

TOM I

Już się ukazał i jest rozsyłany subskrybentom.

Przypominamy, że MOJE WSPOMNIENIA będą w sprzedaży dopiero po ukazaniu się całości Pamiętników.

Wykaz subskrybentów będzie zamieszczony w tomie III-cim.

Tom I-szy zawiera 356 stron.

W oczach Londynu

Z okazji Walnego Dorocznego Zebrania Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (22.II) ukazał się wykaz członków (z r. 1963). Wersja oficjalna podaje nazwiska i adresy. Nieoficjalna a rozszerzona brzmiałaby j.n.:

1) BALIŃSKI, Stanisław (*alias* Staś), Skamandryta, współpracownik „Wiadomości Literackich” od pierwszego ich numeru, poeta w stanie spoczynku;

2) BĄCZKOWSKA, Irena, wynalazek Xawerego Glinki i Mieczysława Grydzewskiego, przedstawicielka ukraińskiego czarnoziemiu w literaturze; w rb. wydała „Wróble noce” nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej (sprzedano ponad 1700 egz.) uznana za autorkę najlepszej książki 1963 r. przez gen. Kukiela, Wacława Grubińskiego, Józefa Mackiewicza, Jana Rostworowskiego, Stanisława Balińskiego i Juliusza Sakowskiego;

3) BENEDYKT, Stefan, pisarz-kombatant, red. zbioru wspomnień „W 40-lecie wymarszu Legionów” i szkicu biogr. o Piłsudskim („W ćwierćwiecze zgonu”) wyd. przez Instytut J. Piłsudskiego w Londynie;

4) BIELATOWICZ, Jan, Sarmata niedotknięty miazmatami Londynu, wierny syn Tarnowa (por. „Książeczka”) — żołnierz, katolik, polityk, publicysta, podróżnik, redaktor, pisarz. Prelegent radiowy. W rb. wyda nakł. „Veritasu” „Opowiadania starego kaprała” (zbeletryzowaną wersję wspomnień wojennych);

5) BOGUSŁAWSKA, Anna, autorka powieści pt. „Ludzie walczącej Warszawy” (Zach. Niemcy, 1947); duży dorobek w zakresie metodyki nauczania jęz. polskiego; w serii „Bawię się i czytam” opracowała kilka książeczek dla dzieci polskich wychowujących się poza krajem (wyd. Figaro Press, Londyn);

6) BOHDANOWICZOWA, Zofia, obecnie w Kanadzie (po wieloletnim pobycie w walijskim osiedlu polskim w Penrhos), poetka i powieściopisarka. Tom wybranych jej wierszy pt. „Ziemia miłości” wydała londyńska Społeczność Akademicka Uniw. Stefana Batorego w Wilnie; przedwojen-

ną powieść „Droga do Daugiel” przedrukował w r. 1955 „Veritas”. Autorka licznych słuchowisk radiowych. W zimowym zeszycie nowojorskich „Tematów” doskonałe przekłady wierszy Emily Dickinson i Conrada Aiken’a.

7) BREGMAN, Aleksander, pisarz i publicysta, prezes Związku Dziennikarzy, znany i czytany w kraju, coraz częściej drukujący w „The Daily Telegraph” i innych pismach angielskich, niemieckich itp., autor „Dziejów pustego fotela”. „Najlepszego sojusznika Hitlera” itd. W rb. wyda nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej książkę o Niemczech;

8) BRONCEL, Zdzisław, poeta, krytyk literacki i filmowy pożarty przez Polish Section, BBC. Ongiś stały uczestnik dyskusji literackich organizowanych przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, dziś — obserwator, „splendid isolation”. Możliwość niespodzianek „szufladowych”;

9) BRZĘKOWSKI, Jan, ostatnio odkrywany na nowo przez Emigrację, pisarz przyszłości, teoretyk. Zimą — paryski „high-brow”, latem-dyrektor jednego z Etablissements Thermaux Amélie-les-Bains („Pańskie oko konia tuczy”); książka najnowsza: „Życie w czasie”, wybór szkiców o teorii poezji, wyd. przez Oficynę Poetów i Malarzy w Londynie;

10) BUDZYŃSKI, Wiktor, zręczny komediopisarz i piosenkarz, (— te triumfy wojenne i powojenne! —), dziś: Radio Free Europe, Monachium;

11) BUJNOWSKI, Józef, prof. PUNO, poeta, krytyk, drukarz. Urodzony pedagog. Odegrał dużą rolę w okresie debiutów młodych poetów z grupy „Kontynentów”. Na Emigracji wydał kilka tomików wierszy, opracował ważne rozdziały „Literatury emigracyjnej” (pod red. T. Terleckiego). Wygłosił ostatnio dwa wykłady publiczne o współczesnej poezji krajowej;

12) CHUDZYŃSKI, Edward, pisarz dramatyczny i aktor, autor słuchowisk. W r. 1963 wystawił w „Ognisku” komedię „Łowcy mgły”. Chłopię obiecujące.

13) CONRAD, Benedykt — inż., tłumacz lit. polskiej na angielski;

14) CZAPSKA, Maria, szanowna, wzorowa i niezastąpiona. Autorka niestarzejacej się biografii Ludwika Śniadeckiej, żelaznej pozycji bibliotecznej. W pracowitym roku ubiegłym wydała u Świdarskiego w Londynie „Szkice Mickiewiczowskie”, a w Instytucie Literackim zredagowaną przez siebie antologię pt. „Polacy w ZSSR (1939-1942)”.

15) CZAPSKI, Józef, malarz, pisarz, cyklista i czarui. Bezbłędny portrecista atmosfery paryskiego bistra, teatru, podmiejskiego pociągu, jadowitej wymowy odcieni szarych i brązu. Pisarz z Bożej woli, nieświadom swych możliwości.

16) CZARNYSZEWICZ, Florian, „nasza Rodziewiczówna”, pisarz-samouk, utrwalający obraz życia „Nadberezyńców” z lat młodości, i południowo-amerykańską emigrację zarobkową. Czytany „w zasos” przez szarego człowieka. Wydał ostatnio nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej „Chłopców

z Nowoszysek" (1700 egz. rozsprzedanych). Czytelnicy sięgają po wcześniejsze jego książki („Wicika Żywicę” itd.).

17) CZEREŚNIEWSKI, Wawrzyniec, poeta, Pegaz starożytnej Grecji, co Wieniewski prozą — on wierszem. Dwa tomiki „Motywów greckich” w Oficynie Poetów i Malarzy. Od urlopu do urlopu — w Monachium;

18) CZERNIAWSKI, Roman (R. Garby) — autor poczytnej książki angielskiej o pracy w wywiadzie w okresie II wojny pt. „The Big Network”. Nie mylić z poetą Adamem, który do Związku nie należy;

19) CZUCHNOWSKI, Marian, — ob. „Słownik współczesnych pisarzy polskich”, Warszawa, PWN, 1963, t. I, str. 398-9. (Tamże spośród członków Związku: BALIŃSKI, BIELATOWICZ, BOHDANOWICZOWA, BRZEKOWSKI, BUJNOWSKI, CZAPSKA (Maria Dorota Leopoldyna Hutten-Czapska), CZAPSKI, DANILEWICZOWA (ur. 1907), GRUBIŃSKI, HERLING-GRUDZIŃSKI, IWANIUK — nadto spoza Związku (sic!) HERMAR; T. I urywa się na literze I). Tu jednak chodzi o Czuchnowskiego. Żyje ale zawsze z życiem na jeża. Musi pisać. Bez względu na warunki i przymus ciężkiej często fizycznej pracy. Poezja, proza — kilkanaście tomów od wojny. Ginie, wyłania się na nowo. Obecnie siedzi przyczajony.

20) DANILEWICZOWA, Maria, pracowniczka umysłowa i (częściej) fizyczna Biblioteki Polskiej w Londynie;

21) DOBEK, Czesław, „nasza Romanowiczowa”, na Walne Zebranie Związku wkroczył z naręczem powieści „Na ratunek gołębiczy”, rabat dla przyjaciół;

2) DYNOWSKA, Wanda — postać mityczna, pisarka polsko-hinduska, teozofka. Rzuca w świat tomik po tomiku „Biblioteki Polsko-Indyjskiej”, w tym pożyteczne antologie przekładów klasyków;

23) FELSZTYŃSKI, Stefan — pisarz bibliografom nieznany;

24) FIERLA, Adolf, kulturalny, pożyteczny pisarz, wierny (jak Paweł Łysek) rodzinemu Śląskowi, w „Mickiewiczu Żywym” ogłosił dobry wiersz „mickiewiczowski” pt. „Słowo”;

25) GACKI, Stefan — ob. poz. 23.

26) GARLIŃSKI, Józef — AK, autor b. poczytnych, wiarogodnych, zbeletryzowanych relacji o kraju pod okupacją: „Dramat i opatrność” i „Matki i żony”. „Spec” od podziemnych czasopism krajowych;

27) GIERGIELEWICZ, Mieczysław, już nie nasz, londyński, uciekinier, Pensylwańczyk — a ostatnio Szewczenkolog; prof. polonistyki na Univ. of Pennsylvania w Filadelfii; a tak dobrze się z nim w Londynie gawędziło!

28) GNIATCZYŃSKI, Wojciech, poeta, zamilkł po wydaniu tomiku „Próby” w r. 1954 — gdzieś tam, czasem, objawia się jako tłumacz w „Te-

matach”. Mówią, że leniwy. Mówią że zdemoralizowany przez monachijski dobrobyt radiowy. Szkoda;

29) GROBIŃSKI, Aleksander, Kanadyjczyk. Przypominał się właśnie rozpisanem subskrypcji na wspomnienia z II wojny światowej pt. „Wojenne błyski”;

30) GRUBIŃSKI, Wacław, senior, przedwojenny laureat Polskiej Akademii Literatury, członek jury dorocznej nagrody „Wiadomości”; czynny, pełen projektów. Wydał właśnie u Świdorskiego rozszerzoną wersję „Listów pogańskich”;

31) GUENTHER, Władysław, niezastąpiony barometr opinii publicznej, co zrobilibyśmy bez niego? Na zewnątrz: „Pióropusz i szpada” (nb. nagroda czytelników „Dziennika Polskiego”) — na co dzień: samarytańska wizyta u chorego przyjaciela, list do kapryśnego Wacia, sprawiedliwa i niezawodna obsługa (telefoniczna) znajomych pań, nasz „Guentherek”. Piszcie drugi tom wspomnień, godzi skłócone damy teatralne. Powtarzam: co zrobilibyśmy bez niego?

32) HEINSDORF, Helena — zagubiona na prowincji, odzywa się (po angielsku) w wydawnictwach PEN-CLUB in EXILE;

33) HERLING-GRUDZIŃSKI, Gustaw. Niewątpliwy „klasyk” Emigracji. Za przyznaniem nagrody „Wiadomości” głosowali na Herlinga: Bielatowicz, Łobodowski, Terlecki, Wierzyński i Tadeusz Nowakowski — co się tu odnotowuje z myślą o sprawiedliwszej przyszłości. Czy istotnie „trudny”? I czy to wada? Przypominam „Wieżę”. Radzę porównać Orvieta z „Drugiego przyjaciela” z „krajową” wizją Orvieta w „Barbarzyńcy w ogrodzie” Herberta;

34) HRYNKIEWICZ, Zofia — autorka kilku tomików wierszy i bajek dla dzieci („W krainie bajki”, 1959 i „Wiersze i bajki dla dzieci”, Lens 1960);

35) IWANIUK, Wacław, poeta z prawdziwego zdarzenia, niedawny laureat nagrody im. Sułkowskiego. Przyznanie jej uzasadnia ją pełni „Milczenia” i twórczość najnowsza; mieszka w Toronto;

36) JANTA, Aleksander, kilku Alexandrów w jednej Jancie, ciekawa kombinacja Knickerbockera z Wacławem Borowym (anglo-polonica!), dwujęzycznego poety, dramaturga, bibliofila, finansowego geniusza i bezinteresownego dobrodzieja. (I tu przypomnieć trzeba darowane Bibliotece Polskiej w Londynie stare wydawnictwa londyńskiego PPS z lat 1890-ych). Przyjemnie myśleć o Jancie, gdy nie drukuje się jego książek. Wtedy bowiem objawia się Janta Straszliwy. A może to już przeszłość? 1964: laureat nagrody im. Naglerowej;

37) JASIEŃCZYK, Janusz, pisarz-zagadka, mający za sobą kilka debiutów, w tym najpoważniejszy: „Słowo o bitwie”, zaganiany, zapracowany, w rozjazdach. A byłoby coś z niego, gdyby tak przysiadł fałdów;

38) JAKSIŃSKI, Józef, (były) młody krytyk literacki, przeżywający przydługi okres „skurczu pisarskiego”. Wspominamy go nieraz, zawczasie odpisywać go na straty; pracuje w Monachium;

39) JASIŃSKI, Zbigniew, delegat Związku na Australię, bardzo tam czynny. Do nas dochodzą pogłosy;

40) JORDAN, Zbigniew, już nie pisarz, ale wysokiej rangi uczony. Filozof. Autor monumentalnej książki „Philosophy and ideology”, 1963. Świeżo powrócony na londyńskie łono po wyprawie za Ocean;

41) KALINOWSKI, Stanisław, (Manchester) wydał w r. 1954 tom wierszy pt. „W przelocie” (słowo wstępne Stefana Legeżyńskiego);

42) KAWA, Hanna — w r. 1951 objawiła się w Londynie z tomikiem prozy i wierszy pt. „Korzenie” wyd. przez Ed. Polyglottes w Paryżu; w 1945 ogłosiła w Bukareszcie rzecz „U stóp olbrzyma”.

43) KIERSNOWSKI, Ryszard, rekonwalescent po ciężkiej chorobie, filar sceny i radia, autor „Młodości sercem pisanej”, wyd. przez Polską Fundację Kulturalną (znów 1700 egz. sprzedanych) — w tomie przedruk autobiograficznego „Cardiac call”.

44) KISIELEWSKI, Józef, dotąd znany jako autor książki „Ziemia gromadzi prochy”, przedrukowanej w Anglii, jako jedno z pierwszych wydawnictw emigracyjnych... Do niedawna czynny w „Veritasie”, dziś skromnie ukryty na Ealingu;

45) KOBRZYŃSKI, Bolesław, poeta (z tych wartych zapamiętania), autor „Przewodnika serdecznego”, redaktor albumu 3 Dyw. Strzelców Karpackich w Italii. Od lat odcięty od świata. Adres: Banstead Hospital, Sutton, Surrey. Warto przypomnieć go dawnym przyjaciołom.

46) KONARSKI, Feliks (Ref-Ren) — ten sam, nic się nie zmienia!

47) KOSSOWSKA, Stefania — Big Ben z „Wiadomości”, wydała wreszcie u Świdorskiego szkice: „Mieszkam w Londynie”. Anglik, mogący się wykazać analogiczną znajomością Londynu, miałby zapewnioną przyszłość w telewizyjnej „Panoramie” czy „To-night”-cie. A nasza pani Stefa?

48) KOSSOWSKI, Jerzy, daleki, brazylijski członek Związku, drukujący powieści w londyńskim „Veritasie”;

49) KOZARYNOWA, Zofia, córka Franciszka Rawity-Gawrońskiego, babka Piotrusia (mówiącego najpiękniej po polsku przedstawiciela młodej generacji). Niestrudzona, sumienna recenzentka wdzięcznych i niewdzięcznych do omawiania pozycji książkowych w „Wiadomościach”. Autorka powieści dla młodzieży „O braciach kłótnikach i wesołej Basi” (Veritas);

50) KUKIEL, Marian — postać szanowna, najszanowniejsza, trzymająca na barkach Instytut Sikorskiego i Polskie Towarzystwo Historyczne. Autor zarysu dziejów porzecznych (dwa wydania). Z trudem dający się nakłaniać do spisywania wspomnień. Po raz pierwszy od lat nieobecny na Walnym Zebraniu Związku. Ale nadal w ruchu między Wimbledonem, South Kensingtonem i Princes Gate;

51) LANCKOROŃSKA, Karolina — fenomen pracowitości i energii — do spółki z ks. prałatem Meysztowiczem i gronem starannie wyszukanych historyków (swoich i obcych) publikująca tom po tomie w serii „Elementa ad fontium editiones” (Polski Inst. Historyczny w Rzymie) na koszt fundacji naukowej im. Karola Lanckorońskiego z Brzezia. Dziw, jak mało się pisze o tym pomnikowym wydawnictwie, nasuwającym analogie z XIX-wiecznymi przedsięwzięciami o dotąd żywej reputacji. Krąży między Rzymem a Londynem, uparta i zacięta, ślepiąca nad korektami, przechodząca w rozmowie na łacinę — zjawiająca się znienacka: „pani Karla”.

52) LEGEŻYŃSKI, Stefan, geograf i poeta, przygotował do druku reportaż z Cejlonu pt. „A może ty jesteś Buddą?” i tom humoressek ogłoszonych poprzednio w „Orle Białym”, „Lekkich piórach”, „Pokrzywach” itp.;

53) LIPSCHUETZ, L. — znany czytelnikom „Kultury” jako autor tomu opowiadań „Dzień i noc” i „Piotrusia” — Leo Lipski; — czy pisze dalej? co się z nim dzieje?

54) LISIEWICZ, Mieczysław — skoncentrowany na sprawach teatru, mogący się wykazać dużymi sukcesami jako autor sztuk dla dzieci, — i szlachetną ambicją w próbach dramatycznych dla dorosłych;

55) LISIEWICZ, Teodozja: teart, słuchowiska, proza („Dziura w dachu”). Czytana, przyjmowana dobrze na scenie — a przecież niemal w próżni, bez ustalonego miejsca w hierarchii emigracyjnej;

56) LURCZYŃSKI Mieczysław — przypominający się z łamów „Wiadomości”. Związany wspomnieniem o ubożuchnych, a ambitnych wydawnictwach hanowerskich, gdy nakładem Związku Wychodźstwa Przymusowego wydawał obok przedruków Norwida, własne wiersze i dramaty;

57) ŁOBODOWSKI, Józef — wielokrotny laureat, „akademik” „Wiadomościowy”, przeżywający nową falę poczytności „trylogii” rosyjskiej;

58) ŁYSAKOWSKI, Marian, wierny pamięci Goetla, pisze, przygotowuje, ma wydać... A tymczasem pożera książkę po książce, podróżuje, gromadzi materiały na przyszłość. Na owe lepsze czasy.

59) MALCZEWSKI, Rafał — brak wiadomości od dawna;

60) MATEJCZYK, Wacław, ks. (z Kanady) — milczy od r. 1953, gdy wydał w Londynie tom wierszy pt. „Tristesse eternelle”;

61) MEKARSKA-KOZŁOWSKA, Barbara (córka Stefana), dobrze znana z twórczości dla dzieci. Przygotowała do druku zbiór opowiadań pt. „Dar króla Jana” (w planie wydawniczym „Veritasu” na rok bieżący), pracuje nad zbiorem reportaży o Lwowie podczas wojny w latach 1939-45;

62) MIRZWIŃSKI, Henryk — autor tomu wierszy „Położ swe dłoń” (Londyn 1948) i „Etiud” (Paryż, Inst. Literacki, 1951), związany z „Gońcem Karpackim”;

63) MOSKWA, Paweł — dwa tomiki wierszy: „Powrót” (1944) i „Air Mail” (1947);

64) NAGÓRSKI, Zygmunt — wydał właśnie tom wspomnień o palestrze warszawskiej w Księgarni Polskiej w Paryżu;

65) NOWAK, Zygmunt: dwa tomiki wierszy: „Ślaniają się palmy” (1945) i „In vino veritas” (1955);

66) NOWAKOWSKI, Tadeusz — jak Łobodowski: „akademik”, czytany od okładki do okładki — publiczność domaga się dalszych książek, a więc kiedy wreszcie?

67) NOWAKOWSKI, Zygmunt: zmiana adresu na tymczasowy: Fortune Green Cemetery. Działa pośmiertnie jako autor „Lajkonika na wygnaniu” i patron konkursu na sztukę dla dzieci i młodzieży;

68) OBERTYŃSKA, Beata, najskromniejsza, w najcichszym kąciku zaczajona, idol „Pestek” — kto pamięta o wielkim, międzynarodowym sukcesie książki — „W domu niewoli”, wydanej pod pseud. Marty Rudzkiej;

69) ORWID-BULICZ, Roman — autor poczytnych powieści sensacyjnych i odcinkowych i zbioru opowiadań „Żywe kręgle”;

70) OSTROWSKI, Jan — niemal bezimienny a wytrwały kronikarz życia kulturalnego Londynu, cierpliwie odnotowujący dla przyszłych historyków każdy odczyt, każdą akademię, każdą poważniejszą imprezę artystyczną (w kronikach „Orla Białego”). Autor wyczerpującego zestawienia bibliograficznego prac filozoficznych ogłoszonych przez Polaków poza krajem;

71) OTWINOWSKA, Jadwiga — autorka pożytecznych wypisów i czytanek do nauki przedmiotów ojczytych, powieści dla młodzieży „Ich młode lata”, licznych słuchowisk itp. (Twórczość dla dzieci i młodzieży zarysowuje się jako specjalność Londynu!);

72) PARNICKI, Teodor — wyraźnie odchodzący od Emigracji, publikujący ostatnio wyłącznie w kraju;

73) PAWLIKOWSKI, Michał (z Medyki) — krajowy historyk literatury, Stanisław Sierotwiński oparł na jego pamiętnikach ciekawe studia o Maryli Wolskiej i „Lamusie”;

74) PAWLIKOWSKI, Michał K. (z USA) — pracuje ponoć nad dalszym ciągiem losów „Tadeusza Irteńskiego”;

75) PAWŁOWICZ, Bohdan — zapowiada książkę u Świderskiego;

76) PERETIATKOWICZ, Hanna — najpilniejsza, niezawodna uczestniczka odczytów i wieczorów literackich — brak jej było na ostatnim zebraniu;

76) PIASECKI, Sergiusz, mogący się wykazać imponującą ilością przekładów na jęz. obce (zwłaszcza włoski). „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy” — zaczytany doszczętnie;

77) PISKOR, Aleksander — przestał pisać; sprzedaje książki w „Vistuli”;

78) POMIAN, Andrzej, autor prac o powstaniu warszawskim, obecnie u USA;

79) PRAGIER, Adam, po uszy pogrążony w pracy nad pamiętnikiem. Uporządkował i przygotował do druku (przy pomocy Lidii Ciołkoszowej) prace rękopiśmienne śp. Stefani Zahorskiej;

80) PRZYŁUSKI, Bronisław, poeta, rzadko odzywający się z Monachium. Warto przypomnieć, iż ma za sobą nie tylko najbardziej znane „Strofy o malarstwie”, ale i „Obronę mgieł”, „Akord”, „Uprosiłem ciemności” i „Pastorałkę małoszowską”;

81) RESZCZYŃSKA-STYPIŃSKA Marta — poetka, gorliwa organizatorka imprez Związku Pisarzy;

82) RELIDZIŃSKI, Józef — zmarły po ogłoszeniu listy członków Związku. Przyjaciel, prof. S. Grabianka, przekazał książki jego i wycinki z tekstami utworów ogłoszonych w czasopiśmie, do zbiorów Biblioteki Polskiej w Londynie (w formie depozytu);

83) ROMANOWICZOWA, Zofia — po „Słońcu dziesięciu linii” wydała we wrocławskiej Bibliotece Narodowej „Brewiarz miłości”, tom przekładów z poezji prowansalskiej. O niedawnym londyńskim jej wieczorze pisał Czesław Dobek w marcowym zeszycie „Kultury”;

84) ROSTWOROWSKI, Jan — ob. artykuł o nim Mariana Pankowskiego („Poeta muzycznego słowa” w „Tygodniku Polskim” z 22 lutego r.b.). Ze zdobiącego artykuł rysunku Ireny Ludwiga wynika, iż nadaje się na Słowackiego; ten kołnierzyk, te oczy, te pukle, to lewe ucho!

85) ROWIŃSKI, Krzysztof — „młody”, poczekajmy;

86) SAKOWSKI, Juliusz, także młody, ale już wydał książkę („Damy i asy”), ma wszelkie dane na autora historii „Skamandra” i „Wiadomości” en pantouffles;

87) SAMBOR, Michał (obecnie: CHMIELOWIEC, Michał) — sukcesor poprzedniego w „Wiadomościach”, jako kontynuator kroniki „W oczach Zachodu”;

88) SADEK, Napoleon — twórca specyficznej odmiany powieści z życia Emigracji polskiej w Anglii, autor zręcznych sztuk teatralnych o dobrym dialogu;

89) SOWIŃSKI, Kazimierz, poeta, autor „Dnia Dominika”, jednej z najambitniejszych sztuk teatralnych powstałych na Emigracji. Autor licznych słuchowisk radiowych;

90) STEMPOWSKI, Jerzy (pseud. Paweł Hostowiec), dobry duch „Kultury” i kultury polskiej w ogóle;

91) STRZAŁKOWSKI, Wiesław, prowadzi Seminarium Historii Filozofii na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie. Przygotowuje trzy dłuższe artykuły o: „Zasłubinach Marii Ludwiki”, „Atamanie Machno” i „Jego Magnificencji Panu Rektorze” (prof. Tad. Brzeskim);

92) SURYNOWA-WYCZÓŁKOWSKA, Janina — autorka powieści „Teresa, dziecko nieudane” i tomu niezmiernie poczytnych wspomnień warszawskich pt. „W cieniu koronkowej parasolki”;

93) ŚWIĘCICKI, Marek — autor doskonałych reportaży wojskowych, dziś w USA;

94) SZNARBACHOWSKI, Włodzimierz — autor przedmów do rzymskiego wydania „Kłatwy” i „Sędziów” Wyspiańskiego i włoskiej edycji „Wspomnień starobielskich” Józefa Czapkiego, pracownik RFE w Monachium;

95) SZYSZKO-BOHUSZ, Marian, prof. = Mieczysław Limanowski + talent malarski. Winien doczekać się wielkiego białego kościoła z długimi kruzgankami, by rozwinąć w nim swoją walkę kolorów z Ewangelią i stacjami Męki Pańskiej. Twórca znakomitego szkicu portretowego Norwida, ilustracji do „Paryża” Terleckiego i w.i. Inicjator i kierownik Studium Malarstwa Sztalugowego, animator wielu przedsięwzięć plastycznych w Londynie;

96) SZYSZKO-BOHUSZ, Zygmunt, gen. — autor wspomnień „Wrześniowym szlakiem”, powieści „Republika atomowa” itd. Obecny opiekun Domu Pisarza na Finchley Road;

97) TARNAWSKI, Wit, autor tomu nowel pt. „Ucieczka”, red. „Conrada żywego”. Pracuje nad książką o ojcu, słynnym doktorze z Kosowa. Kult Conrada przekazał siostrzeńcowi, młodemu pisarzowi Andrzejowi Buzszy;

98) TERLECKI, Tymon, utożsamiający się stopniowo z „Literaturą emigracyjną”, Molochem, pożerającym czas, cierpliwość i nerwy. Nieoficjalny adres literacki polskiego Londynu, centrala wiadomości o poważnych poczynaniach pisarskich na całym świecie. Ex-prezes Związku Pisarzy. Organizator niezliczonych imprez i przedsięwzięć wydawniczych. Postrach kolegów (Tymon Straszliwy). Znajdujący czas na twórczość własną (exemplum „Pani Helena”). Najpracowitszy z pracowitych prelegentów radiowych („Do usłyszenia znowu, drodzy słuchacze w kraju”).

99) TROŚCIANKO, Wiktor, autor tomu wierszy „Przeciw wiatrom” (1956) — pracownik Radia w Monachium;

100) WEINTRAUB, Wiktor, profesor polonistyki na Harvard University, coraz głębiej grzęznący w naukowym środowisku amerykańskim, coraz rzadziej pisujący do czasopism emigracyjnych.

101) WELLISZ, Leopold — Mickiewiczolog urodzony pod szczęśliwą gwiazdą: odkrywca ciekawych i nieznanych materiałów do lozańskiego okresu życia Mickiewicza i przyjaciela poety z Margaret Fuller; mieszka w USA;

102) WĘGRZYŃSKA-KOŚCIAŁKOWSKA, Janina — znana z rozrzuconych po pismach opowiadań i wspomnień, zapowiadająca tom prozy w bliskiej przyszłości. Mieszka w Pirenejach;

103) WIENIEWSKI, Ignacy, nierozłącznie związany z wielkim dziełem swego życia, odkrywczym i sumiennym przekładem „Iliady”, ocenionym wysoko przez Hostowca, Morstina i in.: klasyk — autor cennych szkiców o kulturze klasycznej („Powrót na Via Appia”). W r. 1964 ogłosił tom studiów i szkiców z podróży po krajach antycznych i z literatury klasycznej pt. „Antycznym szlakiem” (w „Veritasie”). Kierownik kącika językowego w „Dzienniku Polskim”.

104) WIERZYŃSKI, Kazimierz — obchodzi 70-lecie (skandal!) tomem obejmującym 70 nowych wierszy pt. „Kufel na plecach” i wypadem do Europy; więcej o nim za miesiąc jeśli odwiedzi Londyn;

105) WINCZAKIEWICZ, Jan — poeta, hispanista, doskonały odtwórca poetów hiszpańskich (jak świadczy wydany ostatnio tom „Andaluzja i Kastylija” (Oficyna Poetów i Malarzy);

106) WITTLIN, Józef — podczas krótkiej bytności w Anglii podbił polski Londyn a „Orfeuszem w piekle XX w.” przypomina się starym i nowym czytelnikom;

107) WITTLIN, Tadeusz, ongiś komunikujący się z Londynem, znikł gdzieś w szerokim świecie, pozostawiając zaczytane egzemplarze „Diabła w raju” (w oryginale i licznych przekładach);

108) WOHNOUT, Wiesław, były i obecny prezes Związku, redaktor „Dziennika Polskiego” (w którym najcieplejszymi uczuciami obdarza „Środę Literacką”), bezkonkurencyjnie, wszechstronnie zorientowany w labiryncie spraw polskiego Londynu;

109) WOSZCZYNIN, Jerzy, współautor jednodniówki „Wigilia żołnierzy”, Jerozolima, 1944. Mieszka w Argentynie;

110) WRAGA, Ryszard — znany publicysta, sowietolog;

111) ZAGÓRSKI, Wacław, autor „Wichru wolności” (Liczne przekłady); redaktor „Tygodnia Polskiego”; jedyny na Emigracji mecenas piszących kobiet, opierający istnienie „Tygodnia” na zgranym fraucymeze;

112) ZALESKI, Zygmunt L., prof. — znany historyk literatury i krytyk, b. więzień niemieckich obozów koncentracyjnych;

113) ZANIEWICKI, Zbigniew — norwidolog;

114) ZBYSZEWSKI, Karol, kronikarz i socjolog Emigracji; twórca „Tylonu”, copiątkowej rubryki „Dziennika Polskiego” przynoszącej à la longue satyryczny i socjologiczny obraz Emigracji z jej bardzo specyficznymi zaletami, wadami i coraz wyraźniej krystalizującym się swoistym snobizmem. („Tylon” oznacza nie tylko skrót Ty/godnia) Lon/dyńskiego) — ale, jak przypomina R. Graves w „The Greek Myths”, II, 411, także węzeł lub *phallus*);

115) ZBYSZEWSKI, Wacław — publicysta polityczny odznaczający się przysłowiową dokładnością i precyzją w cytowaniu dat, nazwisk i wydarzeń; czciciel b. członka Związku — Cata;

116) ŻEROMSKA, Olga — cudotwórczyni w zakresie rozsądnej propagandy tańców ludowych — mądra, wiedząca czego chce, inspiratorka poczyniań kulturalno-artystycznych; eseistka i tłumaczka;

117) ŻÓŁTOWSKA, Janina — z Puttkamerów, prawnuczka Maryli, przygotowuje drugi tom pamiętników. Ogłasza recenzje książek angielskich pod pseud. Jan Rajecki;

118) ŻYWINA, Józef — poeta i polityk, tomy wierszy: „Rozmowa z księżcem” (1945) i „Wilcze zioła” (1958).



Do 118 omówionych pokrótce nazwisk dodać należy co najmniej trzy: Aleksandra Wata i Artura M. Swinarskiego, którzy zgłosili akces do Związku i powitani zostali entuzjastycznie, oraz syna marnotrawnego w osobie Janusza Kowalewskiego, który wrócił do organizacji po kilkoletniej przerwie (warto odnotować, że drukuje tom opowiadań „Miłość i hazard” w wyd. Polskiej Fundacji Kulturalnej, ma w tece ukończoną powieść pt. „Poszukiwacze sprawiedliwości”, a w przygotowaniu powieść odcinkową dla „Dziennika”).

Nieobecnych jest jednak wielu. Zadziwiająco i niepokojąco wielu, skoro od dawna nie obowiązuje krótkotrwałość a niefortunnie datowana uchwała o niedrukowaniu w kraju, a w gronie członków znajduje się Rafał Malczewski, Zofia Romanowiczowa i in., publikujący książki czy artykuły w kraju. Nie są członkami Związku: Andrzej Chciuk, Witold Gombrowicz, Zbigniew Grabowski, Halszka Guillej-Chmielowska, Zygmunt Haupt, Marian Hemar, Marek Hłasko, Józef Mackiewicz, Czesław Miłosz, Danuta Mostwin,

Marian Pankowski i in. — oraz grupa młodych pisarzy: Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski, Adam Czerniawski, Jan Darowski, Zygmunt Ławrynowicz, Florian Śmieja, Bolesław Taborski i in. Ze strony wielu jest to osobliwy i jednostronny brak zainteresowania: nie uchylają się bowiem od udziału w imprezach Związku i przyjmowania nagród, wykołatanych i przyznawanych przez jury Związku (np. tegoroczny laureat Marian Pankowski).

Walne zebranie było krótkie, spokojne i nudne. Nie wywołało dyskusji nawet wieloletni pewniak: sprawa gospodarki Domem Pisarza. Ożywiono się na chwilę, gdy poruszona została sprawa założenie niskich honorariów już nie tylko za artykuły i materiały prasowe (nie mówię o książkach), ale i zamrożone od lat na tym samym poziomie honoraria radiowe RFE. Prezesem Związku pozostał Wiesław Wahnout; skład Zarządu uległ minimalnym zmianom. W kuluarach krążyły projekty zerwania ze snobistycznym „pretending” i połączenia się ze Związkiem Dziennikarzy (i Prelegentów Radiowych), co dałoby wierniejszy obraz sytuacji.

(m. l. d.)

Wystawy w Londynie

Sprawozdanie, które napisałem poniżej poprzedzam obrazem z „przebojowych wystaw”, jakie obecnie odbywają się w Londynie.

Jest to po prostu notatka pewnych procesów jakie zachodzą w dzisiejszej plastyce, a która może posłużyć również jako tło porównawcze wysiłku polskich artystów decydujących się na trud pokazania tutaj swego dzieła.

Tak więc na uwagę zasługuje przede wszystkim bieżąca impreza w Redfern Gallery pod nazwą „Structures vivantes Mobiles Images” marzec 3-27 1964.

Wystawa ta jest udziałem artystów z Francji, Niemiec, Wenezueli, Grecji, Izraela, Belgii, Argentyny i Anglii. W sumie dzieł wiążących nazwiska, które łączy wspólna idea tworzenia w duchu czasów, w których żyjemy, z uwzględnieniem wpływu przemożnej scjentyfiki.

Wchodząc na tę wystawę odbieramy absolutnie nowe, niespotykane dotąd wrażenie, którego nastrój można raczej porównać do miniaturowego *fair ground* w bardzo zwolnionym tempie, niż do galerii sztuki.

Te nowe doznania wywołane są elementami ruchu, światła dźwięków oraz wrażeń wzrokowych płynących przede wszystkim z nowych kształtów i różnorodnych materiałów, bowiem pokazane eksponaty są skonstruowane z lśniących i matowych metali o formach płyt i kombinacji druczianych, misternie szlifowanych szkielek, soczewek, drzewa, nylonu itd. Większość owych kon-

strukcji posiada wmontowane motorki elektryczne, które poruszają poszczególne elementy kompozycji, tworząc coraz to nowe ich kombinacje. Towarzyszy temu ściszony warkot motorku, albo wręcz jakieś szmery i dźwięki mechanizmu, celowo wprowadzone przez artystów jako jeszcze jeden element oddziaływania.

Grająca gitara to po prostu podłużna deseczka z umocowanymi strunami metalowymi, które poruszają żelazne ruchome sztyfty umieszczone pod strunami — przy tym sama muzyka tej mechanicznej gitary jest po prostu serią skrzypień i zgrzytów.

Obrotowy ruch pięciu mosiężnych cylindrów w których umieszczono decentrycznie, skośnie sterzące metalowe pałeczki, powoduje ciągłe zderzanie się ich jak szpad w pojedynku.

Jakieś bardzo proste krany poruszające się niezdarnie, kukielkowato, zabawnie, sztywno, mechanicznie wkoło i wkoło.

Najeżona nieregularnymi kolcami niewielka prostokątna powierzchnia byłaby sama w sobie niezbyt ciekawa, ale kolce te bardzo wymyślne w swoich kształtach podrygują konwulsyjnie co chwila i przy tym brzęczą. Jest tu również i elektromagnes wprawiający w nieustanny taniec dwie formy zwisające na nylonowych nitkach z sufitu, nie mówiąc już o magicznych skrzynkach z kręcącą się w malowane desenie tarczą, której fragmenty oglądamy przez różne powiększające i zmniejszające soczewki w momencie gdy żarówka elektryczna oświetla wnętrze pudełka. Niewyczerpana kopalnia wrażeń coraz to nowych form i kolorów.

Kiedy porównamy te ruchome konstrukcje na przykład z prawdziwymi dźwigami czy nowoczesnym ekwipunkiem straży pożarnej w formie pięknego samochodu z wielkimi kołami i drabinami oraz hałaśliwym dzwonieniem, to okaże się, że wystawione eksponaty posiadają jakąś lapidarną pierwotność i BEZINTERESOWNOŚĆ.

Także, gdy zestawimy je z nowoczesnymi zabawkami mechanicznymi to uderza nas ich naiwna wprost prostota i bezsensowność.

Czy te okoliczności są wystarczające na to by te eksperymenty zakwalifikować jako dzieła sztuki? Jeśli nie są to pomysły użytkowych maszyn ani zabawek dla dzieci, to pewnie można zakwalifikować je do dzieła sztuki — chyba że ktoś myśli, że są to zabawki dla dorosłych.

Drugą imprezą o której głośno w Londynie to wystawa wychnów Roberta Raushenberga w Whitchapel Art Gallery (15 luty — 8 marzec 1964). Tę wystawę odwiedzają tłumy ludzi ze wszystkich sfer, których liczba w dnie wolne od pracy osiąga kilka tysięcy dziennie.

Cała ta olbrzymia wystawa, może z wyjątkiem serii rysunków i gwaszów, jest wulgarna i w złym guście. Bo cóż może mieć wspólnego z twórczością artystyczną ordynarne, brudne wiadro murarskie ochlapane autentyczną zaprawą murarską, ustawione

na podłodze galerii — jako eksponat sztuki Raushenberga, albo oprawienie w ramy autentycznej pościeli z łóżka, łącznie z poduszką i kołderką, pochłapanie ich niechlujnie farbą?

Pomysł ustawienia wypchanego białego koguta na skrzynce, której wnętrze jest oświetlane mrugającą żarówką nadawałoby się raczej do muzeum Madame Tussauds niż do galerii sztuki.

Nawet parę niezłych pomysłów, zastosowania w malarstwie nowoczesnych technik fotograficznych i *silkscreen'u*, tutaj zaprzepaszczoneo niepoczytalną i bezsensowną chlapaniną, której bryzgi zabijają wszelkie działanie.

Stary zardzewiały dymnik, zdjęty z jakiegoś komina i ustawiony na platformie na kółkach, bez żadnych „artystycznych” uzupełnień, działa tutaj, przez kontrast z wulgarnymi dziełami Raushenberga, jak najpiękniejsza forma rzeźbiarska, bo nosi ślady autentycznego dobrego rzemiosła. Nawet grające i gadające transistorowe radio, umieszczone z tyłu jednego z obrazów, nie ratuje sytuacji.

Sam artysta wypowiada się na temat swojej twórczości, że pragnie wypełnić lukę pomiędzy sztuką i życiem.

Zamierzenie bardzo szlachetne, ale dlaczego Raushenberg postanowił zapełnić tę lukę śmieciem?

Tak więc w wielkim skrócie przedstawiają się najbardziej przebojowe imprezy plastyczne sezonu w Londynie, a teraz zobaczmy jak się prezentują wystawy polskie.

Pomysł skonfrontowania sztuki artystów polskich z Warszawą i Londynem, chociaż dość ryzykowny, jest w gruncie rzeczy znakomity. Toteż wystawa w Galerii Grabowskiego pod nazwą *Dwa Światy* (6.I. — 22.II. 1964) wywołała zrozumiałe zainteresowanie. Zaintrygowani możliwością porównania polskiej twórczości krajowej z emigracyjną, pobiegliśmy co tchu na wystawę.

Niestety, tytuł wystawy „Two Worlds” okazał się po prostu sztuczką służącą do zwabienia publiczności; bo ani trójka malarzy z Londynu: *Janina Baranowska, Stanisław Frenkiel i Marek Łączyński* nie pretendują do reprezentowania malarstwa emigracyjnego, ani też piątkę plastyków warszawskich: *Zbigniew Gosłowski, Edward Krasiński, Zbigniew Makowski, Roman Owidzki i Barbara Pniowska* nie mogą prezentować całej plastyki krajowej.

Tak więc geograficzno-polityczna strona nazwy wystawy, jak też domniemane różnice orientacji kulturalnych sugerowanych przez pompatyczny tytuł — okazały się nie na miejscu.

Niemniej jednak wystawa ta jest bardzo interesująca i to głównie z powodu eksponatów przywiezionych z Warszawy, które z ducha okazały się bardziej zachodnie niż dzieła wyprodukowane na Zachodzie.

Zarówno artyści z Londynu jak i Warszawy stoją na stanowisku, że forma i kolor same w sobie są elementami wystarczają-

jącymi do wyrażania emocji, ale podczas gdy pierwsi wychodzą z tradycji malarskich, gdzie kolor, materia malarska, płaszczyzna obrazu itd. uważane są za najbardziej istotne dla ich twórczości — to drudzy zrezygnowali z tych wartości na rzecz nowego tworzywa.

Materiał, w jakim pracują warszawscy plastycy decyduje o charakterze ich sztuki.

Twórczość malarzy z Londynu naturalnie wiąże się z problemami malarstwa powojennego z dominantą spontanicznego ekspresjonizmu. Tymczasem Warszawiacy na skutek opornego materiału w jakim pracują (blacha, gwoździe, drzewo, papier) zmuszeni są zrezygnować z natychmiastowości i powoli formują swoje wewnętrzne przeżycia. W tym procesie twórczym niewątpliwie świadomość góruje nad nieświadomymi odczuciami, które w istocie zawsze są tutaj pobudką do stworzenia dzieła i to objawia się w jakiejś magicznej poetyckości promieniującej z ich prac.

Rozpiętość zainteresowań piątki warszawskiej jest szeroka, i chociaż nie znajdziemy na tej wystawie żadnej nowej myśli w sensie nieoczekiwanego odkrycia plastycznego i wszystko co tu oglądaliśmy w jakimś sensie było już objawione w sztuce w ubiegłej połowie naszego stulecia — to jednak specyficzne podejście do problemów i rzetelne a oryginalne ich rozpracowanie jest wynikiem bardzo poważnym i świeżym. Wysiłek tych artystów pogłębia i utrwała pewne idee plastyczne, a najczęściej nadaje im sensu dojrzałej formy i to jest ich wkładem do ogólnego skarbcza sztuki. Indywidualne osiągnięcia na tej wystawie objawiają się w zależności od orientacji, jaką każdy z nich obrał sobie za podstawę dla swoich rozważań.

Najoryginalniej zaprezentował się Roman Owidzki, który wysła swoją twórczą wyobraźnię w poszukiwaniu rytmów powstałych z fałdów papieru, który podwijany i nawijany na siebie daje ciekawą strukturę powierzchni o charakterze abstrakcyjnej płaskorzeźby. Te papierowe projekty, pociągnięte tonem szaro-żółto-wej farby zmieszanej z piaskiem, proszą się wprost o zrealizowanie w szlachetniejszym materiale. Wyobrażam sobie też bardzo interesujące rytmy wykute chociażby w piaskowcu.

Edward Krasinski jest przedstawicielem konstrukcji, która w naszym kraju posiada dość stare korzenie, chociażby ze względu na działalność Henryka Starzewskiego. Prace Krasinskiego charakteryzuje kontrast płaszczyzny i delikatnej konstrukcji drucianej, z których buduje wymyślne trójwymiarowe figury geometryczne, podobne kompleksowi anten telewizorów, lub jakichś dziwnych instrumentów naukowych.

Zbigniew Gostomski zajmuje się problemem, który można zapewne zaszeregować do zjawisk z dziedziny złudzeń optycznych. W tych swoich poczynaniach nawiązuje on do pewnych kompozycji Theo van Doesburga sprzed pół wieku.

Zbigniew Makowski delikatnie nawraca do dadaizmu i ze smakiem realizuje swoje kompozycje, eksploatując możliwości

działania plastycznego poprzez kombinacje symbolicznych form kultów religijnych i magii.

Najokazalej i niezwykle imponująco prezentują się na tej wystawie prace Barbary Pniewskiej, jedynej kobiety z grupy warszawskiej. Pniewska, przy pomocy cienkiej blachy aluminiowej czy cynku, gwoździ i płaszczyzny tła oraz delikatnych retuszy tonalnych wyczarowuje formy, które kojarzą się nam w jakiś sposób ze światem pancerzy, tarcz i zbroi, a jednocześnie doznajemy wzruszeń, jakie nawiedzają nas jedynie w obliczu autentycznej sztuki. Przy czym formy, jakie ona stwarza, mają prostotę i umiar, a oszczędność środków plastycznych wprost zdumiewa swoją trafnością.

Ta impreza objawia w sposób być może delikatny, wrażliwość artystów polskich na problemy naszej epoki i pragnienie stworzenia nowego wizerunku doznań zmysłowych.

Od 3 grudnia 1963 do 3 stycznia 1964 w Cassel Gallery miała miejsce imponująca wystawa ikonogramów *Adama Niemczyca*.

Ten artysta, przebywający w kraju, który wykładał historię sztuki w Akademii Warszawskiej oraz w Warszawskiej Szkole Dramatycznej, posiada dużą kulturę plastyczną i zamiłowanie do starożytności. Zwłaszcza sztuka bizantyńska wywarła na nim głębokie wrażenie i jego twórczość malarska znajduje się pod wybitnym wpływem Bizancjum, z którym artysta zetknął się w Rавennie, Montrealu, Konstantynopolu, a także w cerkwiach i kościołach w Grecji, Bułgarii i Rumunii.

Dzieło Niemczyca jest inspirowane ikonami. Urzeczony surową formą starych ikon, ich wiekową patyną i wytrawnym rzemiosłem, malarz ten zapragnął wprowadzić do swojej sztuki te właśnie wartości i stworzył nowoczesne ikony, które nazwał dla odmiany ikonogramami. Za temat obrał sobie człowieka: portret i figurę, i na wzór bizantyński zniekształca je i usztywnia. Jednocześnie technikę swoją wydoskonalił tak znakomicie na wzór starych cerkiewnych obrazów, że powierzchnia jego ikonogramów namalowanych wczoraj, już posiada patynę wieków. Nic dziwnego, że po tematy dla swoich dzieł sięga do zamierzonej historii, mitologii greckiej i opowieści biblijnych. Swoim bohaterom nadaje książęcą dostojność; sztywne, bez ruchu ustawione figury, poza czasem, poza historią — kształty ludzkie wyimaginowane czy przechute?

Strona techniczna tego malarstwa interesuje przede wszystkim. Są to przeważnie tempere albo collage'e na deskach specjalnie spreparowanych z uwzględnieniem splecia, uszkodzeń, chropowatości i omalże zmurzałości jak u antyków lub wykopalisk archeologicznych. Kolorystyka tych ikonogramów jest zbliżona do autentycznych ikon, a więc zielenie i brązy, zgaszone róże, ugry i szarości, położone szeroko i zrównoważone swoimi masami, do-

skonale harmonizują z formą figur, przeważnie wydłużonych pionowo, a zawsze świetnie wkomponowanych.

Tych pięćdziesiąt ikonogramów, wystawionych w Londynie po raz pierwszy po szeregu udanych wystaw, między innymi i w Paryżu, jest osiągnięciem artystycznym bardzo poważnym i dlatego zastanawia fakt tej ucieczki utalentowanego artysty w świat antyku, który w zasadzie ma niewiele wspólnego ze światem, w którym żyjemy obecnie.

Naukowy pogląd na świat, wysiłek ludzkości zmierzający do eksploracji systemu solarnego, każą nam raczej patrzeć w przyszłość aniżeli oglądać się poza siebie.

Halina Sukiennicka była jedną z piątki uczestników w wystawie „Five One-Man Shows” w Drian Galleries (grudzień 10-30 1963). Przedwojenny kobieta adwokat, obrońca sądowy, osiadła obecnie w Londynie, Sukiennicka zainteresowała się poważnie malarstwem i pod kierunkiem artystycznym prof. Bohusza-Szyski została wtajemniczona w arkana tej skomplikowanej i tajemniczej sztuki. Jest to jej pierwsze wystąpienie ze zbiorową wystawą, na którą składa się szesnaście olejów i osiem rysunków. Sukiennicka pracuje inteligentnie, z dużą wrażliwością na kolor i posiada intuicję malarską, która pozwala jej na lawirowanie między ścierającymi się prądami, bez uszczerbku dla własnej twórczości. Nie deklaruje się wyraźnie na żaden kierunek, jej prace oscylują pomiędzy czystą abstrakcją i ekspresjonizmem.

„Drian Artists” *Exhibition* jest zwykle jedną z najbardziej interesujących imprez artystycznych sezonu.

Tegoroczna wystawa (styczeń 1964) potwierdza jeszcze raz politykę galerii, która zmierza do poszukiwania *quality* bez względu na panujące mody i nastroje w sztuce i na rynkach. Wysiłek galerii skupia się na wyszukiwaniu nowych talentów na równi z prezentacją artystów o międzynarodowej reputacji. Dla miłośników sztuki wiele znanych nazwisk kojarzy się z tą galerią. Ten pokaz prezentuje siedemdziesięciu artystów różnych krajów i narodowości, bo galeria ta jest platformą skupiającą talenty z całego współczesnego świata sztuki.

Obok nazwisk Lacasse'a, Zack'a, Tate, Picassa znajdują się na tej wystawie prace należące do ośmiu artystów o nazwiskach polskich. Są to: Adamowicz, Bohusz, Musiałowicz, Nałęcz, Thémerson, Turkiewicz, Wąs i Żuławski.



Dziesięć olejów i dziesięć gwaszów Zbigniewa Adamowicza, pokazanych w Drian Gallery (12-19 marca 1964 r.) ukazują nam artystę, który zachwyił się kolorytem nocy i poszukuje wyrazu plastycznego dla oddania odosobnionych efektów form światła w olbrzymich, ciężkich masach ciemności.

Wyjątkowa wrażliwość kolorystyczna Adamowicza pozwala mu na wyławianie tonów koloru z ciemnych otchłani nocy i umieszczanie ich w punktach obrazu najważniejszych dla kompo-

zycji... W ten sposób wielkie masy brązów, czerni lub błękitów są zawsze jeszcze czytelne w jego pracach.

Jest to typ kompozycji bardzo zbalansowany i o świadomej konstrukcji; budowany najczęściej według schematu tak zwanego złotego podziału. Obrazy te posiadają przyjemne harmonijne rytmy pionów i poziomów, a zgaszone masy koloru nadają tym pracom powagi. Toteż odczytywanie małych jasnych form bardzo wyszukanego koloru, dawkowanych z umiarem, jest przyjemnością dla wytrawnego oka.

Malarstwo Adamowicza jest obrazem natury zobaczonej przez doświadczenia abstrakcjonistów i posiada pewne pokrewieństwo z wizją de Staëla z roku 1953, chociaż należy przyznać, że kolorystycznie jest ono zdecydowanie Adamowiczowskie.

Zygmunt TURKIEWICZ

Komunikaty

KONKURS LITERACKI IM. CZESŁAWA STRASZEWICZA

Dla uczczenia pamięci zmarłego 18 września 1963 roku Czesława Straszewicza, długoletniego współpracownika Radia WE — zespół pracowników Rozgłośni Polskiej RWE ogłasza konkurs literacki na opowiadanie.

WARUNKI KONKURSU

1. Konkurs jest otwarty dla wszystkich z wyłączeniem stałych pracowników Radia WE.
2. Opowiadanie o tematyce ujawniającej problemy naszego czasu — nie może być przedtem w jakiegokolwiek formie opublikowane. Nieprzekraczalna długość opowiadania: 2.000 słów (10 stron maszynopisu, po 30 wierszy na stronie, przy szerokości wiersza ok. 65 punktów). Prace muszą być przepisane na maszynie „na podwójny zabek” (nie na bibułkach!); teksty pisane odręcznie nie będą przez Jury rozpatrywane.
3. Przewidziana jest zasadniczo jedna nagroda w wys. \$ 200.-. Jury strzeże sobie prawo podziału tej sumy na dwie czy więcej nagród. Niezależnie od przyznania nagrody i ew. wyróżnień Jury wybierze kilka opowiadań do realizacji radiowej. Za najlepsze prace nadane w programie radiowym Dyrekcja Rozgłośni Polskiej przyzna trzy premie — jedną w wys. \$ 100.- i dwie po \$ 50.-; audycje będą prócz tego honorowane według przyjętych stawek. Opowiadanie nagrodzone i te, które uzyskały premię Rozgłośni Polskiej WE wydrukowane będą w miesięcznym dodatku „Wiadomości” — „Na antenie”; druk nie będzie honorowany. W szczęśliwym wypadku zdobywca nagrody może także uzyskać premię Rozgłośni Polskiej w wysokości \$ 100.-. razem więc \$ 300.-. (nie licząc honorarium radiowego).

4. W stosunku do prac wybranych do realizacji Rozgłośnia Polska zastrzega sobie prawo poczynienia ew. skrótów — celem dostosowania tekstu do przyjętych ram czasowych, czy też drobnych zmian redakcyjnych spowodowanych wymaganiami radiofonizacji. Rękopisy prac nie wykorzystanych ani w radio ani w druku nie będą autorom zwracane.

5. Tekst opowiadania musi być opatrzony godłem, które należy powtórzyć na zaklejonej kopercie zawierającej imię i nazwisko oraz adres autora. Prace nadsyłać należy do dnia 1 września 1964 r. (data stempla pocztowego) pod adresem: Radio Free Europe — Polish Desk, 8000 Munchen 22, Englischer Garten 1, Germany; koperta musi być oznaczona napisem KONKURS LITERACKI. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w ciągu listopada.

Skład Jury: Tadeusz Nowakowski, Bronisław Przyłuski, Kazimierz Sowiński, Aleksandra Stypułkowska i Tymon Terlecki.

III KONKURS NORWIDOWSKI KOŁA ARTYSTÓW PLASTYKÓW POLSKICH W ARGENTYNIE

Udział w konkursie brać mogą wszyscy zrzeszeni i niezrzeszeni artyści plastycy polscy i pochodzenia polskiego, oraz członkowie KAPPA, bez względu na obecne miejsce zamieszkania. Biorący udział w konkursie nie są ograniczeni w doborze tematu, ani techniki.

Konkurs jest anonimowy. Prace winny być podpisane godłem artysty, a w osobnej, zalakowanej kopercie opatrzonej tym samym godłem, należy podać: imię, nazwisko, dokładny adres autora, oraz nazwę i cenę sprzedaży każdego obrazu w dolarach.

Ukonstytuowane będą dwa odrębne Sądy Konkursowe dla prac o charakterze tradycyjnym i modernistycznym, złożone z czołowych przedstawicieli życia artystycznego Argentyny. Wobec ukonstytuowania się podwójnej „Jury”, artyści nadsyłający swe prace proszeni są o podanie obok godła, do której grupy zaliczają swe prace.

Ilość nadesłanych prac przez jednego autora nie powinna przekraczać liczby pięciu, a każdemu przysługuje tylko jedno godło.

Dla ułatwienia odbioru i wysyłki obrazów dla zagranicy, prosimy uprzedzić o nadsyłanie prac bez określania ich wartości we frachtach, gdyż już na II-gim Konkursie stało się to powodem wielu trudności na komorze celnej. Natomiast obrazy bez zadeklarowanej wartości otrzymaliśmy i odesłaliśmy bez trudności; żadna z prac nie została zagubiona.

NAGRODY ZA PRACE O CHARAKTERZE MODERNISTYCZNYM

Nagroda	I (medal złoty)	\$ 30.000. — m/n.
Nagroda	II (medal srebrny)	\$ 15.000. — m/n.
Nagroda	III (medal brązowy)	\$ 10.000. — m/n.

NAGRODY ZA PRACE O CHARAKTERZE TRADYCJONALNYM

Nagroda	I (medal złoty)	\$ 30.000. — m/n.
Nagroda	II (medal srebrny)	\$ 15.000. — m/n.
Nagroda	III (medal brązowy)	\$ 10.000. — m/n.

(Zwracamy uwagę, że w Argentynie peso oznacza się znakiem \$. Nagrody są naturalnie w pesach. Redakcja).

Termin nadsyłania prac na III-ci Konkurs Norwidowski K.A.P.P.A. upływa z dniem 1-go lipca 1964 roku. Dla prac nadsyłanych z prowincji i spoza Argentyny obowiązuje data stempla pocztowego. Dla zmniejszenia kosztów przesyłki obrazy z zagranicy oprowione będą na koszt K.A.P.P.A. Rozstrzygnięcie Konkursu nastąpi w końcu sierpnia 1964 roku, po czym nastąpi otwarcie wystawy.

Wszyscy biorący udział w Konkursie otrzymają pocztą odpis protokołu „Jury” i dotyczące ich wycinki z prasy oraz specjalny medal pamiątkowy. Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie prawo wystawiania i publikowania eksponatów.

Prace należy nadsyłać na adres: Concurso y Exposición Circulo de los Artistas Plasticos, Polacos en la Republica Argentina. — Casa Central Polaca, calle Serrano 2076 - Buenos Aires.

STYPENDIUM POLONIA TECHNICA

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych „POLONIA TECHNICA”, Inc. uchwaliło przyznać na rok akademicki 1964/1965 stypendium studentowi Polakowi, matrykulowanemu na jednej z wyższych uczelni zagranicznych i studiującemu nauki techniczne lub pokrewne. Stypendium to w wysokości \$ 300 (trzysta dolarów) płatne będzie w ratach miesięcznych lub kwartalnych, według uznania Komisji Stypendialnej.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do dnia 1 czerwca 1964 roku umotywowane podania pod adresem: Polonia Technica, Inc. Komisja Stypendialna — 36, West 56, Str. apt.: 1-C, New York 19, N.Y. (USA).

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok 1964/1965 oraz o rezultatach dotychczasowych studiów i referencje dwu osób, znających osobiście kandydata.

W myśl regulaminu Funduszu Stypendialnego, pierwszeństwo przy równych kwalifikacjach przysługiwać będzie kandydatowi bardziej zaawansowanemu w studiach.

Zawiadomienie o ewentualnym przyznaniu stypendium nastąpi w terminie do dnia 31 lipca 1964 r.

Zarząd „Polonia Technica, Inc.”.

Jerzy HOFFMAN, wiceprezes

Listy do Redakcji

Birmingham, 8.2. 1964 r.

Nadesłane nowości wydawnicze

- Diariusz i teki Jana Szembeka (1935-1945)*. T.I. Wprowadzenie i dokumentacja do lat 1933-1934; II. *Diariusz Jana Szembeka za rok 1935*, opracował Tytus KOMARNICKI. Str. 590. (Wyd. Polski Ośrodek Naukowy w Londynie. Skład Główny ORBIS (London) Ltd., cena egz. 72/6 (\$ 10,50, F. 48,50).
- DOBEK (Czesław). *Na ratunek gołębiczy*. Str. 175. (Nakł. Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1964, cena 14 sh.).
- NAGÓRSKI (Zygmunt, senior). *Ludzie mego czasu*. Sylwetki. Str. 269 i 3 nlb. trzynaście ilustracji. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, 1964).
- CIOŁKOSZ (Adam). *Karol Marks a powstanie styczniowe*. Str. 51 i 1 nlb. (Odbitka z „Tek Historycznych”, Londyn, 1963, cena 10 sh.).
- Wychowanie ojcyste*. Odbitka z nr. 2/51 marzec-kwiecień 1964. Sprawozdanie Wydziału Szkolnego Polskiej Macierzy Szkolnej za okres od marca 1962 do marca 1964. Str. 11. Powielacz (Londyn, 1964).
- Twórzmy polski ośrodek społeczno-kulturalny w Londynie*. Str. 12 (Komunikat informacyjny. Polish University College Association Ltd., Londyn, luty, 1964. Nr 1).
- DANILEWICZOWA (Maria). *W kręgu znajomych Mickiewicza z lat rosyjskich*. Str. 171-203. (Nadbitka z „Tek Historycznych”, Tom XII, Londyn, 1962-1963).
- DANILEWICZ (Maria L.). *Literature*. Str. 510-547. (Nadbitka z „The Year's Work in Modern Language. Studies, Vol. XXIV (1962): III. Polish Studies. Language. (1963).
- TERC (Abram) Liubimow (w jęz. rosyjskim). Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. B. Filipoff, Waszyngton, 1964).
- GRZEGORCZYK (Andrzej). *Schematy i człowiek*. Szkice filozoficzne. Str. 218 i 2 nlb. T. 8-my Biblioteki „Więzi”. (Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, Warszawa, 1963, cena 35 zł.).
- DUMITRIU (Petru). *Incognito*. Roman. Version française de l'auteur. Str. 478 i 2 nlb. (Editions Seuil, Paris, 1962).
- MENDE (Tibor). *Un monde possible*. Str. 146 i 14 nlb. Traduit de l'anglais par Magdeleine Paz. (Editions du Seuil, Paris, 1963).
- PORTER (Katherine Anne). *La nef des fous*. Roman. Traduit de l'anglais par Marcelle Sibon. Str. 586 i 6 nlb. (Editions du Seuil, Paris, 1963).
- TEILHARD DE CHARDIN (Pierre). *L'activation de l'énergie*. Oeuvres Vol. 7. Str. 429 i 3 nlb. (Editions du Seuil, Paris, 1963).
- BERQUE (Jacques). *Dépossession du monde*. Str. 215 i 10 nlb. (Editions du Seuil, Paris, 1964).
- DUMONT (René). *Sovkhoz, Kolchoz ou le problème communisme*. Str. 380 i 3 nlb. (Collections Esprit „Frontière ouverte”). (Editions du Seuil, Paris, 1964).
- PEŁCZYŃSKI (Tadeusz, gen.) i CIOŁKOSZ (Adam). *Opór zbrojny w ghetcie warszawskim w 1943 roku*. Str. 15. Przedruk z „Bellony” r. XLV, Zeszyt I i II, 1963. (Wyd. Studium Polski Podziemnej, Londyn, 1963, cena 1 sh.).

Czcigodny Panie Redaktorze!

W numerze 1 i 2 z 1964 „Kultury” znajduje się na stronie 190 nota odnośnie osoby Bronisława Zaleskiego z którym Kraszewski korespondował. Pozwalam sobie uzupełnić powyższe dane. Bronisław Zaleski syn ziemianina ze wsi Raczkiwice pow. słuckiego, Ziemi Mińskiej, za utrzymywanie styczności z kołami rewolucjonistów (w owych czasach krytykowanie władz lub niepoehlebne wyrażanie się o carze uchodziło już za rewolucyjność), został administracyjnie zesłany w „sołdaty” — karę tę odbywał w Orenburskim Korpusie Specjalnym. Nie wypada pominąć faktu, że przez Korpus ten przeszło wiele dziesiątek dzielnych Polaków, z których większość mimo bardzo niesprzyjających warunków osiągnęła stopnie podoficerskie.

Zapisał się tam i serdecznie zaprzyjaźnił z odbywającym również karę T. Szewczenką. Po zwolnieniu z wojska w 1856 r. Zaleski na krótko osiadł w rodzinnym majątku.

W 1863 r. walczył już w oddziałach powstańczych.

Na emigracji Zaleski znany był nie tylko z działalności społeczno-politycznej, ale również jako artysta-malarz. Jego sztuchy „La vie des steppes” zamieszczało znane pismo paryskie „Beaux-Arts”.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

A.S. ORŁOWSKI

New York, 21 grudnia 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

P. Zbigniew Grabowski słusznie krytykuje w swym liście (Kultura 12/1963) p. Ewelinę Żółtowską, która wyraziła się o Bronisławie Malinowskim, iż „pewno pisał też po angielsku”. Sam jednak pisze o nim, że „na pewno pierwsze jego rzeczy pojawiały się po niemiecku” bo studiował na uniwersytecie wiedeńskim, a poza tym pisał po angielsku. Kwestię dzieł polskich B. Malinowskiego pozostawia p. Grabowski otwartą.

O niemieckich pracach Bronisława Malinowskiego nie mi nie wiadomo. Wiem natomiast na pewno, że B. Malinowski ogłosił po polsku pierwsze swe poważne, zarówno podstawową treścią jak i objętością (ponad 340 stron druku), dzieło, oparte na swych badaniach na wyspach Trobriandzkich pt. „Wierzenia pierwotne i formy ustroju społecznego. Pogląd na genezę religii ze szczególnym uwzględnieniem totemizmu”. Nakładem Akademii Umiejętności, Kraków, 1915.

Z książką tą i innymi na ten temat zapoznałem się gdy w r. 1922 przygotowałem jako młody student prawa U. J. pracę seminaryjną dla prof. Stanisława Estreichera o genezie totemizmu. Prof. St. Estreicher wyrażał się z wielkim uznaniem o Bronisławie Malinowskim i wspominał w rozmowach ze mną, że starał się go skłonić do objęcia katedry na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Myszę, że warto przypomnieć, iż Bronisław Malinowski ogłosił pierwsze swe większe dzieło po polsku zanim zabłysnął w Anglii jako socjolog na miarę światową.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Aleksander Witold RUDZIŃSKI

Muncie, 28 grudnia 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

List red. Zygmunta Mycielskiego w grudniowym numerze „Kultury” przypomni mi sprawę, o której miałam ochotę poprzednio już napisać.

Z zainteresowaniem przeczytałam swego czasu w nrze 7/189-8/190 notatkę o sukcesie polskich kompozytorów i o przyznaniu nagrody Andrzejowi Panufnikowi za „Sinfonia Sacra”. Z żalem pomyślałam, że nie wiadomo, kiedy usłyszę ten utwór. Z przyjemnością słuchałam jego kompozycji grywanych na koncertach symfonicznych w kraju, a szczególnie utkwiła mi w pamięci jego „Suita staropolska”, archaizująca, a jednocześnie o jak najbardziej nowoczesnej instrumentacji.

W pewnym okresie nazwisko Panufnika zniknęło z afiszów koncertowych, a między studentami poczta pantoflowa podawała, że „Panufnika nie grają, bo drapną”. Odtąd nigdy już nie słyszałam jego utworów. Nie będę kruszyć kopii twierdząc, że utworów Panufnika nigdy nie grywano. Pracując jako lekarka, stałam daleko od życia muzycznego kraju. Osobiście jednak nie przypominam sobie jego nazwiska w żadnym z programów koncertowych, które miałam w ręku.

Może ktoś kompetentny napisałby artykuł o tym co słychać w życiu muzycznym kraju i o polskich kompozytorach zagranicą. Czy utwory Panufnika zostały nagrane, gdzie i przez kogo? W „Wiadomościach”, które zresztą prenumeruję dopiero od niedawna, również nie spotkałam żadnego artykułu na temat polskiej muzyki. A szkoda. Z katalogów polskich płyt, wydawanych na obczyźnie, trudno zorientować się jak wygląda sytuacja z nagraniami polskiej muzyki symfonicznej i kameralnej. Może jest to odzwierciedlanie małego zainteresowania tzw. muzyką poważną. Myszę jednak, że znalazłoby się spore grono osób, które chętnie przeczytałoby artykuł na temat polskiej muzyki. Swego czasu z zainteresowaniem czytywałam krytyki muzyczne Zygmunta Mycielskiego w „Tygodniku Powszechnym”. Zobaczymy czy jego nadzieje na usłyszenie „Sinfonia Sacra” w Polsce sprawdzą się w niedalekiej przyszłości.

Życzę Panu i „Kulturze” powodzenia w Nowym Roku. Z poważaniem.

Wanda WRÓBLEWSKA

© Copyright by Institut Littéraire, 1964.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH15wick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTÉRAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2^e trimestre 1964

NOWOŚCI BIBLIOTEKI « KULTURY »

INSTYTUT LITERACKI

Adres Redakcji: 91, Avenue de Poissy - MAISONS LAFFITTE (S.-et-O.) France

Abram TERC

LUBIMOW

● Kapitalna groteska znanego już naszym czytelnikom sowieckiego pisarza, autora książek *Sąd idzie* i *Opowieści fantastyczne*, przetłumaczonych na ponad dwadzieścia języków. Miasto „Lubimow” na krótki okres czasu wyzwala się spod kontroli NKWD dzięki „diabelskim” praktykom zmarłego przed wielu laty obywatela ziemskiego Reweransowa, który swoją czarodziejską władzę przekazuje miejscowemu dyktatorowi — Tichomirowi. Tichomirow realizuje w „Lubimowie” własny, „czysty”, utopijny komunizm...

Tom XCI
Str. 128
9 F (13/6; \$ 2,-)

A. SOŁŻENICYN, W. MAKSIMOW, A. JASZIN i inni

WE WŁASNYCH OCZACH

Antologia współczesnej literatury sowieckiej

● Na książkę składają się tłumaczenie fascynujących nowel, drukowanych na przełomie 1962/1963 w największych sowieckich miesięcznikach. Tragizm i koszmar kolektywizacji na Ukrainie, łagrów, prześladowania żołnierzy powracających po wojnie z niemieckiej niewoli, opisane są w sposób wprost zdumiewający jeżeli się

Tom XCII
Str. 524
24 F (35/-; \$ 5,-)



Tom XCIII
Str. 250
13,50 F (20/-; \$ 3,-)



Tom XCIV
Str. 80
9 F (13/6; \$ 2,-)

Tom XCV
Str. 240
15 F (22/-; \$ 3,-)

weźmie pod uwagę, że nowele te przeszły przez sowiecką cenzurę. Co mogliby napisać ci pisarze, gdyby cenzury nie było...

Nowele tłumaczyli: Józef ŁOBODOWSKI, Kazimierz OKULICZ, Zdzisław MIŁOSZEWSKI.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

DRUGIE PRZYJŚCIE

oraz inne opowiadania i szkice

- Nowy tom esejów autora *Innego świata* oraz *Skrzydeł Ołtarza*.

Jan KOWALIK

MATERIAŁY DO HISTORII PRASY POLSKIEJ NA OBCZYŻNIE 1939-1962

Bibliografie. Tom I

- Nowa praca cenionego bibliografa Emigracji.

ZESZYTY HISTORYCZNE (Zeszyt 5-ty)

- Piąty tom „Zeszytów Historycznych” zawiera m.in. relacje dotyczące *Drugiej podróży Mikołajczyka do Moskwy* (Stenogram z posiedzenia Rady Narodowej RP w Londynie z 27.X.44), z *Narad Aktywu Centralnego w sprawie sytuacji na froncie kulturalnym 23.XII.1955 w Warszawie*, *działy W OBCYCH OCZACH, SĄSIEDZI* itd.



Tom XCVI
Str. 356
16,50 F (24/6; \$ 3,50)



Tom XCVII
Str. 104
7,50 F (11/6; \$ 1,75)



Tom XCVIII
Str. 64
6 F (9/-; \$ 1,25)

Marek HŁASKO

BRUDNE CZYNY WSZYSCY BYLI ODWRÓCENI

- Dwie powieści w jednym tomie. Marek Hłasko, autor *Cmentarzy*, *Następnego do tygodnia*, filmowanego i tłumaczonego na wiele języków — celujący dotychczas w takich „małych formach” okazuje się równie świetnym powieściopisarzem.

Kazimierz WIERZYŃSKI

KUFER NA PLECACH

- Jubileuszowy tom poezji, obejmujący nowych wierszy z okazji 70-ciulecia urodzin wiecznie młodego poety.

Bogdan CZAYKOWSKI

SPÓR Z GRANICAMI

- Nowy tomik wierszy młodego poety, w dającego obecnie na University of British Columbia w Vancouver — Kanada.

« KULTURA »

Największy polski miesięcznik KULTURA ukazuje się regularnie od roku 1947.

Prenumerata roczna KULTURY wynosi: we Francji — F 50,-; w Anglii i Australii — 80/- (stg); W St. Zjedn., Meksyku, Brazylii i Venezueli — \$ USA 12,-; w Kanadzie \$ can. 13,-.

Ceny prenumeraty w innych krajach podajemy stale na 3-ej stronie okładki KULTURY.

Egzemplarze okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Przypominamy, że prenumeratorzy KULTURY *korzystają ze specjalnej 50% zniżki* przy abonamencie ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH, które ukazują się 2 razy do roku — w styczniu i w sierpniu.

Abonament roczny ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH dla prenumeratorów KULTURY wynosi tylko F 15,- (\$ 3,-; 22/-) za DWA „Zeszyty” objętości 240 stron każdy. Natomiast w sprzedaży pojedynczy „Zeszyt” kosztuje to samo.

Prenumeratę KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH oraz należności za zamawiane książki można przekazywać na adres Instytutu Literackiego pocztą lub czekami bankowymi, względnie wpłacać na konta pocztowe Instytutu, a mianowicie z FRANCJI na konto:

INSTITUT LITTERAIRE
91, Av. de Poissy, Mesnil le Roi
p. MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)
C.C.P. 18 228 56 — PARIS

z ZAGRANICY na konto:

INSTITUT LITTERAIRE
91, Av. de Poissy, Mesnil le Roi
p. MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)
C.C.P. 18 228 38 — PARIS

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliotek, godz. 19-21)		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-III, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botânico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, Av. Ipiranga 1071 - 8º Sala 811, Cx Postal 4530, Sao Paulo, Tél. 35-5432			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tél. : 716080, Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanisław Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 223 Geoffrey Street, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : 9-0829; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiastowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetyński, 1608 No Fuller Ave., Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanewski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co., 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Pesyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co., Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WŁOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM XCVI

MAREK HŁASKO

WSZYSCY BYLI ODWROCENI

BRUDNE CZYNY

Marek Hłasko, dotąd celujący w „małych formach” okazuje się również świetnym powieściopisarzem.

Str. 356

Cena egz. 16,50 F (dol. 3,50; 24/6)



TOM XCVII

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

KUFER NA PLECACH

Jubileuszowy tom, obejmujący 70 nowych wierszy z okazji 70-ciolecia urodzin zawsze młodego poety

Str. 104

Cena egz. 7,50 F (dol. 1,75; 11/6)



TOM XCVIII

BOGDAN CZAYKOWSKI

SPÓR Z GRANICAMI

Poezje

Str. 64

Cena egz. 6 F (dol. 1,25; 9 sh.)